

PAN PRZYPADEK I TRZYNASTKA

JACEK GETNER

PAN PRZYPADEK I TRZYNASTKA

Wydawnictwo Zakładka

© Copyright by Wydawnictwo Zakładka, Warszawa 2013

© Copyright by Jacek Getner

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment nie może być publikowany ani reprodukowany bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki na podstawie pomysłu Jacka Getnera:

Izabela Surdykowska-Jurek, Magdalena Muszyńska

Korekta i redakcja: Dagmara Gorczyńska, Klaudia Dróżdż

Skład: Wojciech Ławski

Wydanie II

ISBN 978-83-64459-01-6

Wydawnictwo Zakładka

ul. Szolc-Rogozińskiego 19/3

02-777 Warszawa

Zamówienia hurtowe: biuro@wydawnictwozakladka.pl

Rozdział I

Arszenik i stare obrazy

Antykwariat należący do Antoniego Gelberga był miejscem cichym i spokojnym. Nie znajdował się przy głównych szlakach handlowych, nie przewijały się przez niego tłumy. Ale ci, którzy znali jego gospodarza lepiej, wiedzieli, że często dysponował on wyjątkowo atrakcyjnym towarem. Ci, którzy znali pana Antoniego naprawdę dobrze, woleli nie pytać, skąd ten towar pochodzi.

Tę samą zasadę wyznawała rudowłosa Helena, studentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, dorabiająca w antykwariacie do skromnego stypendium. Dlatego kiedy dzwonił telefon na biurku jej szefa, zakładała na uszy słuchawki i puszczała głośno muzykę ze swojego iPod'a. Wprawdzie większość rozmów prowadzonych przez pana Antoniego dotyczyła spraw absolutnie zgodnych z prawem, jednak niektórymi z pewnością chętnie zajęłyby się organy ścigania. I z tego powodu rudowłosa pracownica antykwariatu wołała słyszeć jak najmniej.

Tym razem terkot telefonu dopadł Helenę, gdy w jednej z gablot poprawiała ustawienie kilku waz z bardzo szacownej epoki. Szybko nałożyła na uszy swoją dźwiękochłonną barierę i błyskawicznie zaczęła przeszukiwać pamięć iPod'a w poszuki-

waniu odpowiedniego repertuaru. Gelberg, siedzący w kącie antykwariatu przy swoim biurku, z uśmiechem obserwował tę czynność. Z odebraniem telefonu jednak poczekał jak zwykle do chwili, gdy ze słuchawek popłynęły pierwsze takty wyjątkowo głośnej muzyki.

– Gelberg, słucham... Pan Klempuch... – twarz antykwariusza stężała. – Tak, oczywiście, pamiętam... Naprawdę bardzo staram się namówić tę Bamber na sprzedaż obrazów, ale to nie jest łatwe... Rozmawiałem o tym z jej wnukiem, Wojtkiem... Wiem, że miją mój termin... Dobrze, jakoś to załatwię.

Odłożył słuchawkę. Rudowłosa Helena zerknęła w jego stronę, ale widząc minę szefa, uznała, że na razie lepiej nie zdejmować słuchawek z uszu. Gelberg tymczasem odsunął szufladę w swoim biurku. Sięgnął głęboko ręką po coś, co nie znajdowało się w samej szufladzie, ale było schowane w skrytce pod blatem. Po chwili namacał chłodną stal metalowej obręczy, na którą nanizane było mnóstwo pręcików różnej grubości. Pręci-ki były powykrzywiane w najróżniejsze kształty, dzięki czemu trudno było znaleźć zamek, który byłby w stanie się im oprzeć. Antykwariusz przez chwilę dotykał ich, jakby chcąc po omacku znaleźć ten właściwy. Nie wybrał jednak żadnego, tylko zamknął szufladę.

„Cholerna przeszłość – pomyślał. – Znów trzeba to będzie zrobić”.

Stara kamienica na Starym Mokotowie mieszcząca się pod adresem Konecka 40 niejedno widziała w swojej historii. Trwała tu już bądź co bądź osiemdziesiąt lat i wiele mogła opowiedzieć o swoich lokatorach. Na szczęście zwykle zachowywała daleko posuniętą dyskrecję, dlatego wiele tajemnic pozostawało na zawsze w jej ścianach. Ta dyskrecja różniła ją szczególnie od świeżo wybudowanego sąsiada z naprzeciwka,

nowoczesnego apartamentowca. Naszpikowany elektroniką, kamerami i wszelkiego rodzaju innymi rejestratorami rzeczywistości i złudzeń sprawiał, że przeciętnie uzdolniony haker mógł czytać w życiorysie jego mieszkańców jak w otwartej księdze.

Dlatego Jacek Przypadek cieszył się, że mieszka w starej kamienicy, której nie tylko grube mury, ale i zżyta społeczność skutecznie chroniły przed natrętami z zewnątrz. Również dzięki tej dyskrecji miejsce to wydawało się oazą spokoju pośród rozpedzonego miasta nastawionego pod każdym względem na sukces i szybki rozwój. Mieszkańcy kamienicy nie spieszyli się tak bardzo i mieli dla siebie całkiem sporo czasu. A, co ciekawe, spokój ich wzrastał z każdym piętrem. Tak jakby odległość od wyjścia na gwarną ulicę dodatkowo wyciszała ludzkie wnętrza.

O każdym z mieszkańców kamienicy można byłoby powiedzieć coś ciekawego i nie można wykluczyć, że kiedyś autor to uczyni. Na razie jednak najbardziej dla nas interesujący będą lokatorzy z ostatniego, czwartego piętra, zamieszkujący lokale o numerach 12, 13, 14. Pod dwunastką mieszkał właśnie Jacek, kawaler lat blisko trzydziestu, wykształcenie wyższe, choć mocno niepełne. Znany był wśród sąsiadów z zamiłowania do chiromancji oraz mocnego postanowienia wystartowania w maratonie. Przygotowywał się do tego już z górami sześć lat, zawzięcie szlifując formę biegową na pobliskim Polu Mokotowskim. Nigdy jednak nie udało mu się osiągnąć odpowiedniej dyspozycji, dlatego wciąż był długodystansowcem teoretykiem.

Pod czternastką mieszkała pani Irmina Bamber, wdowa lat... tego autor, jako dżentelmen, wyjawiać nie może. Żeby ułatwić jednak czytelnikom określenie jej wieku, powiedzmy, że jej wnuczek był trochę młodszy od Jacka, i na tym zakończmy te dywagacje. Studiowała psychologię, zdobyła nawet tytuł magistra, ale nigdy nie praktykowała w zawodzie. Za to umiejętności, które nabyła na uniwersytecie, skrzętnie wykorzystywała do sprawnego podtrzy-

mywania kontaktów towarzyskich z wieloma osobami w mieście. Szczerze mówiąc, trudno było znaleźć kogoś naprawdę ważnego w Warszawie, kto nie znałby pani Irminy.

Najmniej można by powiedzieć o lokatorze spod trzynastki, bo...

Ale o tym później, żeby za bardzo nie uprzedzać faktów.

Tego dnia Jacek obudził się w miejscu, w którym najbardziej lubił to robić, czyli we własnym łóżku. Ziewnął i przeciągnął się. Potem przekręcił się na drugi bok, chcąc przytulić osobę, którą spodziewał się zastać z tej strony. Następnie, zdziwiony, że jest już w łóżku sam, podniósł się, opierając na łokciach. Lustrując spojrzeniem pokój, mrużył wciąż powieki nieprzyzwyczajone do światła. Na tle okna dostrzegł pospiesznie ubierającą się młodą kobietę, która wydawała się niezadowolona z jego pobudki.

– Już lecisz? – zapytał z nutą rozczarowania w głosie.

– Trochę się spieszę do redakcji.

– Nie chcesz czegoś zjeść? – jego głos był coraz bardziej rozczulony. – Mogę zrobić jajecznicę – zaproponował.

Kobieta spojrzała na niego odrobinę rozczarowana. Wczoraj nie wyglądał na faceta, dla którego problemem może być fakt, że to będzie tylko jednorazowe spotkanie. Ba, odniosła nawet wrażenie, że niezobowiązująca forma znajomości jest ich obojawnym pragnieniem.

– Byłeś super, ale chyba sobie nie robiłeś nadziei na coś więcej? – dopięła ostatni guzik w swojej garsonce.

– Szczerze mówiąc, Aniu, to myślałam...

– Chyba za bardzo uwierzyłeś w te swoje wróżby z ręki – pogłaskała go po twarzy i pocałowała pożegnalnie w policzek.

– Czyli już więcej się nie zobaczymy? – zapytał z miną zbitego psa Jacek.

– Warszawa to bardzo małe miasto – popatrzyła na niego z litością. – Zawsze gdzieś możemy na siebie wpaść – powiedziały jej usta, za to oczy dodały: „ale nie liczyłabym na to”.

– Ale...

– Naprawdę się spieszę.

Jacek otworzył szufladę swojej nocnej szafki i wyjął jedną z leżących na wierzchu wizytówek. Wręczył ją Ani.

– Gdybyś zmieniła zdanie, to zadzwoni.

„Boże, co za irytujący gość! – pomyślała. – A Malwina mówiła... Nieważne, nie ma co sobie nim głowy zawracać. Grunt, że wygrałam zakład. Jak zwykle!”

Ania niechętnie wzięła wizytówkę i, nie zaszczyciwszy już jej właściciela nawet spojrzeniem, wyszła. Jacek poczłapał za nią do drzwi i przekręcił w nich zasuwę. Gdy został sam, westchnął z żalem:

– Boże, jacy ludzie są banalnie przewidywalni.

A potem uśmiechnął się radośnie i poszedł do kuchni, żeby zrobić jajecznicę tak, jak najbardziej lubił.

Dla samego siebie.

W chwili, gdy za drzwiami mieszkania należącego do Jacka Przypadka rozpoczynały się przygotowania do śniadania, do kamienicy przy ulicy Koneckiej 40 wchodził pan Antoni Gelberg. W lewej ręce miał stylową, zabytkową laskę, drugą przytrzymywał dużą kreślarską tubę przewieszoną przez prawe ramię. W drzwiach minął się z atrakcyjną kobietą, która podarła właśnie czyjaś wizytówkę, a jej resztki rzuciła niedbale na chodnik. Gdy był już na klatce, tuż przed schodami, zatrzymał się na chwilę i sapnął ciężko.

Wyprawa na czwarte piętro mogła mu się wydawać pewnym wyzwaniem, bo dobiegał sześćdziesiątki. Ale laska w jego ręku była jedynie kamuflażem. Miała tylko dodawać wiarygodności temu, że

zatrzymuje się na każdym półpiętrze, sapiąc kilka razy na znak, jak bardzo się zmęczył. Ten postój służył jednak głównie dokładnemu rozejrzeniu się wkoło i sprawdzeniu, czy nikt go nie widzi.

Kiedy był już w połowie między trzecim a czwartym piętrem, z mieszkania numer trzystaście, znajdującego się na wprost schodów, wyszedł jego nowy właściciel. Był to pan Roman Bączek ubrany w pochłapany farbą strój budowlańca. Jego widok na moment stropił antykwariusza. Gdyby był na jednym z niższych pięter, mógłby po prostu ominąć lokatora spod „trzynastki” i pójść spokojnie do góry. Ale w tej sytuacji było to niemożliwe. Dlatego musiał wymyślić błyskawicznie coś innego. Z pomocą przyszedł mu jego niesforny but, który miał skłonność do rozwiązywania się i w tej chwili był również bliski tego stanu. Pan Antoni schylił się, rozwiązał do końca sznurówkę, a następnie starannie zaczął ją zawiązywać.

Pan Bączek również wydawał się być nieco zaskoczony widokiem antykwariusza. Był jednak nowym lokatorem, dlatego nie miał pojęcia, czy ten starszy jegomość nie przyszedł w odwiedziny do kogoś z jego sąsiadów. Postanowił zatem go zignorować. Spokojnie zamknął drzwi i ruszył na dół. Minął Gelberga dość obojętnie i po chwili był już piętro niżej.

Antykwariusz odczekał jeszcze moment, układając symetrycznie na bucie zawiązane sznurowadła. Dopiero gdy osiągnęły one perfekcyjny stan, wyprostował się i rzucił spojrzenie w dół schodów, sprawdzając, czy pan Bączek oddalił się dostatecznie. Następnie wszedł na czwarte piętro i stanął przed drzwiami mieszkania pani Irminy Bamber. Drzwi te wyglądały najsolidniej ze wszystkich na piętrze, a na dodatek były zaopatrzone w dużą ilość zamków. Zapukał do nich energicznie. Bardziej jednak wciąż interesował się tym, czy nikt go nie widzi, niż faktem, czy ktoś mu za chwilę otworzy. Kiedy się upewnił, że żadna para oczu go nie obserwuje, sięgnął do kieszeni po komplet wytrychów i po krótkim namyśle włożył jeden z nich do zamka w drzwiach. Spróbował go przekręcić, jednak bez powodzenia. Wtedy chwy-

cił za klamkę, by poruszyć odrobinę drzwiami i w ten sposób ułatwić pracę wytrycha. Jednak, ku jego zdziwieniu, drzwi otworzyły się całkowicie, zapraszając do wejścia.

„Czyżby zapomniała je zamknąć?” – zdziwił się. Jeszcze raz upewnił się, że nikt go nie widzi, i wszedł do mieszkania pani Irminy Bamber.

Myliłby się ten, kto by pomyślał, że Jacek jest słabym kucharzem i dlatego na śniadanie serwował pospolitą jajecznicę. Przypadek gotował świetnie, wszystkie jego znajome jedzące u niego kolację z uznaniem wypowiadały się o jego kulinarnych możliwościach. Tylko że Jacek zawsze hołdował najprostszym rozwiązaniom. A dla samego siebie szkoda mu było czasu na robienie czegoś bardziej wyszukanego.

Radosny jak szczygiełek wszedł do kuchni, ale zanim otworzył lodówkę, by wydostać z niej jajka, sięgnął na jedną z półek. Zanim chwycił położone tam na płask zdjęcie w ramce przyjrzał się uważnie, pod jakim kątem leżało. Uśmiechnął się. Nie mogło być wątpliwości. Ktoś poruszył fotografią w nocy. Właściwie mógł się tego spodziewać. Przecież wiedział, że Ania jest dziennikarką śledczą.

Ustawił zdjęcie na stole, gdzie zwykle spożywał domowe posiłki. Na fotografii była uśmiechnięta dwudziestokilkulatka ubrana w ciepłą puchową kurtkę. Za nią, w tle, majaczyły wielkie góry okolone błękitnym niebem.

– Widzisz, Baśka, znów musimy jeść we dwoje. Te kobiety...

Baśka, jak zawsze, odwzajemniła jego uśmiech i spokojnie przyglądała się, jak przyrządza jajecznicę, czekając na kolejny posiłek we dwoje. Jednak tym razem nie dane im było w spokoju spożyć śniadania. Ledwie tylko Jacek włożył pierwszy kęs do ust, zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz i ciężko westchnął. „Czego on może ode mnie znowu chcieć?” – pomyślał z niechęcią. Odebrał jednak.

– Cześć, tato... No dobrze, przybiegnę do ciebie... Jak tylko zjem śniadanie.

Jacek rozłączył się i odłożył komórkę. Spojrzał na zdjęcie i zapytał:

– Za co ty go lubiałaś, Baśka?

Kiedy talerz po jajecznicy wylądował w zlewie, pod kamienicę na ulicy Koneckiej 40 zajechała taksówka. Jej kierowca zerknął na taksometr i powiedział do pasażerki:

– Dwadzieścia pięć złotych.

Pani Irmina sięgnęła do torebki i wyjęła portmonetkę. Chwile w niej grzebała, w końcu podała taksówkarzowi trzydzieści złotych.

– Proszę i dziękuję.

Zadowolony kierowca schował zapłatę okraszoną napiwkiem, wysiadł i otworzył bagażnik. Pani Irmina stanęła obok, czekając, aż wyjmie jej walizki. Ta chwila jednak nie następowała, a taryfiarz stał z niewzruszoną miną.

– Może by mi pan pomógł to wnieść na czwarte piętro? Tu nie ma windy.

– Niestety, proszę pani, lekarz zabronił mi dźwigać ciężary.

– No tak, a ja wygrałam plecy na loterii – mruknęła pod nosem pani Irmina i chwyciła swoje walizki.

– Jak pani chce, to mogę pani drzwi przytrzymać.

Pani Irmina najchętniej odburknęłaby coś niemiłego, ale powstrzymała się, bo przy targaniu dwóch walizek nawet otwarcie drzwi na coś się mogło przydać. Kiwnęła więc przyzwalająco głową. Taksówkarz podszedł do ogromnych drzwi z nieprzezroczystego szkła. Szarpnął za klamkę, ale drzwi nawet nie drgnęły.

– Zamknięte są – poinformował swoją klientkę, która postawiła walizki i sięgnęła do torebki po klucze.

Wysiłek ten okazał się jednak zbędny, bo drzwi otworzyły się z impetem i wypadł z nich pan Antoni Gelberg. Normalnie nie miał-

by pewnie problemów z utrzymaniem się na nogach, ale taksówkarz wciąż ciągnął za klamkę z drugiej strony. Dlatego antykwariusz opuścił kamienicę o wiele szybciej, niżby sobie tego życzył. Laska wypadła mu z lewej ręki i gdyby nie tuba kreślarska, która zamortyzowała jego upadek, mógł sobie zrobić krzywdę. I tak jednak padł jak długi u stóp pani Irminy, wywołując jej przerażenie.

– Mógłby pan uważać!

– Proszę mi wybaczyć – Gelberg podniósł się z przepraszającym uśmiechem, który zamarł na jego twarzy, gdy zobaczył, przed kim stoi. Szybko schylił się po laskę i poprawił na ramieniu tubę, jakby bojąc się, że zaraz ktoś mu ją odbierze.

– Co pan tu robi? – pani Irmina była równie zdziwiona jak antykwariusz. – Przecież wyraźnie panu powiedziałam, że nie sprzedam moich obrazów!

– Tak, tak, oczywiście.

Gelberg z błyskiem przerażenia w oczach uklonił się nisko i ruszył w stronę Rakowieckiej. Początkowo usiłował udawać, że tak naprawdę się nigdzie nie spieszy i dreptał małymi kroczkami. Potem zaczął przebierać nóżkami odrobinę szybciej. A kiedy obejrzał się za siebie i zobaczył, że pani Irmina i taksówkarz ciągle na niego patrzą, puścił się pędem, potrącając na rogu ulicy jakiegoś przechodnia.

– Wariat jakiś? – wyraził przypuszczenie taryfiarz.

– Nie, antykwariusz.

– No to blisko byłem.

Widać było w tej chwili, że od strony teoretycznej Jacek jest naprawdę świetnie przygotowany do przebiegnięcia maratonu. Znakomite buty najlepszej firmy, precyzyjny stoper używany przez profesjonalistów i T-shirt, idealnie wchłaniający pot, sprawiały, że wyglądał w tym momencie, jakby miał za kilka sekund wystartować do biegu. I pewnie by to zrobił, gdyby na pierwszym piętrze nie spotkał swojej sąsiadki.

– Dzień dobry, pani Irmino, miała pani wrócić w sobotę – chciał schylić się po postawione przez sąsiadkę walizki, ale zadzwoniła jego komórka. Zerknął na wyświetlacz, uśmiechnął się, lecz nie odebrał.

– Znudziło mi się na tej wsi. Możesz odebrać, ja poczekam.

– To tylko Błażej – chwycił walizki i ruszyli na górę.

– Ten erotoman gawędziarz?

– Przesadza pani. Na panią po prostu nie działa jego zwierzęcy magnetyzm.

– Nie znam takiej, na którą działa – uśmiechnęła się ironicznie. – Bezwarunkowo nie znam – podkreśliła swoje zdanie przy użyciu ulubionego zwrotu. – Ten Bączek skończył remont?

– Od dwóch dni cisza. Coś tam jeszcze chyba robi, ale już po cichu.

– No to chwała Bogu. Jak się wtedy do mnie przebił przez ścianę, to myślałam, że umrę ze strachu.

– Dobrze, że błyskawicznie ją załatał.

– Ale i tak musiałam wyjechać, żeby się choć trochę uspokoić. – Doszli na czwarte piętro i Jacek postawił walizki przed drzwiami starszej pani. – A do ciebie nikt się nie wprowadził w międzyczasie?

– Ja odstraszam kobiety.

– Co ty za głupstwa opowiadasz?!

– Słowo honoru. Ostatnia uciekała ode mnie tak szybko, że nawet jej śniadania nie zdążyłem zrobić.

– Marzena chętnie by zjadła wspólne śniadanie.

– Muszę lecieć, tata na mnie czeka. – Jacek wiedział, że w dyskusji na temat Marzeny jest na straconej pozycji, dlatego postanowił jej nie kontynuować. Zanim sąsiadka zdążyła zareagować, był już piętro niżej.

Starsza pani pokręciła głową z odrobiną dezaprobaty. Bardzo lubiła tego pędziwiatra, jego niestały charakter, który nie przeszkadzał mu podkreślać konserwatywnych poglądów. Lubiała

nawet to, że zmieniał znajome w błyskawicznym tempie. Gdy je czasem widziała, stwierdzała, że z całą pewnością nie zasługiwały na więcej niż chwila zainteresowania. Ale nie miałyby nic przeciwko temu, żeby po drugiej stronie korytarza pojawił się jakiś maluch, którym mogłaby się czasem zająć i znów poczuć się babcią.

Westchnęła i włożyła klucz do zamka. Ku jej zdziwieniu nie chciał się przekręcić we właściwą stronę. Chwyciła za klamkę, żeby spróbować ponownie. Drzwi jednak ustąpiły, wywołując u niej zdziwienie nie mniejsze niż u Gelberga.

„Chyba Wojtuś nie zapomniał zamknąć?” – pomyślała z niepokojem. Szybko weszła do środka, zostawiając walizki przed drzwiami.

Po kilkunastu sekundach wybiegła na zewnątrz, z trudem łapiąc powietrze. Chciała coś krzyknąć, ale nie była w stanie. Jedyne, co wydobyło się z jej ust, to krótkie i ciche:

– O Boże...

W swoim gabinecie, urządzonym gustownie z nutką retro, siedział Młody Bóg Seksu. Wprawdzie miał tylko metr sześćdziesiąt w kapeluszu, na nosie śmieszne okulary i był raczej mizernej postury, ale to nie przeszkadzało w niczym jego świetnemu samopoczuciu. Bo temu nic w kosmosie nie było w stanie zaszkodzić. Dlatego Młody Bóg Seksu, który aktualnie urzędował w kancelarii adwokackiej Sakowicz & Sakowicz, był jednym z najszcześliwszych ludzi na świecie. W tej chwili przeciągnął się w swoim fotelu i podniósł słuchawkę telefonu. Wystukał szybko numer na klawiaturze i czekał przez chwilę na połączenie

– Jacek? No cześć, stary, Błażej mówi. Czemu nie odbierasz? A rozumiem, trenujesz do maratonu – uśmiechnął się ironicznie.
– Może wpadniesz wieczorem do Zakrapialni? Mam przecucie,

że dzisiaj coś na pewno wyrwę. A wiesz, mnie takie przeczucia nigdy nie mylą. Chcesz się założyć? – uśmiechnął się z dużą dozą pewności siebie, której miał zawsze w nadmiarze. Chciał coś jeszcze dorzucić, ale w tej chwili weszła do jego pokoju sekretarka. – Poczekaj chwilę – rzucił do słuchawki i zakrył ją ręką. – Tak? – Dzwoni pan Klempuch w sprawie tego Bambara. – Zaraz odbiorę. – Sekretarka znikła za drzwiami. – Muszę kończyć, mam drugi telefon. To co, do zobaczenia o dziewiątej?

Choć pani Irmina była osobą towarzyską, to jej mieszkanie dawno już nie przeżywało takiego nalotu gości. Tym razem jednak pani Irmina nie mogła im służyć towarzystwem i częstować ich swoimi słynnymi kruchymi ciasteczkami posypywanymi grubym cukrem. Kiedy bowiem goście kręcili się tam i z powrotem z różnymi dziwnymi urządzeniami w rękę, ona sama siedziała przy stoliku badana przez lekarza pogotowia. Zaś jej ciśnienie podskakiwało niebezpiecznie za każdym razem, gdy tylko spojrzała na którąś z czterech jasnych plam o kształcie prostokątów widocznych na ścianie pokoju.

Pracy ekipy technicznej przyglądał się z uwagą podkomisarz Łoś, policjant z dwudziestoletnim stażem, obdarzony imponującymi wąsami. Zarost nie był jednak wyłącznie ozdobą jego twarzy, ale po wielokroć służył mu do myślenia. Tylko wtedy, kiedy próbował nakręcić jedną z końcówek wąsów na wskazujący palec, jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

Tak było i teraz. Przed sobą na stole miał fotografie ściany jeszcze sprzed kradzieży, gdy znajdowały się na niej obrazy uznanych polskich twórców przełomu XIX i XX wieku z jednym z mniej znanych autoportretów Malczewskiego na czele. Łoś przez kilka dobrych chwil patrzył to na fotografie, to na ścianę, nie zapominając przy tym podkreślać wąsa. Kiedy zakończył tę czynność, zwrócił się do lekarza.

– Możemy jeszcze chwilę porozmawiać? – wskazał na panią Irminę.

– Ale dosłownie moment. Muszę panią zabrać na obserwację do szpitala.

Policjant kiwnął potakująco głową.

– Te obrazy były ubezpieczone?

– Oczywiście.

– A więc dostanie pani niezłe odszkodowanie – uśmiechnął się pod wąsem Łoś.

– Czyżby pan coś sugerował? – obruszyła się pani Irmina, a lekarz spojrział na podkomisarza z wyrzutem.

– Ja tylko pytam, nie sugeruję – zaznaczył stanowczo policjant. – Podejrzewa pani kogoś o kradzież?

– Najbardziej tego łobuza Gelberga.

– Tego antykwariusza?

– Tego samego. Nachodził mnie od paru miesięcy, bo miał podobno dobrego kupca na te obrazy. A dziś zderzyłam się z nim dole w drzwiach. Strasznie się przestraszył, gdy mnie zobaczył.

– Coś tam na niego mamy w aktach... – pokiwał głową Łoś. – A jeszcze kogoś pani podejrzewa?

– Mojego nowego sąsiada, Bączka. Przebił się do mnie tydzień temu przez ścianę – wskazała głową na miejsce, z którego wyszło okrutne wiertło sąsiada.

– Tutaj? – upewnił się podkomisarz, wskazując na małą, białą plamkę na ścianie.

– Tak. To białe to ślad po dziurze.

– Domyśliłem się. Ale raczej trudno było przez ten otworek wynieść obrazy.

– Ale on zaraz potem do mnie przyszedł i mało mu oczy z orbit nie wyszły, jak to wszystko zobaczył. On ma takie małe chytre oczka.

– Rozumiem – policjanta chyba nie przekonały dowody na udział pana Bączka w kradzieży. – No nic, my się tu jeszcze trochę porozglądamy a potem zabezpieczymy to miejsce.

– Tylko dokładnie – pani Irmina podniosła palec w geście napomnienia. – Inspektor Zasada to mój dobry znajomy.

Łoś skrzywił się i spojrzał na aspiranta Smańkę, który właśnie wrócił po przesłuchaniu trójki sąsiadów mieszkających na trzecim piętrze. Smańko pokiwał głową, że rozumie ból przełożonego. Rozwiązywanie zagadek, w których przewijają się znajomi różnych komendantów policji, nigdy nie należało do przyjemnych zajęć.

To był naprawdę piękny kosz róż. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest ich tam przynajmniej pięćdziesiąt. Wprawne dłonie ułożyły je z kunsztem godnym wielkiego artysty i precyzją maszyny. A teraz inne wprawne dłonie przeliczały banknoty, które wręczył im mecenas Fryderyk Przypadek. Przy ostatnim z nich dłonie jakby się zawahały.

– Reszty nie trzeba – rozwiął wątpliwości dłoni adwokat. Dłonie, razem z całą postacią, do której należały, pochyliły się grzecznie w podziękowaniu i wyszły.

Choć kosz róż stał na biurku tuż przed jej nosem, Marzena starała się go nie zauważać. Wpatrywała się pilnie w ekran swojego komputera i wypełniała grzecznie obowiązki aplikantki adwokackiej, stukając w klawiaturę. Jej patron nie miałby nic przeciwko temu, gdyby rzeczywiście nie zauważyła tego kosza, ale skoro już się to stało, poczuł się w obowiązku wytłumaczyć.

– To dla żony... – Marzena pokiwała twierdząco głową, ale wciąż nie odrywała wzroku od ekranu komputera. Pan Fryderyk poczuł się lekko niezręcznie, dlatego postanowił zmienić temat. – Pamiętasz, Marzenko, że w sobotę jesteście z Jackiem u nas na obiedzie?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała aplikantka, wciąż nie spoglądając na swojego patrona. Tylko na moment pojawił się na jej twarzy delikatny grymas niezadowolenia. Kątem oka zauważyła, że mecenas spogląda na zegarek. – Czeką pan na kogoś?

– Na twojego „narzeczonego” – pan Fryderyk wyduł ironicznie wargi. Na dźwięk znienawidzonego słowa twarz jego aplikantki stężała na moment, zaś palce przestały stukać w klawiaturę. – Spóźnia się jak zwykle. Pewnie mu się nie spieszy...

Przypuszczenie pana Fryderyka było głęboko niesprawiedliwe. Jacek chciał do niego dotrzeć jak najszybciej i wcale nie zamierzał się spóźnić. Ale jak tu się nie zatrzymać w parku i nie zrobić paru skłonów, kiedy tuż obok gimnastykują się dwie sympatyczne panie? Przecież dzięki temu i one, i on będą mieli dużo miłszą pozostałą część dnia. Bo obopólna wymiana komplementów i numerów telefonów nic nie kosztuje, a może dać tyle przyjemności.

Pan Roman Bączek był właśnie zajęty przybijaniem listwy przypodłogowej u dołu jednej ze ścian, kiedy usłyszał energiczne pukanie do drzwi. Wstał i otrząpał robocze spodnie z białego pyłu, którego wciąż było pełno w pomieszczeniu. Mieszkanie było świeżo wyremontowane i w pokoju nie znajdowało się nic poza czterema ścianami. No i starym, połamanym żyrandolem, który smętnie zwisał z sufitu.

Pan Bączek, zanim poszedł otworzyć drzwi, spojrzał jeszcze na świeżo przybitą listwę. Nie dało się ukryć, że różniła się od pozostałych. Trudno było jednak o co innego, skoro ta była nowa, a pozostałe miały już swoje lata. Ale tylko ta wymagała wymiany, bo jej poprzedniczka po oderwaniu do niczego się nie nadawała. Pozostałe zaś mogły służyć jeszcze wiele lat i oszczędnemu panu Romanowi szkoda było je wymieniać, nawet jeśli miałyby lepiej pasować.

Energiczne pukanie do drzwi powtórzyło się. Pan Roman odłożył młotek, powoli ruszył w ich stronę i, nie wyglądając przez judasza, otworzył je. Już wcześniej zauważył, że na piętrze kręci się pełno policji. Dlatego nie miał wątpliwości, kto ma go zamiar odwiedzić i przygotował się na tę wizytę.

Przed drzwiami stało dwóch policjantów, jeden przysadzisty, z sumiastym wąsem, drugi wysoki, szczupły, z ptasią główką.

– Podkomisarz Łoś – przedstawił się przysadzisty. – Możemy porozmawiać?

– Coś się stało?

– Pańskiej sąsiadce skradziono obrazy. Chcieliśmy zapytać, czy nie pan nie widział? A może coś pan słyszał? Można?

– Proszę – Bączek bez entuzjizmu wpuścił policjantów do swojego mieszkania.

– Niewiele tu u pana – stwierdził starszy aspirant Smańko po obejrzeniu gołych ścian.

– Niedawno kupiłem to mieszkanie i dopiero skończyłem remont.

– Chyba pan jeszcze nie skończył? – Smańko wskazał na leżący na podłodze młotek i małe gwoźdźniki obok niego.

– To tylko ostatnie parę puknięć. Ale wcześniej to tu była robota na całego. Znaczy głośno było i niewiele mogłem usłyszeć.

Łoś przyjrzał się uważnie ścianie, u podstawy której Bączek przed chwilą przybijał przypodłogową listwę.

– Dziurę pan elegancko załatał.

– Już naskarżyła? – prychnął niezadowolony. – Ja to nie mam szczęścia do sąsiadów. Myślałem, że mnie zamorduje, jak się do niej przebiłem! Cały czas wrzeszczała, że mało jej autoportretu Malczewskiego nie podziurawiłem.

– Czyli wiedział pan, że jej obrazy są cenne?

– Ja tam się nie znam na obrazach. Dla mnie Malczewski czy Matejko to jeden chłam.

– Ale orientuje się pan – Łosia coraz bardziej fascynowała naprawiona ściana i przyglądała się jej z rosnącą uwagą – że obrazy obydwu panów są bardzo cenne?

– Może i tak. Ale chyba mnie panowie o nic nie podejrzewacie?! Co pan się tak tej ścianie przygląda?!

– Po co te nerwy? – Łoś spojrzał na niego zdziwiony. – Podziwiam robotę fachowca. Śladu nie ma. Pan jest tynkarzem?

– Z wykształcenia jestem ślusarzem. Ale tak w ogóle to złota rączka jestem, wszystko potrafię.

– Rozumiem. Będziemy pana musieli oficjalnie przesłuchać. Proszę do mnie jutro przyjść – podkomisarz wręczył Bączkowi swoją wizytówkę.

– Ale ja nic nie wiem...

– To tylko zwykła, rutynowa czynność. Do widzenia.

Kiedy Bączek zamknął drzwi za policjantami, nerwowo wyciągnął z kieszeni koszuli paczkę papierosów i wyjął jednego z nich. Zapalił, zaciągając się intensywnie dymem. Potem kilka razy powtórzył tę czynność. Później otworzył okno i pstryknięciem palcami pozbył się niedopałka. Po chwili schylił się po młotek oraz gwoździaki i wrócił do pracy, którą przerwała mu wizyta policjantów.

– Dupę człowiekowi zawracają, zamiast złodziei łapać – burknął pod nosem, stukając w jeden z ostatnich gwoździaków.

Pan mecenas Fryderyk Przypadek stał przed lustrem i uważnie się przyglądał własnej sylwetce. Mimo że dobiegał już sześćdziesiątki, to wciąż mógł uchodzić za atrakcyjnego mężczyznę. Co gorsza, nie tylko mógł, ale nawet uchodził. I choć od z górą trzydziestu lat pozostawał w szczęśliwym związku ze swoją żoną Felicją, to wciąż nie potrafił powstrzymać się przed wykorzystywaniem swojego męskiego uroku. I to była chyba jedyna cecha łącząca obu panów Przypadków.

Jedną z bardziej różniących ich spraw był ubiór. Pan Fryderyk, dżentelmen starej daty, właściwie nigdzie nie pokazywał się bez garnituru. A już przenigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby przyjść na jakiekolwiek spotkanie w stroju sportowym. Dlatego skrzywił się z niesmakiem, kiedy Jacek, wkroczywszy do jego gabinetu, nogę zarzucił na jego biurko i zaczął wykonywać jakieś dziwne ćwiczenia.

Pan Fryderyk, czekając na chwilę, gdy syn zakończy tę gimnastykę, usiadł w swoim fotelu i napił się dwa łyki soku marchwiowego ze szklanki na biurku. Potem jeszcze przebiegł wzrokiem leżącą na blacie ulotkę fitness klubu „Supermen”. Uśmiechnął się na widok wysportowanych pań, które na niej występowały. Później przez moment, coraz bardziej zniecierpliwiony, obracał w dłoni swoją nową komórkę.

– Usiądź wreszcie – rzucił w końcu do syna.

– Nie mogę. Muszę rozciągnąć mięśnie. Inaczej nici z moich przygotowań do maratonu.

– Czy ty naprawdę nie masz zamiaru zająć się w życiu czymś poważnym?

Jacek na chwilę przestał rozciągać mięśnie i spojrzał na ojca podejrzliwie.

– To mogłeś mi wypomnieć przy rodzinnym obiedzie.

– Nie chciałem rozmawiać przy matce.

– Rozwodzicie się?

– Ależ skąd! – pan Fryderyk spojrzał na syna z wielkim oburzeniem. Jak on mógł w ogóle coś takiego pomyśleć?! Przecież w rodzinie Przypadków nigdy nie było żadnych rozwodów! – Chodzi o to, że matka wciąż mocno przeżywa te złe recenzje swojego tomiku poezji. A ja ostatnio mam więcej pracy. Dobrze, że nie wie o twoim rozstaniu z Marzeną.

– Mam częściej odwiedzać mamę? – domyślił się Jacek.

– W porządku. Tylko nie licz na to, że wrócę na studia.

– Jak chcesz. Ale to by na pewno ucieszyło matkę i podniosło ją na duchu.

– Mamie na tym nie zależy. A ja nie skończę prawa, nie zrobię aplikacji i nie obejmę po tobie kancelarii. I dobrze by było, żeby to wreszcie do ciebie dotarło.

– Niby dlaczego?

– Bo tak ci będzie łatwiej żyć. A tak za każdym razem, kiedy spróbujesz mnie do tego namówić, znów się rozczarujesz. Na-

prawdę masz ochotę raz na kilka miesięcy przeżywać kolejny zawód?

– Nigdy nie zrozumieć twojego oślego uporu – pan Fryderyk pokręcił głową z niedowierzaniem. – Moglibyśmy wtedy wspólnie pracować, zawsze o tym marzyłem...

– To pomyśl, że wtedy byłoby ci trudniej ukryć każdą nową przyjaciółkę. – Jacek skończył rozciągać nogi i zajął się prostowaniem pleców. – Tę obecną także...

Pan Fryderyk uniósł się z oburzenia na fotelu. Na co ten gówniarz sobie pozwala?!

– Skąd ci to przyszło do głowy?!

– Bo ludzie są banalnie przewidywalni, tato.

– Co ty mówisz?! I przestań mi się przypatrywać z tym swoim ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwym wyrazem twarzy! Czy ty wiesz, jak to innych irtuje?! No tak, ale ty się nigdy nie przejmowałeś, że wciąż irtujesz wszystkich ludzi!

– Po prostu przyzwyczailem się do tego.

– No to może najwyższy czas się od tego odzwyczaić i nauczyć się pewnych zasad współżycia społecznego. I powiedz mi wreszcie, skąd ci przyszło do głowy, że zdradzam twoją matkę.

– Nie chcę mi się – Jacek ruszył do drzwi, ale zatrzymał się w ostatniej chwili. – No chyba, że obiecasz mi, że przez najbliższy rok słowem nie wspomnisz o moim powrocie na studia.

– Tylko jeśli uznam, że twoje podejrzenia mają jakiś sens. A ponieważ wiem, że są pozbawione sensu...

– Po pierwsze – przerwał mu Jacek – masz dużo pracy i późno wracasz do domu, choć każdy wie, że nie lubisz się przepracowywać.

Jacek potruchtał w kąt gabinetu ojca i wyciągnął stamtąd dwie kilkukilowe hantle.

– Po drugie: trenujesz w pracy. Czyli potrzebujesz lepszej kondycji. Zmieniłeś nawet dietę na zdrowszą – wziął do ręki szklankę z sokiem marchwiowym i wypił ją duszkiem.

– Jestem coraz starszy, muszę o siebie więcej dbać.
– Masz ulotkę z fitness klubu, czyli hantle to za mało.
– To bardzo elegancki fitness club, można tam spotkać odpowiednich ludzi.

– Znaczący jest sporo młodsza, bo potrzebujesz superkondycji – Jacek zignorował tłumaczenie ojca. – Po trzecie: masz też drugi telefon, na który dzwoni pewnie tylko ona. Trzymasz go blisko siebie, boisz się wypuścić z ręki, żeby ktoś inny nie zobaczył, kto telefonuje. Pewnie gdy do ciebie dzwoni, gra jakaś piękna muzyka.

Jacek otworzył nagle wielką przeszkloną szafę. Stał tam wspaniały kosz róż składający się na oko z pięćdziesięciu sztuk. Można było powiedzieć, że były krwiście czerwone, ale ich kolor bladł w tej chwili straszliwie, bo nie wytrzymywał konkurencji z obecną barwą twarzy pana Fryderyka.

– To dla twojej mamy – mecenas zdawał sobie sprawę, że jego obrona jest coraz bardziej rozpaczliwa i bezsensowna. Ale nie miał wyjścia, bo praktyka zawodowa podpowiadała mu, że podstawą sukcesu jest trzymanie się kierunku raz obranego kłamstwa.

– Po czwarte: od dziesięciu lat nie dałeś mamie róży. Jesteś sknerą, który nawet nie zatrudnia sekretarki, tylko wykorzystuje do wszystkiego swoją aplikantkę. Hojny robisz się wyłącznie wtedy, gdy w grę wchodzi nowa kobieta. I jak, wciąż marzysz o pracy ze mną?

Zanim mecenas zdążył powiedzieć cokolwiek, komórka na jego biurku zaczęła wygrywać bardzo znane miłosne trele. Jacek uśmiechnął się kpiąco i wyciągnął z kosza jedną z róż, burząc całą misterną konstrukcję. Wyszedł z gabinetu z kwiatem i z szelmowskim uśmiechem wręczył go Marzenie. A potem wybiegł na dobre z kancelarii, pozostawiając jej obydwu pracowników w osłupieniu.

Pan Fryderyk siedział za swoim biurkiem przez kilka minut jak rażony gromem. Nie był nawet w stanie odebrać dzwoniącego wciąż telefonu. Za to aplikantka odzyskała rezon już po chwili. Spojrzała wściekła na różę i wyrzuciła ją do stojącego obok jej biurka kosza na śmieci.

Anna Sobania, dziennikarka pracująca w redakcji gazety „Nowe Życie”, bardzo lubiła swoje życie i swój zawód. Wykonywała go z niekłamaną pasją i była przeświadczona o jego niezbędności i wadze dla współczesnego świata. Tak jak jej wielu kolegów uważała, że są nawet nie tyle czwartą władzą w demokracji, ale pierwszą i absolutnie najważniejszą. Trudno się było dziwić ich przekonaniu. Przecież jako jedyni nie podlegali demokratycznej kontroli! Wyborcy z dnia na dzień nie mogli zdecydować, że panowie redaktorzy już nie będą u władzy. To dawało im poczucie stabilności, które zawsze świetnie wpływa na humor rządzących.

Redaktor Sobania rzeczywiście czuła, że ma władzę, pozostając poza kontrolą. I że zdecydowanie powinna z niej korzystać, pokazując rządzonemu, co powinni myśleć, jakich wyborów dokonywać, żeby móc uważać się za ludzi światłych i mądrych. Takich jak ona, kobieta zupełnie niezależna, wyzwolona z płciowych stereotypów, świadoma swojej siły i umiejętnie z niej korzystająca. Słowem, krocząca od sukcesu do sukcesu! I niezatrzymująca się niepotrzebnie po drodze, bo szkoda tracić czas.

Dziś zresztą odniosła kolejny sukces. W mistrzowski sposób pożegnała swojego nowego znajomego, który wydawał się być całkowicie rozbity jej postawą. Na dodatek czuła, że to nie koniec zabawy z nim. Znała się dobrze na takich jak on. Była przekonana, że przez jakiś czas nie będzie mogła się opędnąć od jego telefonów, wyznań miłości i okrutnych gróźb zawiedzio-

nego kochanka. Dzięki temu będzie miała okazje potrenować złośliwe riposty i jeszcze raz utwierdzić się w przekonaniu, że faceci generalnie to żalosne dupki.

Teraz jednak z niepokojem spoglądała na wyświetlacz swojej komórki leżącej tuż obok. Przecież minęły już prawie trzy godziny, a telefon uparcie milczał! Czyżby ten Przypadek zgubił gdzieś jej numer?!

Jej niepokój nie uszedł uwagi rozmawiającej w tej chwili przez komórkę Malwiny Żarskiej, jej redakcyjnej koleżanki. Zresztą nie tylko koleżanki, może nawet przyjaciółki. Obie były trochę jak dwie strony tego samego medalu. Cele, do których dążyły, zdawały się być zbliżone. Tylko że w odróżnieniu od Sobani Żarska wyznawała starą rosyjską zasadę. Ciszej jedziesz, dalej zajedziesz. I kiedy koleżanka błyskała swoimi sukcesami gdzie popadnie, ona cichutko wkładała je do eleganckiej torebki.

– No to pa, misiu, do zobaczenia – widząc rozdrażnienie koleżanki, Żarska postanowiła nieco szybciej zakończyć prowadzoną rozmowę. – Nie dzwoni? – zapytała.

– Kto?

– Pan Przypadek.

– Czemu miałby dzwonić?

– Zawsze dzwonią. Nie spodobałaś mu się? – Malwina uśmiechnęła się ironicznie.

– Chyba żartujesz?! – oburzyła się Ania. – Wiesz, jak rano skamlał o drugie spotkanie? Czemu się śmiesz?

– To jego stary numer. Metoda „na zakochanego frajera”. Nic tak nie zniechęca do drugiego spotkania jak płaczliwa prośba o nie.

– To niemożliwe – spojrzała na koleżankę z mieszaniną niedowierzania i podejrzliwości. – Chcesz powiedzieć, że on się mnie w ten sposób pozbył? – redaktor Sobania przez chwilę

zastanawiała się nad prawdopodobieństwem tego wydarzenia, w końcu uznała, że jest absolutnie niemożliwe. – Bzdura – stwierdziła stanowczo. – Po prostu nie chcesz się przyznać, że przegrałaś wczorajszy zakład.

– A ty uważasz, że go wygrałaś?

– No oczywiście. Twierdziłaś, że Przypadek jest „nie do wyjęcia”, a ja przecież...

– Pan Przypadek jest nie do wyjęcia na stałe. Jednorazowy numer to łatwizna.

– Coś kręcisz – redaktor Sobania wstała i zaczęła pakować swoje drobiazgi z biurka do torebki. – Wczoraj nic nie mówiłaś.

– Bo zanim zdążyłam ci cokolwiek wyjaśnić, ty już do niego wystartowałaś.

– Gdybym wiedziała, że to ma być na dłużej, w ogóle bym się w to nie bawiła.

– Bo i tak byś przegrała.

Ania spojrzała uważnie na Malwinę. Wprawdzie wciąż uważała, że koleżanka przede wszystkim wykręca się od uregulowania należności za przegrany zakład, ale upór, z jakim chciała ją zdenerwować i sprowokować, był zastanawiający. A do tego na tyle intrygujący, że redaktor Sobania postanowiła sprawdzić, skąd on się bierze. Dlatego odpowiedziała:

– Gdybym tylko chciała, od razu by...

– Tak? A założymy się, że druga randka nie jest możliwa?

Do takiego zakładu pani redaktor Sobani nie trzeba było dwa razy zachęcać.

– O to, co zwykle? – zapytała tylko z błyskiem hazardzisty w oku.

– Tak. Tylko nie próbuj oszukiwać, bo ja dobrze znam pana Przypadka i wszystko mogę sprawdzić.

Jacek z niepokojem zauważył, że przed jego kamienicą stoją policyjne radiowozy. Kątem oka dostrzegł również, że gdy otwierał duże drzwi z nieprzezroczystego szkła, jeden z funkcjonariuszy, patrząc w jego stronę, rzucił coś szybko do krótkofalówki. Dlatego nie zdziwiło go aż tak bardzo, kiedy z mieszkania pani Irminy wyszedł przysadzisty mężczyzna z dużymi, sumiastymi wąsami i zapytał:

– Pan tu mieszka?

– Nie. Tak tylko przebiegałem z kluczami.

– Pan sobie ze mnie żartuje? – oczy policjanta niebezpiecznie się zwęziły. W jednej chwili poczuł, że nie polubi tego gościa w stroju do biegania, który patrzy na niego takim niesłychanie ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwym spojrzeniem.

– A ma pan poczucie humoru?

– Oczywiście, że mam – wycedził chłodno policjant – ale w tej chwili prowadzę poważne śledztwo. Pan pozwoli ze mną – rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu i ruszył w stronę mieszkania.

– Coś się stało pani Irminie?

– To ja tu zadaję pytania. Pan ją dobrze zna?

– Od małego.

– A kiedy ostatnio ją pan odwiedzał?

– Tuż przed jej wyjazdem – weszli do pokoju, w którym Jacek zobaczył na ścianie cztery jasne plamy po obrazach. – Zresztą wpadam do niej regularnie, bo mieszka sama.

– Ale chyba miewa często gości?

– Owszem, czasami, choć zdecydowanie bardziej woli bywać.

– A ktoś oprócz pana bywa u niej regularnie?

– Tak, jej wnuczek, Wojtek Bamber.

Smańko nachylił się do ucha podkomisarza i coś przez chwilę mu szeptął. Łoś tylko kiwnął twierdząco głową i Smańko wyszedł z pokoju.

– Czekamy właśnie na niego – wrócił do rozmowy policjant. – On podobno miał się zajmować tym mieszkaniem w ostatnim tygodniu. Widział go tu pan?

– Nie.

– A może nam pan coś powiedzieć o panu... – Łoś zajrzał do swoich notatek – Bączku?

– Niewiele. Kupił to mieszkanie niedawno. Dwa tygodnie temu przyszedł się przedstawić i przeprosić, że właśnie urządza remont i będzie strasznie hałasował. Między innymi dlatego pani Irmiona zdecydowała się wyjechać, bo pan Bączek robił to głównie wieczorami albo wczesnym rankiem.

Do mieszkania wszedł znerwicowany młodzieniec w stroju dość niedbałym, o oczach bliźniaczo podobnych do oczu pani Irmiony. W tej chwili biegały one z niepokojem po mieszkaniu i mogły łatwo popaść w oczopląs. Widząc Jacka, młodzieniec przywitał się z nim lekkim kiwnięciem głowy, choć był to ruch tak gwałtowny, że można go było wziąć za tik nerwowy. Kiedy zaś szybkim ruchem wyciągnął rękę w stronę policjanta, ten drgnął, jakby się bał, że zostanie ugodzony nożem.

– Dzień dobry, Wojciech Bamber.

– Łoś. Podkomisarz Łoś – skinął mu głową podkomisarz i z powrotem odwrócił się w stronę Jacka. – To na razie wszystko. Gdyby pan sobie coś przypomniał, proszę do mnie zadzwonić – podał mu wyjętą z górnej kieszeni płaszczka wizytówkę.

– Dobrze – Jacek podniósł się. Gdy był jednak już prawie w drzwiach, przystanął nagle. – Może to panom coś pomoże. Po drugiej stronie ulicy jest nowy apartamentowiec. Mam wrażenie, że kamera przy wejściu jest ustawiona pod takim kątem, że obejmuje również bramę naszej kamienicy.

Ze stoliczka spadła lampka i stuknęła o podłogę. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się od razu na Wojtka Bambara, który klęczał obok niej, ale bynajmniej nie po to, by ją podnieść. W tej chwili sam potrzebował pomocy, bo bezradnie szukał ręką czegoś do złapania się. Trafił na dłoń aspiranta Smańki.

– Coś się panu stało? – zapytał policjant.

– Nic. W głowie mi się zakręciło. To z nerwów.

Antykwariusz Gelberg spędził większość dzisiejszego dnia poza swoim sklepem. Musiał odpowiedzieć na bardzo wiele kłopotliwych pytań dotyczących powodów, z jakich znalazł się rano w kamienicy przy ulicy Koneckiej 40. Ponieważ nie mógł powiedzieć prawdy, a natura nie obdarzyła go zbyt dużym talentem do kłamania, sam czuł, jak płacze się w zeznaniach. Pod koniec przesłuchania właściwie był już pewien, że zostanie zatrzymany przynajmniej „do wyjaśnienia”.

O dziwo jednak policjanci dość łatwo dali wiarę jego wyjaśnieniom, co zdumiało nawet jego samego. Dlatego gdy wkroczył wieczorem do antykwariatu, był w dość dobrym nastroju. Nie popsuła mu go nawet wiadomość, którą zaraz od progu powitała go rudowłosa Helena.

– Dzwonił ten Klempuch.

– I co mu powiedziałaś?

– Tak jak pan kazał. Że wezwała pana policja w związku z kradzieżą obrazów Bamberowej.

– Przestraszył się?

– Raczej był niezadowolony. Kazał powiedzieć, żeby odezwał się pan do niego, jak już wszystko się wyjaśni.

– No to mam nadzieję, że to nieprędko nastąpi – powiedział bardziej do siebie niż do pracownicy. — Możesz już iść, zamknę dzisiaj sam.

– Dziękuję, do widzenia.

Helena chwyciła swoją torebkę i wyszła. Gelberg starannie zamknął za nią drzwi na klucz. Potem przeszedł do niewielkiego pomieszczenia bez okien, które czasem służyło jako podręczny magazynek. Nacisnął włącznik światła. Już po chwili żarówka rozjarzyła się, ale Gelberg przez kolejnych kilkanaście sekund nie puszczał przycisku. Zrobił to dopiero, kiedy w ścianie przy wejściu odskoczyła jakaś klapka i ukazał się w niej otwór. Jego średnica nie była duża, za to głębokość chyba dość znaczna, bo antykwariusz wyciągnął ze środka długą, czarną tubę, która towarzyszyła mu podczas dzisiejszej wizyty u pani Bamber.

Położył ją na jednym ze stolików i otworzył. Wyciągnął z niej cztery zwinięte w rulon płótna. Rozprostował je i przyjrzał się im. „Tak, ten autoportret Malczewskiego wyszedł mu znakomicie. Trochę go szkoda – pomyślał. – Cholera, wszystko miało być nie tak. Przecież tej Bamber tam miało nie być!”.

Wyjął z kieszeni zapalniczkę. Zapalił ją i na moment zbliżył jej płomień do autoportretu. Zanim jednak płótno zdążyło się zająć, zgasił zapalniczkę. Potem znów ją zapalił, żeby po chwili ponownie zgasić. I tak kilka następnych razy. W końcu schował zapalniczkę do kieszeni, zrolował z powrotem obrazy i włożył je do tuby, którą ukrył w ściennej skrytce.

Zgasił światło i wyszedł.

Młody Bóg Seksu siedział przy stoliku w Zakrapialni, jednym z najmodniejszych klubów w Warszawie. Wejścia do niego strzegło dwóch doświadczonych selekcjonerów. Nigdy nie wpuszczali oni do środka osób, których wygląd mógłby w jakikolwiek sposób zepsuć humor stałym bywalcom. Wstęp mieli tu sami szczęśliwi i zadowoleni ludzie ubrani w odpowiedniej jakości stroje. To pozwalało myśleć tym, którzy znaleźli się w środku, że należą do jakiejś wyjątkowej elity. I ta świadomość jeszcze bardziej poprawiała im humor i przyciągała do tego miejsca.

Młody Bóg Seksu, sącząc egzotycznego drinka, był w doskonałym nastroju i co chwilę rzucał najbardziej zabójcze ze swoich spojrzeń każdej z przechodzących klubowiczek. Nie przejmował się ich brakiem reakcji, bo wiedział doskonale, jak tę obojętność wytłumaczyć. Po prostu robił na nich tak kolosalne wrażenie, że nie śmiały podnieść na niego wzroku.

– Cześć, Błazej – Jacek dosiadł się do przyjaciela. – Co słychać?

– Jak zwykle. Wszystkie laski na mnie strasznie lecą – powiedział ze śmiertelnie znużoną miną młody mecenas i nikt nie mógł wątpić, że absolutnie i bez zastrzeżeń wierzy w swoje sło-

wa. – Chyba znowu będę musiał zmienić sekretarkę, bo się nie mogę skupić w pracy, jak się na mnie cały czas gapi. A jeszcze ta aplikantka... Ja nie wiem, co one we mnie widzą.

– Przecież już to kiedyś ustaliliśmy. To twój zwierzęcy magnetyzm.

– Racja – przytaknął, jakby rzeczywiście zapomniał o największym ze swoich atutów. – A co u ciebie? Była tutaj ta pan-na, co ją ostatnio wyjąłeś. Strasznie się o ciebie wypytywała. Zakochała się?

– Dopiero się zakocha – Przypadek uśmiechnął się tajemniczo pod nosem. – Mówiłeś to, co zwykle?

– Jasne... Marzena twoją narzeczoną jest, ale macie akurat kryzys. A propos Marzeny, ona też strasznie na mnie leci, czasem już nie wiem, co mam zrobić, żeby się jej pozbyć.

– Powiedz jej, że jesteś moim przyjacielem i dlatego nie możesz tego robić z moją narzeczoną.

– Nie uwierz mi. Przecież jesteście ze sobą na niby.

– Na pewno dasz sobie radę – poklepał go po ramieniu. – Gdybyś ulegał każdej babce, która na ciebie leci, nie wychodziłbyś z łóżka.

Błażej pokiwał potakująco głową. Co prawda, to prawda. Nikt w końcu nie znał go lepiej niż Jacek. Łączyła ich przyjaźń sięgająca przysłowiowej piaskownicy. Znali się jak dwa tyse ko-nie i rozumieli bez słów. Dlatego Błażejowi nie mógł umknąć nastrój przyjaciela.

– Coś się stało?

– Okradli mi sąsiadkę.

– Tę Bamber? – Jacek kiwnął potakująco głową. – Czeka-j, czekaj. Jej wnuczek ma na imię Wojtek?

– Tak.

– Że też go wcześniej nie skojarzyłem. Wyobraż sobie, że jest winny mojemu klientowi sto tysięcy i nie bardzo chce oddać.

– A kim jest twój klient?

– Nazywa się Klempuch. Lichwiarz, ale dobrze płaci.

- Przecież ty się specjalizujesz w prawie autorskim.
- No i prowadzę dla niego też taką sprawę. A ponieważ jest zadowolony, to powierzył mi także i to. – Błazej dopił ostatni łyk drinka i uznał, że czas zacząć właściwą zabawę. – Chodź na densflor, to ci pomogę coś wyjąć.
- A jeśli chodzi o Wojtka Bambera...
- Stary, tajemnica zawodowa. Ale na twoim miejscu namówiłbym tego twojego Bambera na oddanie kasy, bo zdaje się, że jak Klempuchowi kończą się argumenty prawne, to sięga też po inne...

Wojciech Bamber spojrzał na krew ciekącą z jego nosa na rękę. Wyglądała chyba dość autentycznie, bo uśmiechnął się zadowolony. Na wszelki wypadek rozdarł jeszcze szybko rękaw swojej koszuli i wpadł do apartamentowca przy Koneckiej 37, znajdującego się niemal naprzeciwko kamienicy zamieszkiwanej przez jego babcię. Ślaniając się na nogach, podszedł do ochroniarza stojącego za kontuarem portierni i dramatycznie oświadczył:

- Proszę mu pomóc!
- Komu? Co się stało? – zapytał zdezorientowany ochroniarz.
- Napadło na nas jakichś dwóch zbirów... Wyrwałem się, ale tam jest jeszcze mój kolega. Oni go zabijają!
- Ale...
- Proszę się pospieszyć, bo może być za późno!

Zaraz, gdy tylko za ochroniarzem zamknęły się drzwi, Bamber błyskawicznie znalazł się po drugiej stronie kontuaru. Na jednym z czterech monitorów widział ochroniarza, który bezskutecznie rozglądał się po ulicy w poszukiwaniu potrzebnego pomocy kolegi Wojtka. Nie tracąc go z pola widzenia, Bamber zaczął błyskawiczne przeszukiwać szafki. Wciąż jednak nie mógł natrafić na to, czego szukał, i w coraz większej panice otwierał kolejne drzwiczki i szuflady. Bez rezultatu.

– Może w czymś pomóc? – zapytał nagle znany mu głos. Bamber podniósł głowę znad kontuaru i ujrzał uśmiechającego się podkomisarza Łośa.

– Szukam waty, żeby zatamować krew – Wojtek z niepokojem spojrzał na starszego aspiranta Smańkę, który trzymał w ręku kasetę.

– Doprawdy? A mnie się wydawało, że raczej czegoś innego.

Łoś uśmiechnął się z wyższością i wymienił ze Smańką porozumiewawcze spojrzenie. Następnie wyjął z ręki podwładnego kasetę i pomachał nią w stronę Bambera.

– Jak tylko zobaczyłem, co jest na tej kasecie, od razu wiedziałem, że spróbuje ją pan zdobyć. Ale my byliśmy szybsi – uśmiechnął się triumfująco Łoś.

– Świetnie pan to wymyślił, panie komisarzu – powiedział Smańko, zapominając, że to on sam spędził długie godziny na przeglądaniu kaset i podsunął przełożonemu właściwe rozwiązanie. Ale Smańko był inteligentnym człowiekiem i wiedział, że każdy podwładny powinien zapomnieć o takiej rzeczy. I wiedział, że nie musi się bać, iż Łoś pomyśli, że starszy aspirant mu się zwyczajnie podlizuje. Każdy bowiem przełożony ma wbudowany w głowę mechanizm, który mądre myśli podwładnych automatycznie zapisuje jako własne, zaś własne błędy czyni automatycznie ich błędami.

– Lata praktyki, Smańko. Bierzcie go.

Starszy aspirant wyjął z kieszeni kajdanki i ruszył w stronę Bambera.

Pomoc Błażeja nie przyniosła tym razem oczekiwanych rezultatów. Choć jak zapewniał Młody Bóg Seksu, był to absolutny wyjątek, i kolejnym razem Przypadek coś na pewno „wyjmie” przy jego pomocy. Nie zmieniało to jednak faktu, że Jacek następnego dnia obudził się sam. No, może nie do końca sam,

bo od razu po otwarciu oczu zaczął mu towarzyszyć duży ból głowy. Przypadek przez jakiś czas liczył na to, że „migrena” sama zrozumie, że nie jest mile widzianym gościem, i starał się ją ignorować. Ale ona uparcie łupała go po skroniach.

Jacek musiał w końcu zwlec się z łóżka i zrobić sobie swój ulubiony w takich przypadkach koktajl kofeinowo-przeciwbólowy, którego skład był jedną z najgłębiej strzeżonych przez niego tajemnic. Po jego wypiciu poczuł się od razu nieco lepiej i pomyślał, że krótki spacer w połączeniu ze świeżo zakupionym kefirem powinien całkiem poprawić mu nastrój.

Migrena Jacka okazała się jednak głębsza niż zwykle, dlatego jego koktajl nie pomógł mu na długo. Wracając ze sklepiu, z trudem wspinał się po schodach, starając się nie stukać zbyt głośno obcasami. Na czwartym piętrze, przed drzwiami swojego mieszkania, zobaczył pana Bączka z niewysokim szatynem.

– Dzień dobry – wymamrotał niewyraźnie Przypadek i wyciągnął z kieszeni kurtki klucze, niespiesznie zabierając się do otwierania zamków.

– Dzień dobry – kiwnął mu głową Bączek i zwrócił się do szatyna. – To jak, bierze pan? Jak pan chcesz, to mogę panu pomóc gratis przewieźć te pańskie meble.

– Muszę się jeszcze zastanowić – szatyn podał mu rękę na pożegnanie i ruszył na schody. – Zadzwoń do pana.

– Tylko proszę nie zwlekać – rzucił za nim Bączek. – To świetna lokalizacja! – przechylił się przez barierkę, żeby upewnić się, czy mężczyzna jest już odpowiednio daleko. – To był pana nowy sąsiad.

– To pan tu nie ma zamiaru mieszkać?

– Absolutnie. Traktuję to jako lokatę kapitału. Jestem złotą rączką, znam się na murarce, ślusarce. Kupuję mieszkania w wiejskim stanie, remontuję i wynajmuję.

– Czyli robimy w podobnych branżach. Tylko ja kupuję nowe mieszkania, żeby nie mieć problemu.

– No, to możemy się wymienić doświadczeniami. W sensie kłopotów z lokatorami – ruszył na schody, ale coś sobie przypomniał. – A wie pan, złapali tego złodzieja, co obrobił tę starą babę. Pana też oskarżyła o kradzież?

– Nie.

– A mnie owszem. Ślusarz jestem i zamki potrafię otwierać, to widocznie policji pasowało. Całe rano się dzisiaj musiałem tłumaczyć na komisariacie. A, i jeszcze to mieszkanie mi przeszukali – wskazał głową na drzwi od lokalu numer trzystaście. – Dobrze, że ja mam tam tylko gołe ściany, to mi chociaż bałaganu nie narobili, bo z klientem byłem umówiony. Zresztą, ja to nigdy nie miałem szczęścia do sąsiadów. Poprzednie mieszkanie już właściwie wyremontowałem, ale nie zdążyłem ubezpieczyć. No i mnie sąsiad z góry dokumentnie zalał. Mnóstwo pieniędzy straciłem, dlatego teraz wolę mieć wszystkich sąsiadów pod sobą – zanosiło się na dłuższą opowieść.

– I kto ukradł te obrazy?

– Ten jej wnuczek. Gdy wychodziłem z komisariatu, to widziałem, jak go prowadzili w kajdankach. To ja lecę – machnął ręką na pożegnanie.

Jacek otworzył swoje drzwi i dopiero wtedy coś do niego dotarło.

– Panie Bączek! – przechylił się przez barierkę, bo sąsiad był już piętro niżej.

– Co znowu?

– Czy pan zamknął swoje drzwi, bo nie widziałem, żeby pan...

– Gdzie ja mam głowę – Bączek klepnął się dłonią w czoło i błyskawicznie wbiegł na czwarte piętro. – Strasznie jestem roztrzępany, ciągle o czymś zapominam – wyjął z kieszeni klucze i przekręcił zamek w drzwiach swojego mieszkania. – Ale żeś pan to zauważył, chociaż wyglądasz pan na mocno wczorajszego...

– To taka moja stała wada. Za dużo zauważam.

Na telewizorze w pokoju przesłuchań komendy przy Madalińskiego widać było czarno-białe nagranie z kamery w apartamentowcu. Mimo że nagranie pochodziło z dość późnej godziny, dzięki ulicznym latarniom łatwo było na nim rozpoznać większość szczegółów. Na przykład to, że jedna z lokatorek apartamentowca nie ma zamiaru sprzątać kupy po swoim psie, tylko uważnie rozgląda się, czy nikt nie widział, że to jej Pimpus narobił. Albo to, że jakiś pasjonat motoryzacji w kapturze idzie wzdłuż ulicy i uważnie przygląda się oknom samochodów, sprawdzając, czy wszystkie są dobrze zamknięte. Oraz to, że w tej chwili młody mężczyzna opuszcza kamienicę przy ulicy Koneckiej 40 z dużych rozmiarów walizką. Kiedy zniknął z zasięgu widoku kamery, podkomisarz Łoś zatrzymał wideo.

– No i co, panie Bamber, mam to panu puścić czwarty raz, czy w końcu powie pan, gdzie są te obrazy? – policjant przeszył wzrokiem swojego aresztanta.

– Już mówiłem, nic nie ukradłem mojej babci.

– To co pan wynosił z kamienicy w tej wielkiej walizce?

– Inne drobiazgi, które babcia pozwoliła mi sprzedać na pokrycie moich długów.

– Drobiazgi? – podkomisarz uśmiechnął się ironicznie.
– W takiej wielkiej walizce?

– Było ich sporo.

– Aha. I pewnie były sporo warte, skoro miały pokryć pańskie długi... Tak à propos, dużo ma pan tych karcianych długów?

– To nie są karciane długi. Pożyczyłem na pewien interes, który, niestety, nie wypalił.

– A dużo pan pożyczył?

– To nie pańska sprawa. Zaciągnąłem ten dług u prywatnych, życzliwych mi osób.

– I jedną z tych życzliwych osób jest pan Klempuch?

– Być może.

– Panie Bamber, my doskonale wiemy, jaki życzliwy potrafi być pan Klempuch i jaki procent sobie za tę swoją życzliwość liczy. Jak znam życie i tych, którzy od niego coś pożyczyli, to pewnie jest pan zadłużony po uszy. I żadne drobiazgi pana babci nie pozwoliłyby panu go spłacić. Za to obrazy to co innego. Domyślały się, że pan Klempuch jest w posiadaniu dużej, prywatnej kolekcji malarstwa, choć, niestety, nie możemy jej namierzyć. I wiemy, że obrazy to właściwie jego jedyna słabość. Gdyby zaproponował mu pan wejście w posiadanie takich, które nie są na sprzedaż, z pewnością spojrzalby życzliwiej na pana zadłużenie i być może w ogóle by pana zwolnił ze spłaty.

– Pana podejrzenia obrażają moją godność – Bamber wstał zdenerwowany. – Nigdy bym nie okradł mojej babci! To jest dla mnie najważniejsza osoba w życiu.

– A ja myślę, że karty są dla pana ważniejsze. I to dlatego zdecydował się pan okraść swoją babcię. Tylko nie wiedział pan o tej kamerze w apartamentowcu. No i dlatego musiał pan potem spróbować ukraść to nagranie. Oj, nie ucieszy się pana babcia po wyjściu ze szpitala, nie ucieszy się.

Przypadek lubił czasem podkreślać swój konserwatyzm i przywiązanie do tradycji. Przy czym były to zwykle tradycje mające swoje korzenie w nieodległej przeszłości. Ale to nie przeszkadzało Jackowi trzymać się ich w sposób konserwatywny. Obrażał się nawet na osoby, które chciałyby go namówić na zmianę kilkudniowych przyzwyczajzeń i nie rozumiały, że nawet tak krótka tradycja może być bardzo ważną sprawą. A już tradycja sięgająca sześciu lat była dla Jacka rzeczą niezwykle istotną. Dlatego mimo ciężkiej nocy zrobił wszystko, aby o szóstej po południu być już w formie. Ubrał się zadowolony w swój strój treningowy i, nie oczekując przeszkód na swej drodze, otworzył drzwi. I pewnie pobiegł-

by jak zwykle, gdyby nie to, że na piętrze zastał nieoczekiwanego gościa, który od kilku minut zastanawiał się: „zapukać czy zadzwonić?”.

– Ładnie wyglądasz – z nieklamana przyjemnością zajrzał w głęboki dekolt sukienki pani redaktor Anny Sobani. Jego spojrzenie sprawiło przyjemność również obdarowanej.

– Nie zaprosisz mnie do środka?

– Trochę się spieszę. Szkoda, że nie zadzwoniłaś wcześniej.

– Zgubiłam twój numer. Chciałeś się spotkać.

– Ty raczej nie chciałeś.

– Po prostu się przestraszyłam. Mam złe doświadczenia z mężczyznami, którzy są w innych związkach. A ty masz przecież narzeczoną.

Pani redaktor była lekko zniecierpliwiona, by nie powiedzieć zirytowana, przedłużającym się wstępem. Dlatego przysunęła się zachęcająco w stronę Jacka i znalazła się właściwie już w progach jego mieszkania. Za to Jacek wyszedł na zewnątrz i wyraźnie chciał zamknąć drzwi.

– Sporo o mnie wiesz.

– Jestem dziennikarką śledczą. Potrafię zdobywać informacje.

– Rozumiem. Ale... Ja przemyślałem parę spraw i wiem, że ta noc to był błąd – Jacek pociągnął Anię za łokieć, wystawiając ją na korytarz.

– Błąd?! – redaktor Sobania jeszcze nigdy w życiu nie słyszała, żeby noc z nią miała być błędem. – Jesteś pewien?

– Tak. Wiesz, wtedy... Mój związek przechodził kryzys. Ale teraz już wiem, że muszę o niego walczyć – zamknął maleńkim kluczem drzwi i schował go do minikieszonki w spodniach. – Oczywiście, możemy zostać przyjaciółmi. Zadzwon jeszcze kiedyś.

– Ale... Zgubiłam twój numer.

– Dasz sobie radę. W końcu jesteś dziennikarką śledczą i potrafisz zdobywać informacje. Muszę lecieć.

Jacek błyskawicznie znalazł się na półpiętrze, gdzie zobaczył panią Irminę. Przez moment wydawało się, że pani Irmina chce go zatrzymać, ale gdy tylko zobaczyła Anię, zapytała krótko:

– Wpadniesz po treningu?

– Oczywiście – odpowiedź padła już z piętra niżej.

Pani Irmina podeszła do swoich drzwi, wyjęła klucz i wsaadziła go do zamka. Ukradkiem przyglądała się Ani, która, wciąż oniemiała, nie bardzo wiedziała, co ma zrobić.

– Ciężko za nim nadążyć, bezwarunkowo – uśmiechnęła się ironicznie pani Bamber, otwierając drzwi swojego mieszkania.

– Ciągłe w biegu.

„O co tu chodzi? – zastanawiała się pani redaktor. – Nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło! Właściwie czym ja się przejmuję? Zrobił dupek skok w bok, a teraz chce wracać do narzeczonej. Powinam go tylko ukarać i postarać się, żeby ona się o wszystkim dowiedziała. Ale ten zakład z Malwiną... Nie mogę go przegrać. Przecież zawsze z nią wygrywałam! No dobrze, panie Przypadek. Niech pan sobie nie myśli, że mnie się tak łatwo pozbędzie. Nie minie miesiąc i będzie pan zakochany po uszy! A wtedy ja...”

Długo tak jeszcze stała? – zapytał Jacek pani Irminy, gdy wrócił z wieczornego treningu. W obecnej chwili, opierając się o komodę starszej pani, wykonywał ćwiczenie rozciągające.

– Kilka dobrych minut. Musiałeś na niej zrobić piorunujące wrażenie. Kto to był?

– Nikt ważny – Jacek machnął lekceważąco ręką. – Ma pani do mnie jakąś sprawę?

– Tak. Zamknęli Wojtusia, bo uważają, że on to zrobił – wyznała smutno pani Irmina, wskazując puste miejsca na ścianach. – W tamtej nowej kamienicy jest kamera i nagrała go, jak

wychodził z naszej bramy z tą wielką walizą – wskazała walizkę stojącą obok komody. – Ja wiem, to był zawsze straszny utracjusz, karciarz i szalawiła, ciągle miał jakieś niestworzone pomysły na zarabianie pieniędzy. To zresztą u Bamberów rodzinne. Jego prapradziadek przed wojną w ten sposób stracił majątek swojej żony, czyli mojej babki. Ale Wojtuś mnie kocha i nigdy by mnie nie okradł. Wiedział, że mu zawsze pomożę. Dlatego sama pozwoliłam mu zabrać do sprzedania parę drobiazgów, na których mi nie zależało. Niestety, w trakcie tego tygodnia, kiedy mnie nie było, tylko on wynosił z naszej kamienicy tak duży pakunek. No a poza tym na zamkach nie było śladu włamania, czyli złodziej musiał mieć klucze.

– A gdzie Wojtek sprzedał te rzeczy?

– U Gelberga. Wiesz, tego, co chciał ode mnie te obrazy kupić.

– To ciekawe. Może mu nieopatrnie powiedział, że pani wyjechała, i Gelberg to wykorzystał?

– Możesz mieć rację, mój drogi chłopcze!

W panią Irminę jakby wstąpił nowy duch. Trop wprowadzie był wąty, ale prowadził w odpowiednią, jej zdaniem, stronę. Na dodatek dawał nadzieję na oczyszczenie z zarzutów jej kochanego wnusia! Tak, teraz trzeba podążać tym śladem!

Jacek, robiąc przysiad, zerknął na moment na stojącą na podłodze walizkę. Spojrzał raz jeszcze na ścianę, gdzie były ślady po wiszących do niedawna obrazach.

– I niby w tej walizce miał wynieść tych kilka obrazów?

– Tak.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Proszę spojrzeć, pani Irmino – Jacek podniósł pustą walizkę i przyłożył ją do ściany w miejscu, gdzie wciąż bardzo wyraźny był ślad po największym z obrazów. – Ona jest ciut za mała na to. Te trzy by się wprowadzie zmieściły, ale ten jeden Malczewski za nic by tu nie wszedł.

– Masz rację, mój drogi chłopcze. Muszę im to szybko powiedzieć! – Pani Irmina była teraz pewna, że chwila uwolnienia Wojtusia zbliża się wielkimi krokami. Już niemal chwyciła za słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do podkomisarza Łosia, lecz jej ręka zawisła w powietrzu i pozostała chwilę w bezruchu. W końcu machnęła nią z rezygnacją. – Oni to i tak zlekceważą. Ty musisz znaleźć tego złodzieja.

– Ja? Przecież ja nie jestem policjantem ani nawet detektywem.

– Tylko ty mi możesz pomóc. Ten policjant nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia. A przecież pamiętam, kiedy byłeś mały, bez problemu znalazłeś psa Wojtusia, którego zabrał ten okropny ubek spod ósemki.

– Ale to była zabawa.

– To tym razem będzie praca. Ja ci za to zapłacę.

– Ale...

– Bez gadania. Wynajmuję cię jako detektywa. Bezwarunkowo! – podniosła się z fotela. – A jutro rano odwiedzę Wojtusia i powiem mu, żeby się nie martwił, bo ty na pewno znajdziesz złodzieja!

Podkomisarz Łoś patrzył na aresztanta przenikliwym wzrokiem. Lewą ręką bębnił palcami o blat swojego biurka, a na prawy wskazujący palec nakręcał swoim zwyczajem węża. To jak zwykle świadczyło o intensywnym wysiłku intelektualnym policjanta, tym razem jednak zupełnie bezowocnym. Podejrzany uporczywie odmawiał ugięcia się pod ciężarem dowodów, jakie zgromadził podkomisarz. A to mogło źle wpłynąć na rozwój śledztwa, a nadto naruszyć jego autorytet u aspiranta Smańki.

Jedyna nadzieja, jaka się tliła w podkomisarzu, była podsycana przez papiery, które otrzymał przed godziną. Przejrzał je pośpiesznie i pomyślał, że to może być właściwy trop. Zanim jednak nim ruszy, postanowił dać ostatnią szansę aresztantowi.

– No więc jak, panie Bamber, przyzna się pan w końcu do kradzieży tych obrazów czy nie?

– Już panu tysiąc razy powtarzałem, że ich nie zabrałem. Nie okradałbym własnej babci. Nie macie na mnie żadnych dowodów.

– Mamy wystarczające poszlaki, żeby spędził pan jakiś czas w areszcie. Choćby brak śladów włamania. No i to nagranie z walizką.

– Szkoda tylko, że nie sprawdził pan dokładnie rozmiarów tej walizki.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – podkomisarz Łoś nerwowo podrapał się po wąsie.

– Chodzi mi o to, że ten największy Malczewski by się do niej nie zmieścił.

– Skąd pan to wie? – zainteresował się starszy aspirant Smańko, ale zaraz umilkł skarcony wzrokiem przełożonego.

– Moja babcia wynajęła już odpowiedniego człowieka.

– Detektywa? Kogo?

– Poznał go pan. To jej sąsiad, Jacek Przypadek.

– On jest detektywem?

– Nie jest. Za to pierwszą rzeczą, którą zrobił, było przyłożenie tej walizki do śladów po obrazie, jaki został na ścianie.

– Kolejny amator, który naoglądał się kryminałów i wydaje mu się, że może być detektywem – prychnął pogardliwie Łoś.

– To co pan wynosił w tej walizce? – spytał starszy aspirant Smańko.

– Już mówiłem! Trochę staroci. Zaniósłem je do pana Gelberga, bo nimi również się interesował. Sprzedałem je, aby pokryć część swoich długów.

– Rzeczywiście, pan Gelberg to potwierdził – przyznał niechętnie Łoś. – Ale może to było tak. Babcia pozwoliła panu zabrać te obrazy, żeby pan je sprzedał Gelbergowi, a sama postanowiła wyłudzić za nie odszkodowanie?

– Jak pan śmie obrażać moją babcię!

– A śmiej, proszę pana – Łoś podniósł z biurka teczkę z papierami otrzymanymi przed godziną. – Właśnie dowiedziałem się, że pana babcia była kiedyś sądzona za próbę przemytu dzieł sztuki i dostała za to wyrok w zawieszeniu. Wiedział pan o tym?

– Nie – odpowiedział szczerze zdziwiony Bamber, wykonując przy tym gwałtowny ruch głową.

– A widzi pan. Ja wiem, że ona jest osobą szeroko ustosunkowaną, z różnymi znajomymi, ale to jej nie pomoże. Na policję jeszcze może nacisnąć, ale firma ubezpieczeniowa jak nic nie popuści w tej sprawie – zabębnił ponownie palcami o blat swojego biurka. – To może jeszcze pan zechce zmienić zeznania?

Atmosfera panująca przy rodzinnym stole państwa Przypadków była raczej dość ponura, by nie powiedzieć grobowa. Wprawdzie pani Felicja robiła, co mogła, aby wszyscy bawili się jak najlepiej, ale trzeba uczciwie przyznać, że nie miała wielkich szans. Jedyne Jacek czasem starał się skrzywić usta w grymasie mającym przypominać coś w rodzaju uśmiechu. Marzena miała cały czas wzrok wbity w talerz i tylko zdawkowo chwaliła potrawę przyrządzoną przez panią Przypadek. Pan Fryderyk siedział sztywno z wysoko uniesioną głową i bardzo starał się, aby jego spojrzenie nie skrzyżowało się z nikim z obecnych.

– Może jeszcze coś zjesz, Marzenko? – zaproponowała pani Felicja.

– Nie, dziękuję pani.

– Przecież prosiłam, żebyś mówiła mi już „mamo”.

– Wolalabym poczekać do ślubu, jeśli można – aby ukryć zmieszanie aplikantka sięgnęła po kieliszek z winem.

– No właśnie, kiedy coś planujecie?

– A wiesz, tato, okradli panią Irminę... – włączył się rzeczowo do rozmowy Jacek.

– Ty zawsze zmieniasz temat, gdy o to pytam – fuknęła niezadowolona pani Felicja.

– Felicjo, zostawmy ich w spokoju – mecenas postanowił przyjść w sukurs synowi, bo przecież i dla niego temat nie był zbyt wygodny. – I co jej ukradli?

– Wszystkie cztery obrazy. – Pan Fryderyk zakrzuszył się pitą herbatą, aż żona musiała klepnąć go w plecy. – Co ci się stało?

– Nic. Coś mi się przypomniało.

– Fryderyku, to było tak dawno.

– Czy to jakaś tajemnica? – spytał Jacek.

– No, trochę tak – wstał i z komody wyjął swoją fajkę. – Adwokacka.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś mi ją opowiedział. Pani Irmina wynajęła mnie jako detektywa do odnalezienia tych obrazów – to oświadczenie sprawiło, że nawet Marzena starająca się do tej pory nie odrywać wzroku od stołu spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Ciebie? – mecenas rozpoczął nabijanie swojej fajki. – A cóż to za pomysł?

– Bardzo mnie prosiła, więc nie mogłem jej odmówić – wyznał z rozbrajającą szczerością Jacek.

– No to zmienia postać rzeczy. W tej sytuacji mogę ci to powiedzieć, detektywie – ojciec spojrzał na niego z ironią, ale rozpoczął swoją opowieść. – Kiedy byłeś malutki, broniłem jej w sądzie. Była oskarżona o próbę oszustwa i przemytu dzieł sztuki za granicę.

– Jakich?

– Właśnie tych obrazów.

– Własnych obrazów? Dlaczego? – Marzena po raz pierwszy tego wieczoru powiedziała coś bez pytania.

– Widzisz, Marzeno, wtedy nie było można z kraju wywozić żadnych dzieł sztuki wykonanych przed czterdziestym piątym. Prawo niby głupie, ale jakoś zasadne, bo w trakcie wojny zginęło z Polski tyle cennych zabytków, że szkoda było każdego następnego – zapalił fajkę. – A pani Irmina miała wtedy spore

kłopoty finansowe. Parę lat wcześniej umarł jej mąż, ona nigdy nie pracowała. Rodzice Wojtusia zginęli w wypadku samochodowym, a ona została sama z wnukiem na utrzymaniu. W dodatku kazali jej płacić jakieś straszne podatki i próbowali pod ich zastaw przejąć te obrazy. Aż któregoś dnia zgłosiła na milicję, że jej ukradziono obrazy. Ale po kilku tygodniach złapano na granicy czechosłowackiej mężczyznę, który chciał je wywieźć. No i okazało się, że pani Irmiona z nim współpracowała, bo chciała dobrze te obrazy sprzedać. Była załamana tym, że sąsiedzi widzieli ją w kajdankach. Próbowwała się nawet wtedy otruć arszenikiem.

Godzinę później Marzena szła w milczeniu obok torów tramwajowych z miną równie ponurą jak w trakcie kolacji. Obok niej radośnie dreptał Jacek, zadowolony, że ma za sobą kolejną obowiązkową wizytę u rodziców. I mimo całej swojej przenikliwości nie mógł pojąć, że ktoś może przejmować się, że za dwa, trzy tygodnie będzie musiał ponownie zaliczyć „rodzinny” obiad lub kolację we czwórkę.

– Długo jeszcze będziemy udawać?! – wybuchła w końcu aplikantka. – Twoja mama ma się lepiej i chyba nie rozpacza już tak bardzo po tych druzgocących recenzjach jej ostatniego tomiku poezji?

– To prawda. Zaczęła nawet pracę nad biografią naszej rodziny. Zdziwiło mnie to, bo myślałam, że będzie się trzymała z daleka od prozy po tym, jak przez kilka lat nie była w stanie napisać powieści.

– Nie zmieniaj tematu – tupnęła nogą ze złości. – Nie jestem twoją mamą, którą możesz zbywać byle czym.

– Tak bardzo ci przeszkadza nasze narzeczeństwo? – Jacek zrobił minę zbitego psa.

– Wiesz dobrze, że między nami nic nie ma!

– Robisz mi przykrość. A już się przyzwyczaiłem, że mam taką uroczą narzeczoną – Jacek chciał po przyjacielsku objąć Marzenę ramieniem, ale ona na to nie pozwoliła.

– To się będziesz musiał odzwyczaić! – fuknęła. – Mam dość tej całej dwuznacznej sytuacji. Twój ojciec już wie. Na co czekamy?

– Wiesz, jaka mama jest wrażliwa. A poza tym wierzy, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

– Trudno. Masz jak najszybciej zakończyć ten nasz „związek”.

– Łamiesz mi serce – Przypadek chciał dodać jeszcze coś bardziej dramatycznego, ale mina Marzeny przekonała go, że czas żartów ostatecznie się skończył. – Dobrze, postaram się. Obiecuję.

Marzena nie była przygotowana na to, że Jacek tak szybko się zgodzi. W zanadrzu posiadała jeszcze mnóstwo argumentów, którymi miała zamiar przekonywać Przypadka do zmiany ich oficjalnego statusu. Chciała je zaraz wszystkie z siebie wyrzucić, ale pozbawiona takiej możliwości, zamilkła na chwilę zdziwiona. A może też odrobinę zawiedziona? Bo choć naprawdę miała dość udawania, to przecież koniec tego udawania można sobie było wyobrazić na różne sposoby.

– O czym myślisz? – zapytał Jacek, a Marzena drgnęła przestraszona. Dobrze знаła Przypadka i wiedziała, że zauważa więcej od innych. I bała się, że nie trzeba być specjalnie byстрыm, aby dostrzec rozczarowanie na jej twarzy. A takie rozczarowanie można przecież zinterpretować niewłaściwie. Dlatego szybko, żeby ukryć zmieszanie, wymyśliła nowy temat rozmowy:

– Czy twoja mama wie, że twój ojciec... – urwała, nie wiedząc, jak dokończyć.

– Miewa różne przygody? Wie.

– I nic z tym nie robi?

– Uważa, że dopóki ojciec nie przekroczy pewnych granic, nie ma sensu robić skandalu.

– Po co ja się wdałam w tę rodzinę? – westchnęła ciężko.

– Już nie pamiętasz? Zawarliśmy jasny układ. Udajemy narzeczonych, żebyś ty się dostała na aplikację, a moi rodzice przestali uważać, że się nie pozbierałem po Basi.

– Ale ty się wciąż nie pozbierałeś.

– Nie wracajmy do tego – Jacek z pewnością nie był już tym wesołkiem sprzed kilku chwil. Nie miał nawet śladu dobrego nastroju. – Powinnaś być zadowolona, że się w końcu dostałaś na aplikację. Inaczej byłabyś bez szans.

– A może ja się wcale nie chciałam dostać na tę aplikację?!

Niespodziewany wybuch Marzeny zdziwił Jacka. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, jego narzeczona na niby była już paręnaście kroków od niego.

– To po co zdawałaś czwarty raz? – wykrztusił w końcu. – Poczekaj. Chciałem zapytać, czy nie znasz jakiegoś właściciela galerii albo marszanda?

Przypadek wiedział dobrze, że jest osobnikiem bardzo ograniczonym i sztuka nowoczesna nie jest w stanie do niego dotrzeć. Po prostu obydwie strony używały różnych sposobów wyrażania emocji. Dlatego Jacek nawet nie próbował złapać z nią kontaktu, bo nie wierzył w możliwość nawiązania choćby najmniejszej nici porozumienia. Z tego też względu, znalazłszy się w galerii sztuki nowoczesnej, mógł tylko z rozbawieniem patrzeć na znajdujące się tam dzieła.

Ponieważ jednak rzadko ktoś tutaj wpadał (szczególnie tak wcześnie rano), właściciel tego miejsca, pan Ewaryst Rost, podszedł do niego z odrobiną nadziei. Zerknąwszy na niego, Jacek nie mógł mieć wątpliwości, że ma przed sobą wielkiego fana sztuki nowoczesnej. Marszand wyglądał, jakby zaprojektował go futurysta. Różnej długości nogawki spodni, szkła okularów w dwóch kolorach oraz marynarka po młodszym bracie znakomicie komponowały się z otoczeniem.

– Coś pana szczególnie zainteresowało? – zapytał marszand.
– Niestety, to wszystko nie jest w moim typie. Jestem konserwatystą.

– Aaaaa tak. Symetria, symetria i jeszcze raz symetria – mina Ewarysta Rosta wydłużyła się i uniosła ponad Jacka. – Wszystko poukładane, na swoim miejscu, bez odrobiny artystycznego szaleństwa. Taka jest większość tego społeczeństwa, dlatego niemal muszę dokładać do tego interesu. A moja galeria sztuki nowoczesnej jest druga co do wielkości w tym kraju! – uniósł z oburzeniem wzrok w stronę nieba. Po chwili przypomniał sobie, że nie wierzy w to, aby posiadało ono jakichś mieszkańców, więc spojrzał z powrotem na Jacka. – W Nowym Jorku właściciel setnej galerii jest bogatym człowiekiem, a ja muszę się poruszać pięcioletnim samochodem. Ale tam ludzie znają się na prawdziwej, nowoczesnej sztuce. Tam nie rządzi symetria. Bo symetria jest pięknem głupców, proszę pana! – ponownie uniósł się oburzeniem, ale tym razem nie odrywał wzroku od Jacka. – Ale właściwie to po co pan tu zajrzał?

– Przysłała mnie pani Marzena Kolska.

– Ach, pani Marzena – oblicze marszanda rozpromieniło się. – Zachwycająca kobieta i wydaje się rozumieć, czym jest prawdziwa sztuka. Pan, zdaje się, chciał zasięgnąć wiadomości o niejakiem Gelbergu? – Jacek kiwnął potakująco głową. – On jest raczej antykwariuszem, choć działa też na rynku sztuki, ale bardziej konserwatywnej – spojrzał wymownie na Jacka. – Dlatego trudno mi powiedzieć o nim coś dokładnego. Ale słyszałem, że miał jakieś problemy z prawem. Kiedyś podobno oddał klientowi zamiast oryginału kopię obrazu, którego nie sprzedał. W każdym razie nie cieszy się dobrą opinią.

– A dałoby się namierzyć taki obraz Malczewskiego? – Jacek sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął stamtąd niewielką fotografię i podał ją marszandowi.

– Słyszałem, że ktoś ostatnio ukradł ten i jeszcze trzy inne – właściciel galerii tylko zerknął na fotografię i o wiele uważniej przyglądał się Jackowi. – Prędko raczej nie wypłyną. Mówi się, że to była kradzież na zlecenie, bo to zbyt charakterystyczne rzeczy. No chyba, że ktoś ma czas i może poczekać kilka lat, aż sprawa przycichnie, i wtedy to sprzeda.

– Rozumiem. A czy coś jeszcze się mówi?

– Nic pewnego. Ktoś podobno zamówił wcześniej bardzo dobre kopie tych obrazów.

– Czy tym kimś mógł być Gelberg?

– Tak dokładnych informacji nie posiadam.

– Dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co. I niech pan pamięta: symetria to piękno głupców.

– Będę pamiętał.

Gdyby ktoś zastanawiał się kiedyś, jak wygląda pan Jędrzej Sakowicz, wystarczyłoby do tego fotografia jego syna. Co prawda, należałoby skronie lekko przyprószyć siwizną i dodać kilka kilogramów, ale cała reszta pozostałaby bez najmniejszej zmiany. Gdyby zaś ktoś chciał odróżnić przez telefon, z którym z panów Sakowiczów ma akurat do czynienia, byłoby to w pierwszej chwili zadanie ponad siły niewprawnego ludzkiego ucha. Dlatego też jeśli pukający do drzwi gabinetu pana Jędrzeja wiedział, że usłyszał „proszę” od niego samego, a nie od syna, mogło wynikać tylko i wyłącznie z jednego faktu. Tym pukającym musiał być sam Błażej i przez to mógł być pewien, że to nie on owo „proszę” powiedział.

– Chciał ze mną tata rozmawiać?

– Proszę cię, spocznij, mój drogi – pan Jędrzej sięgnął po fajkę i zaczął nabijać ją swoim ulubionym tytoniem.

Błażej usiadł przed ojcem. Przez kolejną minutę musiał znościć ciężkie spojrzenie, jakim obdarzył go Sakowicz senior, dokładnie lustrujący każdy centymetr ciała swojego potomka.

– Chciałbym wiedzieć... – odezwał się wreszcie pan Jędrzej.
– Chciałbym wiedzieć, dlaczego ty jesteś do mnie w ogóle niepodobny?

Błażej, wbrew temu, co mógłby sądzić postronny obserwator, nie był specjalnie zaskoczony tym pytaniem. Wprawdzie po początkowym opisie takowy obserwator mógłby odnieść wrażenie, że panowie są niemal tacy sami. Jednak oni uważali, że różnią się od siebie w sposób diametralny.

– Przecież nie możemy być identyczni – odpowiedział spokojnie Błażej. A ponieważ ojciec skończył już nabijać fajkę, sięgnął po tytoń leżący na jego biurku i wyjął z kieszeni marynarki swoją fajkę.

– Identyczni? – Sakowicz senior zaciągnął się fajką i zaśmiał się tubalnie. – Ja nie wymagam od ciebie, żebyś był identyczny jak ja, bo zdaję sobie sprawę, że to mogłoby przekraczać twoje możliwości. Mnie by wystarczyło, żebyś był do mnie podobny chociaż w tym, że nie wracasz późno do domu i nie przebywasz w nieodpowiednim towarzystwie.

– Jakim nieodpowiednim? – Błażej pochylił się w stronę ojca, który przypalił mu fajkę.

– Przypadkowym, że tak powiem – pan Jędrzej dał wyraźnie do zrozumienia, kogo ma na myśli.

– Ale ja się przecież znam z Jackiem od dziecka.

– I najwyższy czas zakończyć tę znajomość. To zwykły ba-widamek, bez żadnych widoków na przyszłość. Rozmawiałem ostatnio z jego ojcem i jestem przerażony.

– On nie robi nic złego...

Błażej urwał, bo odezwał się dźwięk telefonu komórkowego. Obydwaj panowie, jak na komendę, przeszukali najpierw lewą kieszeń, potem prawą, wreszcie wewnętrzną kieszeń w swoich marynarkach. Stamtąd obaj wydobyli wreszcie identyczne aparaty. Tym razem dzwonił telefon Błażeja.

– Przepraszam, tato... No, cześć... Co? W co ty mnie chcesz wrobić? Jakim detektywem, oszalałeś? – Błażej spojrzał speszo-
ny na ojca. – Oddzwonię później – rozłączył się.

– Jak domyślam się, to on? – pan Jędrzej wydmuchał bardzo
znaczący kłęb dymu. – Coś mi się już obilo o uszy, że on ma zamiar
być jakimś detektywem. Ta jego Bamber rozpowiada o tym głośno.

– Widzisz coś w tym złego?

– Czy taki zawód może wykonywać ktoś poważny i odpo-
wiedzialny?

– Ale, tato...

– Nie przerywaj mi! Uważam, że czas już najwyższy, żebyś
się ustatkował i upodobnił się choć trochę do mnie.

Jacek w jedzeniu cenił sobie nie tylko smak, ale również pro-
stotę jego pozyskania. Dlatego w jego kuchni na specjalnej tablicy
przypięte były ulotki większości restauracji z okolicy, oferujących
dostarczenie swojego menu pod wskazany adres. Czasem jednak
Przypadek lubił się pofatygować po swój obiad osobiście, szcze-
gólnie jeśli ten nie miał opcji „z dostawą”, a jedynie „na wynos”.
Tak też było teraz i Jacek miał właśnie zamiar zasiąść do konsu-
mowania przyniesionej od „chińczyka” potrawy.

„Chińczyk” wprawdzie był raczej Wietnamczykiem, a może
nawet Koreańczykiem lub Tajem. Jednak wszyscy drobni re-
stauratorzy rasy żółtej byli w Warszawie przypisani do tej naj-
większej z azjatyckich nacji. Brało się to być może także stąd,
że mimo ewentualnych różnic w narodowości właścicieli, menu
należących do nich barów bardzo szybkiej obsługi nie różniło
się niczym. Ba, nawet zwykle było prezentowane taką samą
czcionką na wielkich tablicach nad kontuarem.

Jacek z dań oferowanych przez najbliższą tego typu jadłodaj-
nię cenił sobie szczególnie cielęcinę z pieczarkami i makaronem
sojowym. Koniecznie w wersji „na ośtło”, jak określał to łama-

na polszczyznę sprzedawca i kucharz w jednej osobie. Właśnie przekładał ją z plastikowego pudełka na talerz, kiedy z korytarza usłyszał zduszony, ale wyraźny okrzyk:

– Ratunku!

Kiedy Jacek wypadł z drzwi swojego mieszkania, zobaczył, jak na półpiętrze pod wielką starą szafą leżał pan Roman Bączek. Przed całkowitym przygnieceniem ratował go tylko potencjalny lokator spod trzynastki, którego Przypadek widział kilka dni temu.

– Chyba nie damy rady – stęknął nowy lokator. – Za ciężka jest. Mówiłem, żeby wziąć kogoś do pomocy.

– I płacić mu na darmo? – obruszył się Bączek, nie bacząc na to, że może zostać śmiertelnie przygnieciony. Obydwaj tak byli zaaferowani tragikomiczną sytuacją, że nie zwrócili uwagi na to, że nie są już sami.

– Niech pan jeszcze moment wytrzyma – powiedział Jacek i zbiegł na półpiętro. Po chwili szafa znów znajdowała się w pionie.

– No, a nie mówiłem, że damy radę sami? – ucieszył się Bączek. – Oczywiście z drobną pomocą sąsiada – uśmiechnął się przymilnie w stronę Jacka.

Pomoc nie była taka drobna i dopiero po piętnastu minutach szafa znalazła się pod drzwiami trzynastki. Brało się to po części pewnie stąd, że Bączek ze swoim lokatorem byli już wyczerpani dotychczasowym targaniem szafy. Prawdziwy ciężar jej wniesienia spoczął więc na barkach Jacka, który miał mocniejsze nogi niż ręce.

Gdy szafa znalazła się już na właściwym piętrze, okazała się być niekompatybilna z drzwiami, które za nic nie chciały wpuścić do mieszkania nowego mebla. Trzeba je było do tego naprawdę długo i namiętnie przekonywać. W końcu drzwi, dzięki pomocy przemyślnych sztuczek, odpuściły blokadę i szafa została wniesiona do środka. Po chwili była już we właściwym pokoju. Kiedy wreszcie stanęła pod przeznaczoną dla niej ścianą, wszyscy trzej panowie opadli na podłogę, bo w tej chwili poza szafą w mieszkaniu nie było nic.

– Dzień... kuje pa... nu bardzo – wysapał Bączek.

– Nie ma... za co... – odsapał Przypadek. – Akurat dopiero siadałem do obiadu...

– Aha. Poznajcie się panowie, bo za parę dni będziecie już sąsiadami.

– Ko... ło... cki... – dosapał nowy lokator spod trzynastki, z trudem łapiąc powietrze.

– Przypadek – odpowiedział Jacek nie bez wysiłku i podał rękę Kołeckiemu.

Potem zapadło kilka minut ciszy, podczas której Jacek kontemplował wnętrze mieszkania. Tak naprawdę nie było wiele do oglądania, zwłaszcza że jedyny mebel podpierał właśnie jego plecy. Dlatego Jacek skupił się na żyrandolu, który smętnie zwiśał z sufitu. Potem omiół spojrzeniem resztę świeżo odmalowanych ścian. I znów jego wzrok skupił się na żyrandolu...

– Znał pan poprzedniego lokatora? – zapytał Kołecki, do którego najwyraźniej wróciła odrobina siły, bo podniósł się. Podał rękę Jackowi, który dzięki temu stanął na równe nogi. Jedynie Bączek wciąż nie miał zamiaru opuszczać podłogi.

– Tak. Raczej nieszczęśliwy człowiek, kiepsko skończył – coś go niepokoiło w tym żyrandolu i nawet stojąc, ciągle go oglądał. – Zresztą to dość częste w tym mieszkaniu.

– No, niech mi pan nie straszy lokatora, bo znów pomyślę, że ja to kompletnie nie mam szczęścia do sąsiadów. – Bączek usiłował wstać, ale tylko się skrzywił. Usiadł z powrotem i postanowił szybko zmienić temat rozmowy. – Co pan tak patrzy na ten żyrandol?

– Jakiś jest trochę dziwny.

– Jaki dziwny? Zwykły żyrandol – pokiwał z niechęcią głową i tym razem zmusił się do wstania. Zrozumiał, że warto jak najszybciej pozbyć się Jacka z mieszkania, zanim ten powie za dużo nowemu lokatorowi. – Zresztą pan Kołecki ma swój, to sobie zmieni.

- Nie o to chodzi. Jest jakoś dziwnie zamontowany.
- Dlaczego dziwnie? Nic takiego nie widzę – Bączek nie kłamał, bo żyrandol wydawał mu się zamontowany najnormalniej w świecie, a sam nawet go nie ruszał i był on jedyną rzeczą, jaka pozostała jeszcze po poprzednim lokatorze.
- Coś się panu zdaje – zaprzeczył Kolečki, ale też przyjrzał się uważnie żyrandolowi.
- Być może. Gdybym był jeszcze potrzebny...
- Dziękuję, damy sobie już sami radę – Bączek postanowił nie ryzykować tego, że Jacek chłapnie coś niewłaściwego o mieszkaniu, i bezceremonialnie próbował wypchnąć go z mieszkania.
- Ale ta druga szafa... – zdziwił się nowy lokator spod trzy-nastki.
- Nie trzeba. Ona jest już lepsza. Najwyżej połowa tej, nie ma sensu zawracać sąsiadowi głowy. Niech wraca jeść obiad, bo mu całkiem wystygnie.

Błażej Sakowicz kompletnie nic nie pojmował z misji powierzanej mu przez Jacka poza tym, że przyjacielowi bardzo zależało na jej wypełnieniu. Rozumiał za to, dlaczego Przypadek poprosił o to akurat jego. Sprawa należała do dyskretnych i delikatnych i trudno mu było sobie wyobrazić kogoś lepszego do jej wykonania niż on sam. Szkoda tylko, że Jacek nie uprzedził go, że ta misja może być dla niego aż tak bardzo niebezpieczna. Błażej przekonał się o tym, zaraz jak tylko przekroczył progi antykwariatu Gelberga. W tej chwili była w nim tylko młoda rudowłosa dziewczyna kręcąca się wśród towaru. Od razu złowił jej pożądliwe spojrzenie, ale postanowił na nie chwilowo nie reagować. Wiedział jednak, że nie zdoła jej się zbyt długo opierać i w końcu ulegnie. Ale dopóki jeszcze jakoś się trzymał, musiał myśleć o swojej misji.

- Dzień dobry, czy mógłbym rozmawiać z panem Gelbergiem?

– A kim pan jest?

– Mecenas Błażej Sakowicz

Podał jej swoją wizytówkę. Wyczuł, że dziewczyna najchętniej nie traciłaby z nim kontaktu wzrokowego. A pewnie jeszcze chętniej przewróciłaby go na podłogę i w jednej chwili zdarła z niego ubranie. Jednak również w niej musiało zwyciężyć poczucie obowiązku i zniknęła na zapleczu. Wróciła po kilku sekundach i z powrotem zajęła się swoją pracą. Chwilę po tym w drzwiach pojawił się antykwariusz z wizytówką Błażeja w ręku.

– Gelberg – przedstawił się i skinął młodemu mecenasowi głową na powitanie. Następnie wskazał mu stojące w kącie biurko z dwoma krzeselkami. – Słucham pana?

– Pewien dobrze poinformowany znajomy, którego nazwiska nie mogę w tej chwili wymienić, powiedział, że u pana można nabyć ciekawe obrazy.

– Oczywiście, proszę się rozejrzeć.

– Nie o takie obrazy mi chodzi – Młody Bóg Seksu poczuł na plecach pożądliwe spojrzenie Heleny. Ku pewnemu zdziwieniu antykwariusza odwrócił się błyskawicznie, by je uchwycić. Ale rudowłosa zdążyła już spojrzeć gdzie indziej. Na dodatek miała na uszach słuchawki, z których popłynęły pierwsze takty głośnej muzyki. Błażej odwrócił się do Gelberga, ścisząc jednocześnie głos. – Myślałem raczej o takich, których chwilowo nie można wystawić, a które mogłyby być korzystną lokatą kapitału dla moich klientów.

– Rozumiem, że pana klientów nie interesuje nazwisko poprzednich właścicieli? – zapytał teatralnym szeptem Gelberg.

– O, właśnie, trafnie pan to ujął – Błażej ponownie obejrzał się na pracownicę galerii i tym razem udało mu się złowić jej spojrzenie. Ktoś mógłby pomyśleć, że patrzyła tylko przez ciekawość, choć to jest taki, że szepcze z jej szefem. Ale Sakowicz wiedział, co tak naprawdę przyciągnęło jej wzrok. W końcu nie od dziś znał siłę swojego zwierzęcego magnetyzmu.

– A czy interesują ich takie nazwiska jak Malczewski czy Podkowiński?

– Jak najbardziej. Ostatnio weszli w posiadanie dzieł tych artystów i chętnie uzupełniają kolekcję.

– Wierzę. Te obrazy to bardzo dobra lokata kapitału. Sam mam kupca, który na nie poluje.

– Gdyby zaoferował odpowiednią cenę, pewnie moi klienci mogliby odsprzedać swoje obrazy.

– W takim razie pozwolę sobie zachować pańską wizytówkę.

– Oczywiście – rudowłosa przeszła obok nich i wyszła na zaplecze. Młody Bóg Seksu mógł niemal przysiąc, że poczuł jej dotyk. – Przepraszam, ale czy ona tak zawsze?

– Co czy tak zawsze? – nie zrozumiał Gelberg.

– Czy tak zawsze rozbiera wszystkich klientów wzrokiem?

– Raczej nie – antykwariusz przyjrzał się dokładnie swojemu rozmówcy. – Ale jeśli pan chce, mogę jej zwrócić uwagę, że nie powinna tego robić.

– To nic nie da. Ja tak po prostu na nie działam – odparł zrezygnowany Błażej z miną męczennika, który cierpi za miliony, biorąc na siebie uwielbienie wszystkich kobiet świata.

Pan Roman Bączek już od dobrych dwóch godzin siedział na krzeselku i wpatrywał się w żyrandol w mieszkaniu numer 13 przy ulicy Koneckiej 40. Z każdą minutą był coraz bardziej zrozpaczony i coraz mniej było w nim nadziei, że uda mu się rozwiązać jego tajemnicę.

– Cholera, co on w nim zauważył?!

Wstał z krzeselka, wziął młotek i podszedł do ściany naprzeciwko okna. Puknął w nią kilka razy delikatnie tak, żeby nie zostawić śladu. Odgłos pukania wyraźnie go nie zadowolił, bo skrzywił się niemiłosiernie. Odłożył młotek i przyjrzał się szafie stojącej przy ścianie obok. Schylił się, złapał ją od dołu i usiło-

wał przesunąć w kierunku świeżo opukanej ściany. Zapomniał przy tym, że przecież ostatnio ledwo sobie z nią poradziły trzy osoby. Jęknął więc tylko, szafa nie drgnęła, a on przysiadł na podłodze.

– Co za cholerstwo! Kto dzisiaj jeszcze trzyma takie ciężkie landary!

Znów spojrzał na nieszczęsny żyrandol. Czyżby naprawdę była w nim jakaś wskazówka? Jakaś strzałka, która pokaże, gdzie należy szukać jego tajemnicy?

Nie, to chyba niemożliwe. Ten kawałek żelastwa był tu przedtem, nawet go nie dotykał, przez cały remont tkwił na swoim miejscu. A jednak coś w nim musiało być, że ten Przypadek się nim zainteresował.

– Żesz, ja to nie mam szczęścia do sąsiadów.

Ten Przypadek to jest bystrzak. I to spostrzegawczy bystrzak. Wtedy z tymi kluczami zauważył i jeszcze teraz z tym żyrandolem... Mógł sprawić Bączkowi dużo kłopotów. No chyba że on, Bączek, sprawi mu je wcześniej. Tak, trzeba wyprzedzić uderzenie przeciwnika.

Bączek sięgnął po aparat telefoniczny stojący na stoliczku obok. Zanim jednak wykręcił numer, wyciągnął z kieszeni koszuły wizytówkę.

O tym, jak bardzo śledztwo w sprawie kradzieży obrazów utknęło w miejscu, świadczyło najlepiej to, jak intensywnie podkomisarz Łoś podkreślał swojego wąsa. W tej chwili duma i chwała dzielnego policjanta właściwie nie traciła kontaktu z jego palcem, wspomagając pracę szarych komórek podkomisarza. A te musiały się w tej chwili naprawdę wysilić. Prokurator Sapkowska nadzorująca śledztwo żądała efektów, grożąc, że nie przedłuży nakazu aresztowania tego Bambera, jeśli nie dostanie jakichś solidnych dowodów. A tymczasem nic nie udawało się znaleźć, zaś podejrzany

bezczelnie nie przyznawał się do winy. Jeszcze ten detektyw od siedmiu boleści, ten Przypadek, miał się w to wszystko wmieszać.

„Szlag by to trafił!” – pomyślał Łoś i podkreślił węża tak mocno, że aż syknął z bólu.

Na biurku aspiranta Smańki zadzwonił telefon. Zamyślony podkomisarz podskoczył nerwowo na krześle.

– Jak to żona, to mnie nie ma – rzucił do podwładnego.

– Starszy aspirant Smańko słucham... Kto? Aaa, już daję... – zakrył słuchawkę ręką. – Panie komisarzu, ten Bączek do pana.

Smańko podał przełożonemu słuchawkę.

– Łoś przy telefonie. Tak, pamiętam – twarz podkomisarza rozpromieniła się w niespodziewanym uśmiechu. – Co pan powie? To bardzo ciekawe. No cóż, dziękuję za obywatelską postawę.

Podkomisarz oddał słuchawkę Smańce i radośnie zabębnił palcami po blacie biurka.

– Coś ważnego, panie komisarzu?

– Być może. Sprawdźcie mi, Smańko, tego sąsiada Bamber. On mi się coraz mniej podoba.

– Bączka?

– Jakiego Bączka?! Przypadka. Ten gość od początku mnie strasznie irytował. Sam nie rozumiem, jak mogłem nie pomyśleć, że może być podejrzany.

Jacek wracał właśnie z wieczornego treningu, kiedy natknął się przed kamienicą na panią Irminę spacerującą z Widzykową z trzeciego piętra. Pani Bamber aż podskoczyła na jego widok, pożegnała się szybko z sąsiadką i podeszła do Przypadka.

– I jak tam, mój drogi chłopcze? Odkryłeś już coś?

– Na razie nic pewnego. Ale mam przeczucie, że zrobił to Bączek – Jacek otworzył drzwi do kamienicy i przepuścił panią Irminę.

– A nie Gelberg? To bardzo cwany lis, bezwarunkowo. Wojtek sobie przypominał, że jak zaniósł te rzeczy do niego, to oczywiście przypadkiem mu się wyspnęło, że wyjechałam i wrócić dopiero za tydzień.

– Gelberga odwiedził Błażej, sugerując, że jego klienci mogą mieć te obrazy, a Gelberg tym się zainteresował. Gdyby to on ukradł, natychmiast wyrzuciłby Błażeja.

– Czemu?

– Bo już by miał te obrazy, a wizytę uznałby za prowokację. Dlatego zajął postawę wyczekującą, bo nie ma pewności czy Błażeja nie wysłali prawdziwi złodzieje, którzy się dowiedzieli, że on ma kupca. Tak à propos, wie pani, co to za kupiec?

– Pewności nie mam, ale swego czasu interesował się nimi jakiś Klempuch czy jakoś tak. Tajemniczy jegomość. Nikt z moich znajomych go nie zna, a przynajmniej się do tego nie przyznaje. Jak chcesz, mogę spróbować się dowiedzieć o nim czegoś. Przy czym nie wiem, czy to on miał kupić te obrazy przez Gelberga.

– To w tej chwili nieistotne. Wizyta Błażeja była ostatecznym testem. Od razu sądziłem, że Gelberg nie byłby taki głupi, żeby najpierw namawiać panią na sprzedaż, a potem je zwyczajnie ukraść. On miał raczej inny plan.

– Jaki?

– Chciał je podmienić. Od znajomego Marzeny dowiedziałem się, że ktoś zamówił kopie tych obrazów. Po powrocie z krótkich wakacji miała pani prawdopodobnie zastać obrazy wiszące na ścianie i przez długie lata w ogóle nie podejrzewać, że została okradziona.

– A to spryciarz, bezwarunkowo. Więc to Bączek?

– Tak sądzę, bo według mnie te obrazy nie opuściły naszej kamienicy. A najłatwiej je ukryć komuś, kto tu mieszka.

– No ale gdzie on je schował? Przecież on miał tam tylko gołe ściany?

Obydwoje tak bardzo byli pochłonięci rozmową, że dopiero będąc praktycznie pod drzwiami swoich mieszkań, zauważyli, iż ktoś tam na nich czeka. Ktoś bardzo przejęty misją, którą wyznaczył mu jego przełożony. Ktoś, kto od dłuższego czasu niecierpliwie przebierał nogami.

„Strasznie długo go nie ma – martwił się starszy aspirant Smańko. – Podkomisarz będzie niezadowolony, że musi wciąż czekać, żeby go wziąć w krzyżowy ogień pytań. A swoją drogą podkomisarz jest niesamowity. On już po pierwszym spotkaniu czuł, że to ten Przypadek”.

Starszy aspirant Smańko wyprężył się służbiście na ich widok, dając tym samym do zrozumienia, że przygotowuje się do wykonania ważnej czynności służbowej.

– Pan Jacek Przypadek?

– Przecież pan mnie zna.

– Zna, nie zna... Ja oficjalnie muszę wiedzieć, czy pan Jacek Przypadek?

– Nie. Jestem jego bratem bliźniakiem. I co teraz?

Fitness club Supermen, należący do byłego znanego sportowca, był miejscem, gdzie w odpowiedniej atmosferze, za odpowiednie pieniądze, śmietanka towarzyska mogła wylewać swoje siódme poty. Śmietanka była przy tym naprawdę wysokoprocetowa i odpowiednio wyselekcjonowana. Bo żeby się tu dostać, nie wystarczyło mieć po prostu kwoty odpowiedniej do wykupienia karnetu. Potrzebnych było również dwóch wprowadzających członków, ręczących, że nowo przyjęty reprezentuje odpowiedni poziom rangi towarzyskiej.

Pani redaktor Anna Sobania nie miała najmniejszego problemu z pozyskaniem wsparcia dwóch członków, dlatego też mogła w tej chwili z rozkoszą trenować na maszynie zwanej orbitrekiem. Choć sądząc po intensywności wymachów jej rąk i nóg

oraz zaciętym wyrazie oblicza, można było wątpić, czy wykonuje tylko zwykłe ćwiczenie, czy raczej w myślach masakruje wyimaginowanego przeciwnika. Jeśli tak rzeczywiście było, to ten przeciwnik już powinien zacząć się bać, bo redaktor Sobania bardzo dbała o swoją kondycję i uczęszczała również na różne kursy sztuk walki.

– Wcześniej dziś przyszedłaś. Coś się stało? – zapytała niewinnie Malwina Żarska, kładąc obok orbitreka koleżanki swoją sportową torbę. Jej pytanie odniosło tylko jeden efekt: Ania zaczęła mocniej wymachiwać rękami i nogami, co jeszcze przed chwilą mogło wydawać się niemożliwe. – Aż tak? Rozumiem, że wygrałam zakład?

– Na razie... zaliczyłam jedno... nieudane podejście... – wyśpotała redaktor Sobania, przerywając nagle swoje ćwiczenie.

– Pierwszy raz w życiu.

– Dopiero się rozgrzewam... Zobaczysz, to tylko kwestia czasu... – zeszła z maszyny i obtarła spocone czoło ręcznikiem.

– Muszę namierzyć tę jego narzeczoną, Marzenę.

– Po co?

– On chce do niej wrócić. Z czego się znowu śmiesz?

– On z nią nigdy nie był. Tylko udają.

– Cholera. Czemu mi tego wcześniej nie powie... – chciała wylać swoje żale na redakcyjną koleżankę, ale nagle zrozumiała, że prawda jest jeszcze straszniejsza, niż przypuszczała. – Zaczaj, czyli on to zagrał?!

– Na to wygląda.

– No to jeszcze zobaczy, kto jest lepszym aktorem. Ale czekaj, rano w kuchni widziałam u niego jakieś zdjęcie w ramce.

– To Basia. Prawdopodobnie jedyna kobieta, którą naprawdę kochał w swoim życiu – uśmiechnęła się smutno. – Zresztą kocha ją chyba cały czas – dodała nie bez nutki żalu i wsiadła na jeden z rowerków treningowych.

– A ona co? Rzuciła go?

– Była alpinistką. Zginęła osiem lat temu podczas wyprawy w Himalajach. To znaczy, pewnie wpadła w jakąś rozpadlinę i zginęła. Ale ciała nigdy nie znaleziono, więc oficjalnie jest zaginiona – Malwina zaczęła refleksyjnie pedałować. – Myślę, że to dlatego żadna kobieta nie ma u niego szans.

– Bo tamta zginęła?

– Nie. Bo on ciągle wierzy, że ona żyje.

Podkomisarz Łoś z wielką uwagą wpatrywał się w herbaciane fusy, które precyzyjnie krążyły wokół osi szklanki, przypominając małe tornado. Oblizywał przy tym łyżeczkę, którą wywołał to zamieszanie, i swoim zwyczajem bębnił palcami w blat biurka.

– Długo będziemy jeszcze obserwować, czy cukier się odpowiednio rozpuścił? – zapytał go siedzący naprzeciw Przypadek.

– Pan się denerwuje? – odpowiedział pytaniem podkomisarz, nie odrywając przy tym wzroku od szklanki.

– Nie. Dlaczego miałbym się denerwować?

– Został pan przyłapany przez naszego funkcjonariusza na podawaniu się za kogoś innego.

– Rzeczywiście, zapomniałem – Jacek półprzytomnie rozejrzał się po pomieszczeniu. – Mam problemy z pamięcią. Właściwie co ja robię tu w tym stroju? – Przypadek ze zdziwieniem spojrzał na swój sportowy ubiór.

– Proszę ze mnie wciąż nie kpić, bo to nie wyjdzie panu na zdrowie – zdenerwował się podkomisarz Łoś. – Jest pan oficjalnie przesłuchiwany i dlatego to ja mogę zapytać, co pan robi w tym stroju. A jeśli pan mi nie odpowie, mogę pana zatrzymać za utrudnianie śledztwa. Rozumiemy się?

– No.

– To co pan robi w tym stroju?

– Pewnie to pana zdziwi, ale biegam. Szykuję się do startu w maratonie.

– Bieganie to dobry pomysł – podkomisarz zatrzymał łyżeczkę i oderwał wzrok od szklanki, przenosząc go na przesłuchiwanego. – Bawienie się w detektywa dużo gorszy.

– Pomagam sąsiadce.

– Po co?

– Może odkryłem w sobie powołanie do bycia detektywem?

Podkomisarz Łoś nakręcił sobie wąsa na palec wskazujący prawej ręki. Ten Przypadek go coraz bardziej irytował, a policjant nie mógł go w żaden sposób rozgryźć. Odpowiadał bezczelnie, ale na tyle sprytnie, że w razie czego tak naprawdę Łoś nie mógłby mu niczego zarzucić. Tak jakby był przyzwyczajony do wyprowadzania w pole stróżów prawa! Ciekawe tylko, jak nabył takie doświadczenie...

– Z czego pan właściwie żyje?

– Mam cztery mieszkania, które wynajmuję.

– A skąd je pan ma?

– Różnie. To, w którym mieszkam, odziedziczyłem po babci, drugie dostałem w prezencie od moich rodziców za zdanie na studia, inne zapisała mi ciotka w spadku.

– Ale za dużo pan chyba na tym wynajmie nie zarabia?

– Pan mnie o coś podejrzewa?

– Nie, tylko się zastanawiam, dlaczego nas pan tak ochoczo poinformował o tej kamerze z apartamentowca? Może chciał pan odsunąć od siebie podejrzenia?

– Bączek to panu odpowiedział?

– Dlaczego pan tak uważa? – ton głosu podkomisarza Łosia stracił nieco na pewności.

– Bo sam by pan na to nie wpadł.

– Czy pan mnie obraża?

– Raczej pomagam złapać złodzieja. Bo te obrazy ukradł Bączek i to jego powinien pan tu przesłuchiwać.

– Ma pan na to jakieś dowody?

– Na razie nie, ale jak tylko je znajdę, zadzwonię do pana. Bo po naszej rozmowie już nie mam wątpliwości, że to on jest złodziejem. Mogę już iść, czy chce mi pan postawić jakieś konkretne zarzuty?

– Spieszy się pan gdzieś?

– Kolega obiecał, że mi dziś pomoże wyjąć jakąś dziewczynę. Sam nie mogę na zbyt wiele liczyć, więc nie chciałbym tracić okazji.

Łoś przez chwilę zastanawiał się, jak odpowiedzieć na kolejną kpinę. W końcu, nie znajdując odpowiednich słów, uznał, że wdawanie się w pyskówki z podejrzanym nie licuje z jego godnością. Dlatego kiwnął przyzwalająco głową i odprowadził wzrokiem wychodzącego Jacka. Kiedy Przypadek wyszedł, podkomisarz spojrzał na starszego aspiranta.

– Smańko, czy ja mu coś podpowiedziałem?

– Nie zauważyłem.

– To co on gada, że po naszej rozmowie ma pewność, że to ten Bączek?

– Może blefuje?

– Tak. Pewnie blefuje, żeby zyskać na czasie. Ale ja w końcu się dowiem, jak on ukradł te obrazy, i wsadzę naszego pana de-tektywa za kratki.

Zakrapialnia była o tej porze zawsze jeszcze dość pusta. Jej stali bywalcy nie zdążyli wyskoczyć z korporacyjnych mundurków. Ci, którym los oszczędził trudów pracy dla międzynarodowych kapitałów, też przychodzili raczej później. W tej chwili dopiero powoli kończyli układanie planów świetlistej przyszłości, którą mieli zamiar uszczęśliwić ten kraj. Zresztą, po co się mieli spieszyć, skoro ich sponsorzy stawiający drinki, i wszystko inne, jeszcze tu nie przyszli? Dopiero potem, przy huku ogłuszającej muzyki, będą mogli ich bezkarnie obrażać, wypominając finansowe rozpasanie i brak odpowiedniego zainteresowania kulturą wysoką.

Ale teraz muzyka cicho sączyła się z głośników, co pozwalało prowadzić rozmowę bez konieczności przekrzykiwania się.

– Wiesz, ojciec kazał mi się do siebie upodobnić – wyznał Błażej siedzącemu obok Przypadkowi.

– Jeszcze bardziej? – zapytał nieopatrznie Jacek, tracąc na chwilę rewolucyjną czujność.

– Jak „bardziej”? Przecież my jesteśmy zupełnie niepodobni. On na przykład w ogóle nie ma powodzenia u kobiet – mecenas zauważył coś za plecami Przypadka. – Idzie Marzena.

Jacek odwrócił się i z uśmiechem wstał na widok aplikantki. Chciał ją pocałować w policzek, ale ona delikatnie się uchyliła.

– Cześć – rzuciła sucho. – Pomógł ci pan Ewaryst?

– Umiarkowanie – skrzywił się Jacek. – Uraczył mnie tylko wykładem na temat marnego gustu naszego narodu.

– Pewnie ci mówił, że symetria jest pięknem głupców?

– Dokładnie tak.

„Symetria jest pięknem głupców” przeleciało jeszcze raz przez głowę Przypadka. Tak, w tej jednej chwili zrozumiał, jak bardzo prawdziwe jest to zdanie. I jakim głupcem był wcześniej, gdy tego nie pojmował. Wreszcie do niego dotarło, gdzie tkwi zagadka żyrandola! Że też wcześniej tego nie pojął. A przecież wystarczyło poddać się symetrii.

– Co się stało? – Marzena zauważyła, że Jacka już od dłuższej chwili nie ma w klubie.

– Muszę iść rozwiązać zagadkę. I możesz podziękować znajomemu, bez niego by mi się to nie udało. Na razie.

Ruszył tak szybko w stronę wyjścia, że nie słyszał, jak jego zdezorientowana „narzeczona” wymamrotała:

– Przecież powiedziałeś, że ci pomógł umiarkowanie...

– Marzena.

– Tak, Błażej?

– Wiem, że łamię ci serce, ale wybaczone, między nami nic nie może być. Jacek to mój przyjaciel... Gdzie idziesz?

Jacek stał już dobry kwadrans na korytarzu przed swoimi drzwiami, gdy na schodach pojawił się Łoś w asyście aspiranta Smałki. Choć trzeba przyznać, że podkomisarz bardzo się spieszył. Taka okazja przecież nie trafia się często. Podejrzany postanowił sam się przyznać i pokazać miejsce ukrycia swojego łupu. Wprawdzie jeszcze nie tak dawno zgrywał chojraka, ale musiał w końcu zrozumieć, że jego, Łosia, nie jest w stanie przechytrzyć. Stąd pewnie to nagłe załamanie i wieczorny telefon.

– Dobrze, że wreszcie się pan zdecydował – wysapał Łoś.
– Może będę mógł panu załatwić łagodniejszy wymiar kary.

– To raczej ja panu mogę załatwić awans.

– Co? Co pan mówi?! Jaki awans? I gdzie pan schował te obrazy?

– Telefonując do pana, powiedziałem jedynie, że chcę się przyznać, iż wiem, gdzie są te obrazy. A nie, że ja je ukradłem czy gdzieś schowałem. Bardzo mi przykro, że się nie zrozumieliśmy.

– Proszę wreszcie przestać ze mnie kpić i powiedzieć. Co pan robi?

– Pukam do mojego sąsiada, który najprawdopodobniej od wielu godzin wciąż wpatruje się w żyrandol.

– Skąd pan to wie?

– Bo ludzie są banalnie przewidywalni, panie podkomisarzu.

Drzwi od lokalu numer trzystaście otworzyły się i ukazał się w nich pan Roman Bączek. Wzrok miał półprzytomny i widać było, że ma za sobą ciężki dzień.

– Czego? – burknął niegrzecznie.

– Bardzo pana przepraszamy, ale ktoś chyba z nas sobie zakpił – Łoś zmierzył Jacka wyjątkowo ciężkim spojrzeniem. – Obiecuję jednak, że sobie z tym kimś poważnie porozmawiamy i nie wypuścimy go do rana – chciał pociągnąć Jacka za rękę.

– A nie chciałby pan najpierw odnaleźć tych obrazów? – zapytał Przypadek. – Są tak blisko, tuż za ścianą – wskazał na otwarte drzwi, w których stał Bączek.

– Pan już całkiem oszalał. Przecież tam niedawno były gołe ściany. Gdzie pan Bączek miał je niby ukryć? W żyrandolu?

– W pewnym sensie.

– No to już przechodzi ludzkie pojęcie. Najpierw oskarża mnie ta stara głupia baba, a teraz pewnie jeszcze on. Chyba sprzedam to mieszkanie, bo inaczej będą mi zatruwać życie do śmierci – westchnął ciężko. – Ja to nie mam szczęścia do sąsiadów.

– Może jednak wejdziemy? – spytał Przypadek wciąż wahającego się Łosia. – Mogę panu obiecać, że jeśli nie znajdziemy tam obrazów, osobiście poproszę prokuratora o dwa lata więzienia dla mnie.

Propozycja była zbyt kusząca, żeby podkomisarz potrafił się jej oprzeć. Po chwili wszyscy stanęli pośrodku wielkiego pokoju, umeblowanego już niemal kompletnie, i czekającego tylko na wprowadzenie się Kolečkiego. Jacek uśmiechał się tajemniczo, zaś pozostała trójka patrzyła na niego zniecierpliwiona.

– No i? – podkomisarz Łoś rozejrzał się bezradnie po pomieszczeniu. – Może mnie pan oświeci, panie detektywie?

– Ostatnio pewna osoba powiedziała mi, że symetria jest pięknem głupców. Ale nie da się ukryć, że gdy buduje się mieszkanie, rozsądnie jest z tego piękna korzystać.

– Co pan mi tu opowiada?

– Niech pan spojrzy na żyrandol, panie podkomisarzu.

Wszystkie oczy skierowały się w tamtą stronę. Również Bączka, który nadal nie pojmował, jak mógł zdradzić go żyrandol, którego nawet nie dotykał?!

– No i co? – wzruszył ramionami komisarz. – Żyrandol jak żyrandol.

– To prawda. Za to umieszczony dość dziwnie. Po to żeby pokój był najlepiej oświetlony, żyrandole umieszcza się zawsze symetrycznie pośrodku pokoju. Ale ten jest wyraźnie bliżej tej ściany.

– Rzeczywiście – zauważył ze zdziwieniem podkomisarz Łoś. – Ale co to oznacza?

– To, że ściana została w pewien sposób przesunięta. I zapewne za nią są schowane obrazy, które zniknęły z mieszkania pani Irminy. Schował je tu pan Bączek jako lokatę kapitału. Wiedział, że szybko ich nie sprzeda. Ale on jest cierpliwy. Za kilka lat by je spokojnie wyciągnął, wtedy być może nie byłyby już tak intensywnie poszukiwane. Są tam pewnie też klucze, które dorobił do mieszkania pani Irminy. Stąd brak śladów włamania.

– Chyba pan mu nie wierzy? – błady Bączek próbował się uśmiechnąć. – To po prostu zwykła niedoróbka budowlana.

– Niestety, panie Bączek, te kamienice były budowane wtedy, kiedy nie istniało takie pojęcie – pokiwał głową Przypadek. – Wystarczy zresztą sprawdzić dla porównania ściany piętro niżej. A potem rozkuć tę pana ścianę.

– Nie zgadzam się!

– Chyba będzie lepiej, żeby pan oszczędził panu komisarzowi fatygi i sprowadzania drogiego sprzętu do prześwietlenia tej ściany? No i jak, panie podkomisarzu, wierzy pan mnie czy panu Bączkowi?

Łoś nie miał wątpliwości, że Jacek ma rację. Wystarczyło tylko spojrzeć na Bączka, który po krótkim okresie bladości zrobił się czerwony na twarzy, a potem spociał się jak bura mysz. Podkomisarz nie chciał jednak tego przyznać tak od razu i wprost. Dlatego najpierw zmierzył jeszcze tylko krokami odległość żyrandola od dwóch ścian, a następnie spojrzął z pogardą na winowajcę, dając mu do zrozumienia, że osobiście go rozgryzł i ma zamiar aresztować.

Bączek w jednej chwili skurczył się o dobrych kilka centymetrów i stwierdził cichutko:

– To wszystko przez to, że nigdy nie miałem szczęścia do sąsiadów.

Rozdział II

Listonosz zawsze przychodzi dwa razy

Ulica Podgórska była miejscem tak cichym i spokojnym, że nie widząc napisów na specjalnych tablicach Miejskiego Systemu Informacji, można byłoby pomyśleć, że z pewnością nie mieści się ona w Warszawie. I to w dodatku tak niedaleko od centrum, że gdyby nie stare, wielkie drzewa, jej mieszkańcy z okien swych domów mogliby oglądać śródmiejskie wieżowce i poczuć rytm pędzącego miasta. Tu jednak panowała wiejska sielanka zbliżona do tej sprzed stu lat, kiedy świeżo wybudowane na tej ulicy wille znajdowały się właściwie pod miastem.

Z tych powodów listonosz Kazimierz Bruzda bardzo lubił, kiedy ktoś akurat miał jakąś sprawę do mieszkańców tej uliczki. Mógł wtedy powoli spacerować pomiędzy domami, niespiesznie wrzucając korespondencję do skrzynek umieszczonych na bramach i furtkach. Czasem, gdy odbiór wymagał potwierdzenia, mógł się zatrzymać przy jakiejś posesji i porozmawiać z jej właścicielem, skosztować jakiegoś świeżego owocu z przydomowego sadu. Słowem, czuł się niemal jak na wycieczce.

Dziś jednak miał tylko jeden list, za to zagraniczny, z bostońskiej kancelarii „Tylemcoger, Johnson & Whitman”. Adresatem był pan Stefan Kolanko, obecnie już emeryt, mieszkający

pod numerem trzynastym. Nie była to pierwsza korespondencja od amerykańskich prawników. Dlatego pan Kazimierz Bruzda był bardzo ciekaw, co też oni mogą mieć za interes do pana Kolanki. Przecież przez całe życie przynosił pod ten adres najwyżej rachunki i kartki z sanatorium w Ciechocinku, gdzie regularnie wakacje spędzała nieżyjąca już żona pana Stefana. A teraz, gdy już właściwie tu nie mieszka, zaczął nagle dostawać listy z amerykańskiej kancelarii. I to polecane do odbioru osobistego!

Listonosz zatrzymał się pod numerem trzynastym i skorzystał z dzwonka umieszczonego przy furtce. Jego dźwięk złął się jednak z głośnym stukaniem młotka, dlatego pan Kazimierz zadzwonił po raz drugi. Tym razem odpowiedziała mu głucha cisza. Zaniepokojony wsłuchiwał się w nią przez moment. Potem nacisnął dzwonek po raz trzeci i już zaczął zastanawiać się, czy nie powinien zawiadomić organów ścigania. Z tego hałasu i ciszy pan Kazimierz wywnioskował bowiem, że w środku najwyraźniej musiał grasować jakiś złodziej, który przestraszył się listonosza i udaje, że go nie ma.

Jednak po chwili drzwi otworzy się i na schodach ukazał się Stefan Kolanko, ubrany w roboczy kombinezon budowlańca. Niechętnie spojrzał na pana Kazimierza, ale podszedł do furtki i otworzył ją.

– Dzień dobry – listonosz zajrzał do swojej torby w poszukiwaniu listu. – Remont?

– Tak.

– A mówił mi pan, że pan już sprzedał ten dom?

– A co to pana obchodzi?! – warknął Kolanko, zaraz jednak się zmytygował. – Przepraszam, trochę się spieszę, mam mało czasu. Co tam pan dla mnie ma?

– Następnym poleconym z Ameryki – listonosz podał Kolance list, który niemal wyrwał go z jego rąk. – Proszę mi najpierw pokwitować.

Pan Kolanko jednak nie słuchał listonosza, tylko rozerwał kopertę i teraz w ogromnym pośpiechu przebiegał oczami treść listu. Z każdą sekundą jego źrenice się rozszerzały, a twarz robiła się coraz bardziej przerażona.

– O Boże... Nie, to niemożliwe – Kolanko złapał się za serce i z trudem utrzymał równowagę.

– Co się stało? Halo, panie Kolanko, co panu jest? Czy pan mnie słyszy? Pomocy!!!

Dobre dni czasem zaczynają się od złych telefonów. Niestety, takich dni nie da się rozpoznać po jednym telefonie i powiedzieć sobie, że nic to, że potem będzie lepiej. Bo gorsze dni też potrafią zacząć się od złych telefonów. Dlatego Przypadek nie był pewien, jaki dziś będzie dzień. Wiedział tylko, że zaczął się od złego telefonu.

– Oczywiście, proszę pani, przyjadę i zobaczę, co z tym zrobić – zapewnił swoją rozmówczynię. W tej samej chwili ktoś energicznie zapukał do jego drzwi. – Naturalnie, za godzinę, najdalej dwie – przedreptał ze słuchawką do przedpokoju i spojrzał przez wizjer. – Do widzenia – otworzył drzwi. – Dzień dobry, pani Irmino – powiedział do starszej pani stojącej na korytarzu.

– Mogę do ciebie na chwilkę?

– Oczywiście. Ale rzeczywiście na moment, bo się umówiłem.

– Jakies kłopoty? – zapytała pani Irmina, gdy weszli do pokoju.

– Dzwoniła lokatorka, że jej się tynk sypie na głowę, a balkon grozi w każdej chwili oberwaniem.

– To w tym mieszkaniu po ciotce Olszewskiej?

– Ależ skąd. W tym nowym, które dostałem osiem lat temu od rodziców. Obawiam się, że będę musiał się szarpnąć na jakiś generalny remont, bo inaczej stracę lokatorów.

– To pewnie przydadzą ci się jakieś pieniądze, bezwarunkowo? – zapytała pani Irmina, uśmiechając się do własnych myśli.

– Jakby pani zgadła.

– Świetnie, bo mam dla ciebie następnego klienta.

– Jakiego klienta? – Jacek uchodził wprawdzie za bystrą osobę, ale teraz jego myśli zajmowały zupełnie inne sprawy.

– Mój znajomy potrzebuje detektywa. I to nie byle jakiego, najlepszego. Jak mu powiedziałam, jak znalazłeś te obrazy, to on do mnie: „Pani Irmino złociutka, niech go pani poprosi, żeby on się zajął moją sprawą. Ja mu mogę nawet oddać jedną czwartą tego skarbu”.

– Jakiego skarbu? – Przypadek zaczął przeglądać szafę w poszukiwaniu jakiejś w miarę czystej koszuli i słuchał swojej sąsiadki tylko jednym uchem.

– W jego domu jest ukryty skarb. Tylko on go nie może znaleźć – zaczęła grzebać w swojej kieszeni, by wyjąć po chwili wizytówkę. – To na kiedy cię umówić?

– Ale, pani Irmino, z tymi obrazami to była jednorazowa rzecz, ja się nie nadaję na detektywa. Brak mi systematyczności.

– Bzdury opowiadasz, mój drogi chłopcze, jesteś do tego stworzony. Bezwarunkowo!

– Poza tym ja muszę dużo trenować do maratonu.

– To będziesz rozwiązywał sprawy w trakcie biegania. Sam mówiłeś, że ci się wtedy dobrze myśli. A jeśli tylko zechcesz, będziesz miał mnóstwo klientów. Już ja się o to postaram – jego upór chyba ją mocno zezłościł. – Zastanów się nad tym do jutra – wręczyła mu wizytówkę i wyszła.

Jacek został z kartonikiem w ręce. Spojrzał na niego i odczytał półszeptem treść.

– Stefan Kolanko. Podgórska 13.

Starszy aspirant Smańko robił w tej chwili to, co każdy przeciętny koń w tym mieście, którego posadzono za biurkiem i akurat zabrakło nad nim czujnego oka pana. Korzystając ze swobody, policjant uważnie wpatrywał się w ekran swojego komputera, zastanawiając się przy tym, gdzie sprytnie urządzenie mogło ukryć kolejną „minę”, na którą mógł wpaść. Był już bliski rozwiązania tej jakże pasjonującej zagadki, kiedy drzwi nagle otworzyły się i do pokoju wpadł zły jak rój os Łoś. Ekran komputera aspiranta Smańki był wprawdzie odwrócony tyłem do wejścia, ale po przerażonej minie podwładnego podkomisarz od razu poznał, że przyłapał go na gorącym uczynku. A ponieważ dzień dla Łosia zaczął się wyjątkowo źle, nie omieszkiał dać upustu swojej złości.

– Znowu, Smańko, gracie w tego głupiego *Sapera*?! Zamiast zająć się poważnymi rzeczami?!

– Ale panie komisarzu... – Smańko przełknął ze strachu ślinę, bo od razu poznał, że Łoś jest w fatalnym humorze. – Ja po prostu trenuję umysł, żeby nie wyjść z wprawy. Pan wie, ile się czasem trzeba zastanowić nad tym, gdzie oni te miny...

– Co wy mi tu pieprzycie, Smańko? Przyznajcie się od razu, że to wy – Łoś wyciągnął oskarżycielsko w stronę podwładnego wskazujący palec prawej dłoni.

– Co ja? – Smańko był przerażony, bo ostatnio rzeczywiście zrobił kilka rzeczy, o których jego przełożony nie powinien się dowiedzieć. Dopóki jednak nie wiedział dokładnie, o co chodzi, szedł w zaparte.

– No wy roznosicie te głupie plotki!

– Jakie plotki, panie komisarzu? – zapytał autentycznie zdziwiony Smańko, bo akurat w kwestii plotkowania mógł się czuć absolutnie niewinny.

– Wzywa mnie dzisiaj inspektor Zasada i chce się dowiedzieć czegoś więcej o tym genialnym detektywie.

– I co?

- Jak to i co? Ja nie znam żadnego genialnego detektywa!
- przyznał autokrytycznie Łoś.
- Ale ten Przypadek...
- Czyli to jednak wy rozpowiadacie o tym Przypadku! Przecież on na razie nic nie rozwiązał! On w ogóle nie jest detektywem!
- Trochę nam pomógł...
- Taki jego obywatelski obowiązek pomagać policji. Ale jak się dowiem, że wy coś o nim jeszcze mówicie...
- To pewnie ta jego sąsiadka. Pan komisarz pamięta, że ona się z inspektorem Zasadą знаła.
- No tak, macie rację. Zapomniałem – mruknął niezadowolony Łoś. – Jak to ludziom można wmówić każdą głupotę. Genialny detektyw się znalazł.

Przypadkowi wydawało się, że jest raczej kiepskim kandydatem na detektywa. Brak systematyczności był tylko jednym z licznych powodów. Innych też nie brakowało, a ich lista była tak długa, że wymienianie jej zajęłoby mnóstwo czasu. Jednak sam przed sobą musiał przyznać, że znalazłby w tym fachu kilka rzeczy, które mogłyby go zainteresować.

Inaczej rzecz się miała w przypadku jego dotychczasowego źródła dochodów. Bo co do tego, że nie nadawał się na osławionego kamienicznika, nie miał nawet cienia wątpliwości. Przy czym nie miał nic przeciwko kamienicznikom jako takim i nie posądzał ich o brak sumienia jak większość społeczeństwa. Kilka razy zdarzyło mu się bowiem widzieć, gdy ludzie uparcie nieplacący czynszu kupowali nowy samochód bądź telewizor, i uważał, że takie osoby należy absolutnie wyrzucić na bruk. Tyle tylko, że sam nie potrafiłby tego zrobić. I cieszył się okrutnie, że każdy kolejny jego lokator sumiennie opłacał czynsz.

Dlaczego więc, mimo braku predyspozycji, wciąż był owym kamienicznikiem? No cóż, jako się rzekło, Jacek nadzwyczaj cenił sobie prostotę różnych rozwiązań. Dlatego wciąż wynajmował swoje mieszkania, bo był to najprostszy sposób na zarabianie pieniędzy, których zawsze mu brakowało.

Ale nawet w najprostszych sposobach trafiają się trudne chwile.

– Widzi pan? – zapytała Ariadna Sowińska, aktorka scen warszawskich, wynajmująca od Jacka jedno z mieszkań.

– No – potwierdził Przypadek ze smutkiem przyglądający się odpadającemu tynkowi.

– A na balkon to się nawet boję wyjść.

– Rozumiem.

– Mnie to nie wystarczy. Ja mam małe dzieci.

– Dobrze, pani Ariadno, zrobmy tak. Podesłę tu pani znajomego fachowca, który na szczęście nie wyjechał do Anglii. On zrobi kosztorys. Państwo to wyremontujecie, a ja przez jakiś czas odstąpię od pobierania czynszu, aż się państwu zwróci.

– Panie Jacku, ja nie mam zamiaru mieszkać z dziećmi w remontowanym lokalu.

– To co pani proponuje?

– Teraz wyjeżdżam na miesiąc z dziećmi na wakacje, a potem będę miała poza Warszawą zdjęcia do filmu przez kilka tygodni. Jak wrócę za dwa miesiące i mieszkanie będzie już odremontowane, wynajmę je od pana ponownie. Jeśli nie, będzie pan sobie musiał szukać nowej lokatorki.

– No... dobrze.

– Aha. I oczywiście za te dwa miesiące nie płacę panu za wynajem, za to pan opłaca wszystkie rachunki.

– Nie potrafię odmówić tak pięknej kobiecie niczego.

– Proszę mnie tu nie czarować, panie Jacku, tylko dzwonić do tego znajomego fachowca. Ja za tydzień zabiorę stąd wszystkie rzeczy, którym mogłoby się coś stać w trakcie remontu.

„To musi gdzieś tu być!”.

Tylko gdzie? Kolanko przeszukał już dokładnie wszystkie pomieszczenia. Sprawdził wszelkie szafy, zakamarki, opukał ściany. Nacisnął absolutnie każdy fragment boazerii, który mógł być guziczkiem otwierającym jakiś tajny schowek, odsuwającym ruchomą ściankę. Sprowadził specjalistę z wykrywaczem metali, a następnie rozkopał pół ogródka. I nic!

Mieszkał w tym domu od urodzenia. Zdawało mu się, że zna każdy jego centymetr, każdą tajemnicę! A tymczasem od tylu lat był tu skarb, o którym nie wiedział!

Może jeszcze ten detektyw? Jak on sprytnie odkrył miejsce, gdzie złodziej schował te obrazy. No ale tamta kradzież miała miejsce tydzień wcześniej, trop mógł być świeży. A tu nie zmieniło się nic od wojny!

No trudno. Nie ma wyjścia. Tych kilka rozkutyh ścian, które wydawały się puste w środku, nie wystarczy. Trzeba iść na całość. Musi zacząć od pięknej, dębowej klepki pamiętającej jeszcze przedwojennych właścicieli. Z bólem chwycił za młotek. Wziął zamach i uderzył w obuch oskarda. Pierwsza klepka odskoczyła od podłogi.

W chwili gdy pod numerem trzynastym pan Kolanko rozpoczął kompletne demolowanie domu, wzdłuż ulicy Podgórskiej spacerował mężczyzna lat około czterdziestu. Z zainteresowaniem przyglądał się pięknej ponadstuletniej architekturze, która obrosła starymi jabłoniami, gruszami i brzoza. To było jedno z najbardziej prestiżowych miejsc w Warszawie, gdzie cena metra kwadratowego kilkukrotnie przewyższała średnią krajową. On wiedział nawet dokładnie, o ile przewyższała, bo właśnie nabył uroczą willę przy tej ulicy pod numerem trzynastym.

Stał właśnie teraz naprzeciwko niej. Wprawdzie było lato, niemal środek dnia, ale szczelnie zasnuwane chmurami niebo sprawiło, że paliły się już światła w środku willi i można było dokładnie obejrzeć, co robi dotychczasowy gospodarz tego miejsca.

W ciszę ulicy wdzierały się rytmicznie stuknięcia młotkiem i dźwięk odpadającej klepki. Dębowej. Przedwojennej. To między innymi ona stanowiła o cenie domu. Każdy inny nabywca zapewne by się tym przeraził. Ale nie ten mężczyzna.

– Szukaj sobie, szukaj. I tak nic nie znajdziesz. Tylko ja wiem, gdzie jest ten skarb.

O tej porze dnia Szypułka jak zwykle pełna była gości. Większość z nich z zainteresowaniem rozglądała się wokoło, sprawdzając, czy nie wpadł tu akurat na łancz jakiś dobrze ustosunkowany znajomy, któremu można się przypomnieć i dostać pracę/zlecenie/kontrakt (niepotrzebne skreślić). Albo taki, któremu można wyświadczyć dość łatwo jakąś przyjacielską przysługę, która w przyszłości może się nieźle opłacić. Dlatego Szypułka, i kilka okolicznych restauracyjek o zbliżonych nazwach, wciąż była pełna osób robiących mniej lub bardziej błyskotliwą karierę. W końcu od tego są modne lokale.

W tym morzu interesowności wyjątek stanowił Młody Bóg Seksu, który uważał, że niczego mu nie brak, dlatego nie musi się nikomu podlizywać. Lat nieco ponad trzydzieści, skromnej budowy, za to z ogromną ilością sił życiowych i wciąż niezachwianym dobrym samopoczuciem. Mecenasa Błażeja Sakowicza, przyjaciel Przypadka od piaskownicy, dyskretnie łapiący pożądliwe spojrzenia wszystkich kobiet na sali. Tę jakże przyjemną czynność przerwało mu dopiero przyjście Jacka, którego humor można było rozpoznać na pierwszy rzut oka.

– Co taki skwaśniały jesteś?

– Duże wydatki przede mną. Wygląda na to, że będę się musiał szarpnąć na remont jednego z mieszkań. I to generalny.

– Dasz sobie radę. Masz jeszcze przecież czynsze z pozostałych trzech.

– Dwóch – sprecyzował Przypadek. – Czynsz z tego na Bemowie idzie na spłatę kredytu, jaki na nie zaciągnąłem.

– No to kiepsko. Ale głód ci chyba nie grozi?

– Raczej nie. Za to grozi mi, że będę musiał coś czasem pozyczyć od ojca.

– To rzeczywiście skucha. Jakbyś chciał, to ja też bym mógł...

– Dzięki, Błażej, ale tobie muszę oddać. A w przypadku mojego staruszka mogę liczyć na umorzenie.

– Bezwarunkowe?

– Najwyżej znów powiem, że zastanawiam się nad powrotem na studia...

– On to jeszcze kupuje?

– Raczej nie. Ale tak bardzo chce wierzyć w to, że to jest możliwe, że gotów jest zaryzykować każde pieniądze.

– Biorąc pod uwagę, jakim jest sknerą, to chyba rzeczywiście mu zależy.

– A mnie nie.

Mecenas Sakowicz spojrzał na przyjaciela. Tak, chyba najwyższa pora, żeby z nim poważnie porozmawiać. Tak dłużej przecież nie może być. Zresztą w końcu od czego ma się przyjaćciół? Czasem przecież i od tego, żeby mocno kopnęli człowieka w dupę i pokazali mu przykrą prawdę.

– Czy ty nie masz zamiaru robić czegoś w życiu? – zapytał Błażej. – Wiesz, praca czasem męczy, ale czasem też daje przyjemność.

– Wiem, ale ja nie znam pracy, która mogłaby mi dać przyjemność. W szachy jestem za słaby, brydż mnie jakoś nie pociąga. A na rozwiązywaniu krzyżówek i rebusów raczej się nie dorobię.

– A nie mógłbyś być detektywem? – Jacek wybuchł tak gwałtownym śmiechem, że mało nie ochlapał Błażeja pitą herbatą.

– No czemu się śmiesz?

– Już mi to dzisiaj proponowała pani Irmina. Znalazła mi nawet następnego klienta. Zresztą, z jej kontaktami mógłbym nie martwić się o klientów do końca życia. Czasem mam wrażenie, że ona zna wszystkich w tym mieście.

– No widzisz? – Błazej coraz bardziej zapalał się do pomysłu. – Przecież sprawę tych obrazów rozwiązałeś koncertowo. Wszyscy znajomi wiedzą, że się przed tobą nic nie ukryje. Wystarczy, że spojrzysz na człowieka i już go przeświecisz na wylot.

– Bez przesady.

– Bez. Myślisz, że ja nie wiem, co myślą znajomi? Przecież wszyscy uważają, że mam hopla na punkcie rzekomo leczących na mnie babek. A ty jeden od razu wiedziałeś, że to mój zwierzęcy magnetyzm tak na nie działa.

Jacek twierdząco pokiwał głową, bo zaprzeczyć nie mógł w żaden sposób.

Redaktor Anna Sobania szybkim krokiem przemierzała podziemny parking w biurowcu, w którym mieściła się redakcja jej dziennika o niezbyt oryginalnym tytule „Nowe Życie”. Otworzyła automatyczny zamek w swoim samochodzie i już chciała wejść do środka, kiedy ktoś chwycił ją za ramię. Wzdrygnęła się i odwróciła. Przed nią stała Malwina, której auto było zaparkowane obok koleżanki.

– Podobno wzięłaś parę dni wolnego? – spytała podejrzliwe przyjaciółka.

– Muszę załatwić jedną ważną sprawę.

– Czy to ma może związek z panem Przypadkiem? – Malwina otworzyła swój samochód i wrzuciła torebkę na siedzenie obok kierowcy.

– Nie, dlaczego?

– Nie udawaj. On ci załatwił strasznie mocno za skórę.

– Przesadzasz.

– To ty przesadzasz – Malwina wsiadła do swojego auta i otworzyła szybę od strony Anny. – Nawet mi nie powiedziałaś, że bierzesz urlop.

– A czy ten urlop musi mieć jakikolwiek związek z nim? – Anna wsiadła do swojego samochodu i ze złością zatrzęsnęła drzwiami.

– Ciekawa tylko jestem, czy bardziej podnieca cię on sam, czy to, że jest taki niedostępny?

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła! – odpowiedziała Anna już zła i włożyła kluczyki do stacyjki.

– Ale w naszym fachu niezbędny. No, nie obrażaj się – Malwina pokręciła z dezaprobatą głową. – Zadzwoń, jeśli będę ci mogła pomóc.

– Dam sobie radę!

– Oj, chyba niepotrzebnie opowiadałam ci o tej Basi.

– Na mnie takie rzeczy nie działają.

– A jednak pan Przypadek nie daje ci spokoju – twarz Malwiny przybrała wyraz niemal zasmucony. Jednak dobrze znający ją wiedzieli, że tak właśnie wygląda, kiedy chce kogoś podpuścić. A ponieważ redaktor Sobania знаła swoją redakcyjną koleżankę wystarczająco dobrze, odburknęła:

– Malwina, nie próbuj ze mną tych numerów.

– Jakich numerów? Ja po prostu nie chcę, żebyś się za bardzo rozczarowała. Jeśli sobie życzysz, możemy zrezygnować z naszego zakładu.

– Nie ma takiej potrzeby. Poradzę sobie. Muszę tylko znaleźć jego słaby punkt.

Redaktor Sobania odjechała z piskiem opon, zostawiając na parkingu Malwinę, która, nie bez odrobiny satysfakcji, wyszepiała tuż przed uruchomieniem swojego silnika:

– Możesz długo szukać.

Gwałtowne i nieprzewidywalne zjawiska pogodowe w ostatnim czasie niewątpliwie nasiliły się na całym świecie. Ludzie byli zdziwieni pojawiającymi się znikąd burzami, o których nikt wcześniej nie pomyślał, że mogą być nagłe i gwałtowne. Zdumiewały ich także rzeki wylewające w tych samych miejscach od tysięcy lat, co kiedyś ciemna ludność uznawała za zjawisko normalne. Na szczęście teraz światli ludzie dwudziestego pierwszego wieku wiedzieli, co o tym myśleć, i interpretowali te wszystkie fakty jednoznacznie jako zapowiedź końca świata i czekającego nas Armagedonu. I jak dawni szamani i czarownicy, tak samo największe umysły naszych czasów, za symboliczną opłatą, gotowe były zrobić wszystko, by ustrzec nas przed nieuchronnie nadchodzącym kataklizmem.

Niestety, nie wszyscy chcieli im wierzyć i wciąż niespodziewane i unikalne zjawiska atmosferyczne zdarzały się niemal każdego dnia i w każdym zakątku globu. Tych niedowiarków należało jak najszybciej przysłać na posesję przy ulicy Podgórskiej pod niezbyt fartownym numerem trzynastym. Przypadek, który przed chwilą tu przybiegł, nie mógł mieć wątpliwości, że właśnie przeszło tu nieoczekiwane, słabo opisane w podręcznikach geografii, śródmiejskie tornado. I to przeszło dosłownie przed sekundą, gdyż inaczej właściciel próbowałby już coś posprzątać.

– Jestem bardzo wdzięczny panu, że zechciał zająć się tą sprawą – Kolanko uściśnął dłoń Jacka, przy okazji mocno nią potrząsając. – Pani Irmiona wspominała, że jest pan bardzo zajęty.

– Czasami bywam zajęty – odparł dyplomatycznie Jacek. – Ale zanim będzie pan mógł być mi naprawdę wdzięczny, niech mi pan wszystko opowie.

Kolanko podszedł do stojącej pod ścianą biblioteczki. Wspiął się na palcach i z największym trudem zdjął z góry dwie koperty i podał jedną z nich Jackowi.

– Dwa miesiące temu przyszedł ten pierwszy list ze Stanów. Jest po polsku i po angielsku.

Przypadek otworzył kopertę i zobaczył elegancki czerpany papier firmowy, który należał do kancelarii „Tylemcoger, Johnson & Whitman”.

– „Drogi panie. Klientem naszej kancelarii jest pan Nataniel Goldwasser. Jest on jedynym żyjącym krewnym pana Abrahama Rosencwajga, ostatniego przedwojennego właściciela willi, która obecnie należy do pana. Wiemy, że pan Rosencwajg podarował ten dom panu ojcu w zamian za opiekę w trakcie wojny, i nie zamierzamy dochodzić żadnych praw do niego. Ale ostatnio nasz klient wszedł w posiadanie dokumentu świadczącego niezbicie, iż na terenie pańskiej posesji znajduje się spory skarb w postaci unikatowych znaczków o wartości rynkowej co najmniej pięciu milionów dolarów”.

– Bo ten Rosencwajg to on był filatelista – przerwał mu Kolancko.

– Aha. „Dlatego proponujemy panu podział tego skarbu na pół w zamian za ujawnienie miejsca jego ukrycia”. I co, nie chce się pan z nim dzielić?

– Ależ skąd. Od razu napisałem, że przystaję na tę propozycję bardzo chętnie. Ale po miesiącu otrzymałem ten list – Kolancko podał mu drugą kopertę. Jacek otworzył ją i ponownie jego oczom ukazał się elegancki czerpany papier firmowy.

– „Drogi panie. Nasz klient, pan Nataniel Goldwasser zmarł przed dwoma tygodniami, zabierając ze sobą tajemnicę do grobu. Niestety, nie możemy panu w żaden sposób pomóc”. No to rzeczywiście pech. Teraz może pan do końca życia szukać wszędzie skarbu.

– Nie do końca życia, ale jeszcze najwyżej dwa tygodnie.

– Dlaczego?

– Zanim dostałem ten list, sprzedałem swój dom. Podpisałem umowę przedwstępną i wziąłem już pierwsze sto tysięcy. Zobo-

wiązałem się wyprowadzić w ciągu trzech miesięcy i ten termin mija właśnie za dwa tygodnie.

– Może się pan wycofać.

– Dostałem za ten dom bardzo dobrą cenę. A jeśli tu nic nie ma?

– No tak – pokiwał głową ze zrozumieniem Jacek. – I naprawdę nie ma pan pojęcia, gdzie może być ten skarb?

– Najmniejszego. Ojciec mało wspominał tego Rosencwajga.

– Pozwoli pan, że się rozejrzę.

– Proszę się rozglądać. Jeśli ma pan też jeszcze jakieś pytania...

– Właściwie mam takie jedno – Przypadek spojrzał prosto w oczy pana Kolanki. – Czy mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego chce mnie oszukać?

Podkomisarz Łoś wyciągnął się wygodnie na swoim fotelu i wziął do ręki jeden ze swoich milicyjnych kryminałów, jakie w niesłusznie minionym systemie ukazywały się masowo. Uwielbiał ich lekturę i miał ogromną biblioteczkę, a w niej wszystkie przygody majora Downara autorstwa Zaydler-Zborowskiego. Ozdobą jego półek była jednak kompletna legendarna seria *Ewa wzywa 07*. To właśnie w niej ukazało się najwięcej utworów jego ulubionej pisarki Heleny Sekuły. W jej książkach podkomisarz Łoś odnajdował najpiękniej przedstawiony świat relacji przestępczo-milicyjnych odmalowany wspaniałymi czarno-białymi barwami. Nie było tam niepotrzebnych szarzyzn, które komplikowałyby lekturę. Wszystko było proste i zrozumiałe. Pogodni, szlachetni milicjanci i ponurzy przestępcy, których łatwo było rozpoznać, bo zawsze rekrutowali się z kręgów tak zwanej „prywatnej inicjatywy”. Łoś uważał nawet, że książki te powinny zostać wprowadzone jako obowiązkowe lektury w obecnych szko-

łach policyjnych. Jego zdaniem niewiele się zmieniło i każdego prywatnego przedsiębiorcę należało, na wszelki wypadek, traktować jak przestępcę.

Tym razem jednak sięgnął po lekturę *Siedmiu diabłów dziadka Osiornego* autorstwa Heleny Sekuły nie w celach edukacyjnych. Liczył, że ta książka, połączona z fotelem i stołem, na który zarzucił nogi, przyniosą mu ukojenie po dniu ciężkiej pracy.

A nie był to dzień łatwy. Można nawet powiedzieć, że był dość trudny. Zresztą, jakby mu się jeszcze lepiej przyjrzeć, należałoby go uznać za bardzo trudny. A właściwie za najtrudniejszy z dotychczasowych dni, jakie spędził w swoim zawodzie podkomisarz Łoś. Dlatego miał nieklamana nadzieję, że chociaż w domu będzie mógł zaznać chwili spokoju i odetchnąć od ciężkich doświadczeń, jakie stały się jego udziałem.

Jednak niedane mu to było. Może dlatego, że pani Łosiowa z żadnej strony nie wyglądała jak odpoczynek wojownika? Ale trudno tak wyglądać, jeśli człowiek wraca do domu z rękoma obładowanymi ciężkimi siatkami, będąc zmęczoną i zniechęconą coraz niższym poziomem intelektualnym kolejnych pokoleń uczniów. I na pewno nie jest się zadowolonym, kiedy zaraz po otwarciu drzwi dopada cię szczekający jamnik.

– Cywil, uspokój się! – warknęła zdenerwowana Łosiowa, zamykając drzwi.

Podkomisarz aż za dobrze wiedział, co oznacza to warknięcie. Dlatego błyskawicznie wyciągnął nogi, oparł je na stole, kryminal położył na piersiach, oczy przymknął, a głowę przytulił do oparcia fotela. Dość naiwnie liczył, że ten kamuflaż pomoże mu przetrwać pierwszą nawałnicę.

– I tak wiem, że nie śpisz. Nogi zdejmij ze stołu.

– Przestań mnie wychowywać! – warknął podkomisarz, ale zdjął posłusznie nogi ze stołu.

– Bo co? Uważasz, że ci trochę kultury zaszkodzi?

– Czep się tych swoich uczniów – Łoś zrozumiał, że spokój to wciąż jest rzecz, o której może jedynie pomarzyć. Odłożył ze złością *Siedem diablów dziadka Osiornego* i wyprostował się w fotelu.

– Ich się czepiam w godzinach pracy. Szkoda, że nie mogę w domu chociaż trochę odpocząć, tylko wciąż muszę wychowywać dużego dzieciaka! Z psem byłeś?

– Zmęczony jestem.

– Co ty mi mówisz, Łoś, że zmęczony jesteś? – Łosiowa stanęła przed mężem niczym kapral przed poborowym. – A czym?

– Całe życie człowiek haruje, a tu przyjdzie taki i całą śmientankę wypije...

– Ty ciągle myślisz o tym detektywie?

– Jakim detektywie? – Łoś zerwał się na równe nogi. – To zwykły amator! On tylko wysunął hipotezę! Jakbym ja jej nie sprawdził, to nic by z tego rozwiązania nie było. A poza tym to ja mu je podpowiedziałem.

– W jaki sposób?

– Tego dokładnie nie wiem... Ale sam powiedział, że pewności, że to Bączek ukradł te obrazy, nabrał po rozmowie ze mną.

– To co się martwisz?

– Bo wszyscy myślą, że to on rozwiązał.

– Też się masz czym przejmować. Cywila wyprowadź – warknęła groźnie i wyszła z pokoju, nie czekając na odpowiedź męża. Zresztą do niczego nie była jej ona potrzebna. Polecenia, które wydawała, nie podlegały nigdy żadnej dyskusji. Przynajmniej nie tej, którą prowadzi się na głos.

– Nawet w domu człowieka nie uszanują – zamruczał pod nosem Łoś, ale posłusznie ruszył do wyjścia.

Nie rozumiem – pan Kolanko otarł chusteczką pot z czoła.
– Naprawdę nie rozumiem, skąd panu to przyszło do głowy.

– Po prostu uważam, że ludzie są banalnie przewidywalni.

– Ależ po co miałbym pana oszukiwać?

– Panie Kolanko, ja nie mam czasu bawić się z panem w kotka i myszkę. Jeśli chce pan, żebym odnalazł te znaczki, musi być pan ze mną absolutnie szczerzy.

– Ależ ja jestem...

– Dobrze – westchnął Jacek. – Jeśli uważa pan, że jest pan ze mną szczerzy, to proszę mi wyjaśnić, dlaczego po dostaniu pierwszego listu zaczął pan szukać samodzielnie tych znaczków?

Pan Kolanko przełknął ze strachu ślinę. Pani Irmina wprowadzie wspominała mu, że ten Przypadek jest bystry i może wiele zauważyć. Ale nic nie mówiła o tym, że jest jasnowidzem. A tylko ktoś taki mógłby wiedzieć o jego wcześniejszych poszukiwaniach. Nie mówił o nich absolutnie nikomu.

– Skąd pan wie? – zapytał lekko przestraszony.

– Ten pierwszy list – Jacek wskazał ręką na koperty, które dostał wcześniej od Kolanki – też był już pokryty pyłem. Gdyby pan zaczął poszukiwania po drugim liście, pył byłby tylko na nim.

– Po prostu zaglądałem do nich ostatnio i przekładałem. Co pan tak się przygląda tym stemplom?

– Ten nadano prawie trzy miesiące temu, a ten dziesięć dni temu. Gdyby pan odpisał od razu, odpowiedź miałby pan po dwóch tygodniach.

– Ale poczta...

– Czy panu się wydaje, że jak uznam pana za mniej chciwego, to chętniej znajdę te znaczki? – uśmiechnął się ironicznie Przypadek.

– No nie... – Kolanko zrozumiał, że dalsze ukrywanie prawdy nie ma sensu. Zwłaszcza że ten facet naprawdę okazał się nad wyraz bystry. Wprawdzie jego bystrość jak na razie przede wszystkim go irytowała, ale mogła też dawać nadzieję, że uda mu się jednak odnaleźć skarb. – To prawda, pomyślałem, że właściwie jakbym sam je znalazł... To co by złego...

– Nie musi się pan tłumaczyć. Komu pan sprzedał swój dom?

– Agencji nieruchomości „Zarzycki i Wspólnicy”.

Podkomisarz Łoś na spacerach ze swoim pupilem lubił najbardziej te chwile, kiedy mógł usiąść na ławeczce i czekać, aż jego bojowy pies zacznie obszczekiwać jakiegoś przechodnia. Zwykle taki ktoś mocno się irytował i zaczynał krzyczeć na Cywila, a zaraz potem na jego pana. Czasem nawet taki obszczekany chciał wzywać policję. I ten moment podkomisarz lubił najbardziej. Wtedy wyciągał z kieszeni legitymację ze słowami:

– To ja jestem policja.

Tym razem musiał czekać na tę piękną chwilę wyjątkowo długo. Jednak właśnie przed chwilą jamnik zaczął obszczekiwać jakiegoś gościa w sportowym stroju, który wyszedł z jednej z willi. Ale co to? Ten cholerny gość nie krzyczy na psa, tylko chce się z nim zaprzyjaźnić?! Czy ten okropny dzień się kiedyś wreszcie skończy?!

– Cywil, zostaw pana – pies wydawał się nie słyszeć swojego właściciela, tylko nadal przyjaźnie merdał ogonem do obcego. – Cywil, chodź tu natychmiast!

– Cywil, wracaj do pana – pies z niechęcią odwrócił się w stronę policjanta. – Dzień dobry, panie podkomisarzu.

– Aaaaaa, witam naszego Sherlocka Holmesa – uśmiechnął się zgryźliwie Łoś. – Co pan tu robi?

– Biegam.

– Tak daleko od domu?

– Mówiłem, przygotowuję się do maratonu.

– A nie do zostania detektywem? – zapytał Łoś, który usiłował właśnie przypiąć smycz do szelek Cywila. Wychodziło mu to niezbyt dobrze, bo pies z niezrozumiałych względów był bardziej zainteresowany Jackiem niż własnym panem.

– Do tego musiałbym najpierw mieć koncesję – uśmiechnął się kpiąco Przypadek. – Nie odważyłbym się złamać prawa.

– Zanim pan w ogóle zacznie starania o koncesję, radziłbym lepiej sprawdzić, czy pan się do tego nadaje. To ciężka praca,

nie można cały czas polegać na przypadku i wypowiedziach innych. Jednorazowy sukces mógłby panu przecież niepotrzebnie przewrócić w głowie.

– Będę o tym pamiętał.

– To dobrze. Do widzenia. Chodź, Cywil – pies nawet nie drgnął, dlatego Łoś musiał go brutalnie szarpnąć. – Idziemy. No czego się nie ruszasz?!

– Może będzie prościej jak ja pobiegnę...

Ale Łosia już nie dotknęła kpina ukryta w głosie Jacka. W tej chwili starał się tylko zapamiętać adres domu, z którego wyszedł Przypadek. „Podgórska 13. Podgórska 13. Podgórska 13”.

Trzeba sprawdzić, kto tam mieszka.

O Andrzeju Zarzyckim, właścicielu agencji nieruchomości „Zarzycki i Wspólnicy”, można było spokojnie powiedzieć, że z zawodu był dyrektorem. Jakakolwiek praca, która wiązałaby się z wykonywaniem czyichkolwiek poleceń, absolutnie przerastała jego możliwości. Zaś jego największą umiejętnością było sprawianie wrażenia, że zna się absolutnie na wszystkim i na jaki odcinek nie zostałby rzucony przez życie, to powinien na nim zajmować stanowisko kierownicze.

Dlatego już od czasu studiów, jeśli się w cokolwiek angażował, to tylko wtedy, gdy miał prawie stuprocentową pewność, że kiedyś będzie tym czymś zarządzał. Zaczynając więc działalność w uniwersyteckiej fundacji, już wiedział, że zostanie dyrektorem jednego ze studenckich klubów, które prowadziła. Aby nie stracić tej jakże zaszczytnej i dochodowej funkcji, pozostawał studentem przez lat kilkanaście, zmieniając tylko co jakiś czas wydziały. Nigdy też nie groziło mu ukończenie studiów, ba, z trudem na jakimkolwiek kierunku osiągał trzeci rok. Lecz dzięki tej wszechstronności studiowania nabył nieco wiedzy

ze zwykłej historii, z historii sztuki, prawa, nauk politycznych, a nawet stosunków międzynarodowych. No i wciąż mógł być dyrektorem dużego studenckiego klubu.

Dopiero młode wilki, które postanowiły wygrzyźć jego i jego rówieśników, pozbawiły go tej funkcji. Być może gdyby w nim i jego znajomych była wola walki, daliby radę przetrwać ofensywę wroga. Ale sami czuli się już trochę zmęczeni, brak im było dawnego zapału świeżo upieczonych aktywistów. A młode wilki rzuciły im się do gardła z taką furją, że trzeba było naprawdę wielu sił, żeby odeprzeć ich atak.

Zarzycki nie miał o to do nich pretensji. Sam pamiętał, jak przegryzał krtanie starym wyjadaczom kilkanaście lat wcześniej. Taka kolej rzeczy. Teraz oni walczyli o swój byt na paręnaście lat i z pewnością nie dopuszczą świeżej krwi, zanim sami nie staną się już starzy i stracą wolę walki.

On i jego znajomi różnie odnajdowali się w poststudenckiej rzeczywistości. Niektórzy postanowili iść w politykę, bo był to wybór zgodny z ich doświadczeniem zawodowym. Nic innego nie potrafili i nie znali się na niczym, poza aktywnością publiczną. Demokracja studencka nie różniła się zbyt wiele od tej dorosłej, dlatego ze znanstwem od razu mogli przystąpić do pompowania martwych dusz w lokalne koła partii, do których należeli. To zapewniało im wybór na intratne stanowiska i dalszą możliwość niepotrafienia niczego i nieznania się na niczym konkretnym. Ich studencka aktywność zapewniała im opinię ludzi perspektywicznych, którzy zapewne kiedyś dochrapią się ministerialnych tek, gdzie już kompletnie nikt nie będzie od nich wymagał jakichkolwiek kompetencji.

Byli też działacze studenccy, którzy postanowili sprawdzić się w biznesie. Tę drogę zwykle wybierali ci, którzy aktywnie zarządzali studenckim mieniem. Jednak będąc w istocie zwykłymi królami szczurów, w brutalnym świecie zwykłego bizne-

su z trudem sobie radzili. Przyzwyczajeni do kierowania dotowanymi interesami, źle się czuli pośród normalnych rozliczeń, gdzie manka nie dało się pokryć ekstrasfunduszami z zewnątrz. Dlatego i oni spoglądali z nadzieją w kierunku partii politycznych i swój biznes wcześniej czy późniejstawiali na obsługiwaniiezamówień publicznych.

Podobnie było i z Zarzyckim. Jednak kiedy jego znajomi ze studiów stracili władzę, wpadł na ten fantastyczny pomysł uniezależniający go nie tylko od wahań koniunktury politycznej, ale również od tych na rynku nieruchomości. Wystarczyło jedynie odpowiednio sprawdzić pewne dane, poszperać w papierach i przyzwoity zysk sam wpadał do kieszeni.

Tak jak teraz, kiedy uzyskał bardzo interesujące informacje na temat willi Szymona Kohna, przedwojennego przedsiębiorcy z branży tekstylnej. Właśnie zbierał się, żeby odwiedzić w Łodzi jej nowych właścicieli, państwa Paprockich, i złożyć im ofertę kupna. Wprawdzie jego sekretarka, wprowadzona we wszystkie tajemnice firmy, uważała, że nie powinni otwierać nowej transakcji, dopóki nie skończą z willą tego Kolanki. Bała się, że to może być niebezpieczne. Ale Zarzycki czuł, że musi jak najszybciej skorzystać z tej okazji.

A Kolanką się nie przejmował. Był pewien, że i ta transakcja zakończy się sukcesem w ciągu dwóch tygodni. Tak jak wszystkie dwanaście poprzednich spraw.

Jacek bardzo lubił odwiedzać sąsiadkę przy każdej nadarżającej się okazji. W końcu nie tak często można spotkać kobietę, która parzy dla ciebie świetną herbatę, piecze przepyszne kruche ciasteczka, a na dodatek nie ma wobec ciebie poważnych zamiarów.

– I jak wygląda ta sprawa, mój drogi chłopcze? – zapytała pani Irmina, stawiając przed nim świeżo upieczone ciasteczka.

– Byłem u niego wczoraj i obejrzałem cały dom od góry do dołu.

Jacek ugryzł kawałek ciasteczka. Następnie od razu wypił łyk herbaty. Specjał pani Irminy najbardziej smakował mu, gdy jego kruche ciasto nasiąkało powoli szlachetnym płynem, nadając mu dodatkowy aromat. Przypadek przez dłuższą chwilę delektował się smakiem, a jego twarz wykazywała objawy absolutnego uwielbienia. Normalnie taka reakcja sprawiłaby gospodyni ogromną przyjemność, ale teraz co innego interesowało ją dużo bardziej.

– No i znalazłeś coś? – spytała w końcu lekko zniecierpliwiona pani Bamber.

– Niestety, żaden żyrandol nie wisiał w nietypowym miejscu.

– To może ten Rosencwajg to zakopał w ziemi? Tak się wtedy często ukrywało kosztowności. To się nazywało nawet Bank Ziemi, bezwarunkowo.

– Ale to są znaczki. Ziemia to nie najlepszy schowek. Musiałyby być włożone w jakąś metalową, najlepiej hermetyczną, puszkę. Zresztą Kolanko sprowadził fachowca z wykrywaczem metali. Nic nie znalazł.

Jacek chwycił drugie ciasteczko i miał zamiar rozkoszować się jego smakiem w swój ulubiony sposób. Jednak zanim kruchy specjał ponownie dotarł do jego ust, pani Irmina znów dała wyraz swojemu zniecierpliwieniu.

– A on nie może po prostu poprzekuć wszystkich ścian?

– A jeśli skarb jest gdzieś w fundamentach? – Jacek z żalem przyjrzał się ciasteczku. – Poza tym wtedy musiałby wydać mnóstwo pieniędzy na odremontowanie tego domu, bo przecież go sprzedał. A właśnie, nie wie pani, dlaczego on sprzedaje tę willę? W końcu to jego rodzinny dom, tam się wychowały jego dzieci.

– Ale tam też, mój drogi chłopcze, zmarła dwa lata temu jego żona. A poza tym znalazł chętnego, który daje za niego bardzo wysoką cenę.

– Tak, wiem, nabywcą jest jakaś agencja nieruchomości – sięgnął do kieszeni po wizytówkę – „Zarzycki i Wspólnicy”, która już ma na to podobno zagranicznego kupca. Warto by się było o nich czegoś dowiedzieć.

– Zarzycki, Zarzycki... – zastanawiała się na głos pani Bamber. – Ciekawe, z których to Zarzyckich?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział niedbale Przypadek i korzystając z tego, że pani Irmiona chwilowo starała się ustalić linię genealogiczną właściciela agencji nieruchomości, włożył do ust kolejne ciastko i szybko popił je herbatą.

– Może to z tych Zarzyckich, co przed wojną mieli kamienicę na Marszałkowskiej? Nie, chyba ostatni wyemigrowali po osiemdziesiątym drugim. To może z tych Zarzyckich, co mieli cukiernię na Pięknej?

– Nie mam pojęcia.

– Najgorzej będzie, jeśli to jacyś przyjezdni Zarzyccy. Takich mogę słabo znać, bezwarunkowo.

– No właśnie...

– Co właśnie?

– To może być ciężka sprawa.

– Ale na pewno sobie poradzisz.

– Chciałbym w to wierzyć. Najgorsze jest to, że mam tak mało czasu. Jakby trochę pogrzebać w jakichś starych dokumentach, to może dałoby się trafić na jakiś ślad. Brak mi narzędzi.

– Jakich narzędzi?

– Narzędzi pracy detektywa, pani Irmiono. Logika nie zawsze wystarczy. Czasem trzeba się dowiedzieć czegoś więcej, czasem kogoś pośledzić. A ja się do tego nie nadaję.

– Nie zniechęcaj się, drogi chłopcze. Do wszystkiego dojdziesz z czasem – zapewniła entuzjastycznie Przypadka pani Irmiona. – Jak to mówią, nie od razu Kraków zbudowano. Ja postaram ci się pomóc. Na pewno jakoś mi się uda dotrzeć do tych Zarzyckich. A jeśli nawet nie, to na pewno i tak sobie poradzisz. Czemu mi się tak dziwnie przyglądasz?

- Chciałbym zrozumieć, czemu pani tak zależy.
- Po prostu wierzę w ciebie, chłopcze.
- Pani Irmino, uważa mnie pani za dobrego detektywa, a jednocześnie myśli, że uwierzę w coś takiego?
- No tak. Masz rację – chrząknęła zakłopotana. – Powiedzmy, że zaczęłam ci robić dobrą reklamę i trochę osób już wie, że wkrótce odniesiesz kolejny błyskotliwy sukces – spojrzała na Jacka z niepokojem. – Bo odniesiesz, prawda?
- Być może. Na początek muszę odwiedzić naszego znajomego antykwariusza
- Myślisz, że będzie chciał ci pomóc?
- Na pewno będzie chciał.
- Skąd wiesz, bezwarunkowo?
- Powiedzmy, że to tajemnica zawodowa – Przypadek uśmiechnął się tajemniczo. – Proszę go tylko uprzedzić, że jutro po południu wpadnę do niego w sprawie kolekcji znaczków Rosencwajga – spojrzał na zegarek. – Ale najpierw muszę się przeprosować na obiad do mamusi...

Podkomisarz Łoś już wcześniej rano postanowił, że dzisiejszy dzień będzie udany. Nawet bardzo udany. A może najbardziej udany ze wszystkich, jakich doświadczył do tej pory w swojej policyjnej robocie. Tak, to musiał być taki dzień, bo dziś właśnie zacznie się upadek tego dziwnego mitu detektywa amatora, który jakoby miał być geniuszem. Tak przynajmniej postanowił podkomisarz Łoś.

Ktoś inny musiał mieć inne plany. Bardzo przeciwnie plany. Okrutne plany. I dlatego jeszcze przed drzwiami komendy jeden z kolegów zapytał go, czy wie coś o tej nowej sprawie, którą ma rozwiązać ten genialny detektyw. Łoś odburknął, że go to w ogóle nie obchodzi, a poza tym on nie zna żadnego genialnego detektywa. Błyskawicznie pożegnał się z kolegą i po chwili wpadł jak burza do swojego pokoju, rzucając niecierpliwie od progu:

- No i co, Smańko, macie coś na tego Kolanę?
- Nie – przyznał ze smutkiem Smańko, lecz zaraz szybko dodał. – Ale pan komisarz na pewno ma rację.
- To wiem – zgodził się łaskawie Łoś. – Ale w czym tym razem konkretnie mam rację?
- Że to jakaś podejrzana sprawa.
- Czyli jednak ustaliliście coś ciekawego, Smańko?
- Właśnie nic nie ustaliłem. Ale tak jak pan komisarz mam takie przeczucie.
- Aha – mruknął niezadowolony Łoś. – To co niepodejrzanego ustaliliście w kwestii tego Kolanek?
- Smańko szybko zreferował swoje ustalenia, które z żadnej strony nie czyniły sprawy podejrzaną i nie zawierały żadnych informacji, których czytelnik nie otrzymał już wcześniej. Autor więc je pominie i przejdzie do momentu, w którym podkomisarz Łoś podkreślił swojego słynnego węża, przy okazji dwukrotnie okrążając pokój.
- „W tej sprawie coś musi być, to pewne. Coś, czego na razie dokładnie nie widać. Ale on to zobaczy, na pewno to zobaczy. A jak to zobaczy, to dopiero ten Przypadek zobaczy, co to znaczy być prawdziwym detektywem. I odechce mu się tej zabawy, oj, odechce...”
- Sprawdziliście tego Zarzyckiego?
- Myśli pan, że to o niego chodzi?
- Życie i lektura właściwych książek nauczyły mnie, Smańko, że kiedy gdzieś pojawia się prywatny przedsiębiorca, trzeba wykazać odpowiednią czujność. To jak, wiecie coś o nim?
- Tak, panie komisarzu. Nienotowany, podatki płaci w terminie, kokosów na firmie nie zbija, ale zarabia. Ma wspólnika ze Stanów. I ten wspólnik kiedyś siedział.
- Za malwersację?
- Za politykę. Jeszcze w latach osiemdziesiątych. Zresztą zaraz jak wyszedł, to wyjechał z Polski do tych Stanów. Teraz zajmuje się znaczkami.

- Znaczkami? I jest współnikiem w agencji nieruchomości?
- Nie mam pewności, bo nazwisko jest inne, ale to chyba jakaś rodzina Zarzyckiego.
- Wiecie coś o nim więcej?
- Jest problem. W „firmie” jest jakaś blokada na informacje o nim. Pan wie, co to może znaczyć? Facet pewnie pracował dla kogoś u nas i być może siedział lipnie, a potem ktoś mu ułatwił wyjazd. I dba wciąż o to, żeby się tamtym za bardzo nie interesować.
- Co wy mi tu jakieś sensacyjne bzdury opowiadacie, Smańko. Jakichś głupich rzeczy się musieliście naczytać – Łoś spojrział potępiająco na podwładnego. – Smańko, wy się musicie nauczyć oddzielać informację istotne od tych mniej istotnych.
- Oczywiście – wyprężył się służbiście starszy aspirant. – To co mam robić?
- Musimy się lepiej przyjrzeć temu Przypadkowi. Może on nas wyprowadzi na właściwy trop.

Jedną z najcięższych rzeczy, jakie można spotkać na świecie, jest ludzki wzrok. Co ciekawsze, możemy się o tym przekonać w sposób niewytłumaczalny przez współczesną fizykę. Normalnie bowiem, jeśli czegoś nie dotykamy, nie usiłujemy przesunąć, podnieść, to nie mamy najmniejszej szansy sprawdzić ciężaru tej rzeczy. Ale czyjeś oczy, które śledzą nasze kroki, możemy poczuć nawet z odległości stu metrów.

Tyle mniej więcej dzieliło Jacka od osoby, która już od dłuższego czasu podążała jego śladem. W innej sytuacji Przypadek być może zdecydowałby się na dłuższą zabawę, a nawet konfrontację ze śledzącymi go oczami. Ale teraz się spieszył. Dlatego wszedł do najbliższej bramy, gdzie mieszkał jeden z jego znajomych.

Oczy przez moment zastygły, a potem nerwowo zaczęły się przechadzać po drugiej stronie ulicy. W końcu po kwadransie również weszły do bramy. Dopiero wtedy zobaczyły podwórko. A za nim drugą bramę prowadzącą na równoległą ulicę.

Oczy szybko przemieściły się w tamtym kierunku i rozejrzały uważnie. Po Przypadku nie było już jednak ani śladu.

Sekretarka Zarzyckiego z niepokojem spojrzała na zegarek na ekranie komputera. Miała sporo pracy, ale to, czego dowiedziała się dzisiaj, nie pozwalało jej się w żaden sposób skupić na papierkowej robocie. Teraz jedynie zamiast sumiennie segregować dokumenty, nerwowo stukwała palcem w blat biurka.

„Boże, żeby tylko nie pojechał do tej Łodzi, zanim nie wpadnie do biura. I dlaczego, do cholery, ma wyłączoną komórkę? No chyba, że... Czyżby go już aresztowali? Jeśli tak, muszę stąd jak najszybciej uciekać!”

Podniosła się i chciała ruszyć do wyjścia. Zdążyła już nawet chwycić płaszcz, ale w tej chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich Zarzycki z plastikową torbą i siatką w ręce.

– Wychodzisz gdzieś? – zapytał.

– Mam złą wiadomość.

– Co się stało?

– Kolanko podobno wynajął detektyw.

– Nie on pierwszy i pewnie nie ostatni – Zarzycki ze zdziwieniem przyjrzał się podwładnej. Czyżby ostatnio tak bardzo ją zaniedbywał, że stała się nerwowa? – Nie ma powodu do obaw.

– Tym razem chyba jednak są... Znajomy z policji powiedział, że ten detektyw ma opinię geniusza.

– A jak się nazywa?

– Przypadek.

– Nie słyszałem. Coś już rozwiązał?

– Znalazł podobno te cztery skradzione obrazy.

– A pamiętam. Ale to jakiś totalny amator ukradł. My jesteśmy profesjonalistami. Z nami mu tak łatwo nie pójdzie. Zresztą powiedz, czy jakkolwiek detektyw znalazł wcześniej nasze znaczki? Są zawsze tak dobrze ukryte, że nikt nie ma na to szans.

- A jak jemu się uda?
- Nie ma prawa.
- Ale...
- Błagam, nie zwracaj mi głowy. Spieszę się do Łodzi, żeby kupić od Paprockiego tę willę po Kohnie. Aha, masz te plany willi Kolanki z zaznaczoną skrytką ze znaczkami?
- Oczywiście. Leżą na twoim biurku.

Kruche ciasteczka pani Irminy jedynie zaostrzyły apetyt Jacka. Na szczęście godzinę po wyjściu od sąsiadki przyszedł do drugiej kobiety, która z radością spełniała jego kulinarne zachcianki. Zaś jedną z najlepszych rzeczy, jakie przyrządzała, była zupa zacierkowa okraszona dobrze przypieczoną słoninką z cebulą. Danie to należało spożywać dość szybko, by mąka z zacierki nie zagęściła za bardzo jego konsystencji. Dlatego Jacek spałaszował bez słowa trzy duże talerze.

A potem bezceremonialnie spojrzał na zegarek, co nie było najgrzeczniejsze.

– Chyba się nie spieszysz, synku? – zapytała pani Felicja.

– Trochę tak. Muszę rozwiązać sprawę pewnego skarbu.

To nie była do końca prawda. Ale Przypadek wiedział, dlaczego jego matka nalegała na wizytę w tym dniu i po co zrobiła jego ulubiona zupę, której konsumpcja zawsze poprawiała mu nastrój. Gdyby było to możliwe, uniknąłby tej rozmowy. Ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że kiedyś musi ona nastąpić.

– Ty chyba nie bawisz się cały czas w tego detektywa? – popatrzyła z dezaprobatą na swego jednorodzzonego.

– Na razie się bawię

– Ale po co?

– Potrzebuję pieniędzy. Jedno z moich mieszkań nadaje się tylko do remontu.

– Jeśli chcesz, to możemy ci na pewno pożyczyć.

– Wolałbym nie korzystać z waszej pomocy. Jestem już przecież dorosły.

– No właśnie. Dlatego chciałam poważnie porozmawiać.

Aha, zaczyna się. Ciąg dalszy już znał, ale na wszelki wypadek udał zaskoczonego.

– Na jaki temat?

– Na temat ciebie i Marzeny. Fryderyk nic mi nie chce mówić, ale ja czuję, że coś jest między wami nie tak.

– No... trochę ma mama rację – odpowiedział enigmatycznie Jacek, nie będąc pewnym, jak dalece sięgają domysły jego matki.

– To znaczy?

– Chyba do siebie nie pasujemy.

– Ale co, kłóćcie się?

– Nie, absolutnie nie. Ale jakoś tak nie znajdujemy wspólnych tematów do rozmowy. I tak właściwie, to nasz związek znalazł się w kryzysie.

– Bo ja myślę, że ty ją po prostu zaniedbujesz – pani Felicja przystąpiła do ataku. – Kiedy byliście ostatnio w teatrze?

– Nooo, nie pamiętam.

– A widzisz. A kobieta potrzebuje kulturalnej rozrywki. Dlatego kupiłam wam bilety na czwartek do teatru na *Trzynaste krzesło*. Podobno świetna komedia, napisał ją sam Karasiński-Wołkowyjski.

– Ale, mamó, my mamy kryzys...

– Nie dyskutuj ze mną, tylko postaraj się choć trochę, bo Marzena to bardzo wartościowa dziewczyna – pani Felicja wręczyła synowi bilety. – Bądź odrobinę romantyczny. W końcu jesteś synem poetki.

Zarzycki przyglądał się detalom kominka w willi z miną ty-leż znudzoną, co zblazowaną. Szczerze mówiąc, nie interesowały go one w najmniejszym stopniu, ale przyglądanie się im

usprawiedliwiał to, że w ogóle nie słuchał słów pana Paprockiego. A ten mówił bez przerwy o najróżniejszych głupotach, które Zarzyckiego nic a nic nie interesowały. Dopiero kiedy powiedział:

– Wie pan, w tej willi mieszkał przed wojną Szymon Kohn. To wtedy była ważna persona w Łodzi.

Zarzycki rzucił do niego z pozoru niedbale:

– Naprawdę?

– Tak. Bardzo bogaty człowiek. Kolekcjonował stare obrazy i chyba znaczki. Miał podobno bogaty zbiór.

– To mnie nie interesuję – odpowiedział lekko zdenerwowany Zarzycki. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkł, widząc atrakcyjną kobietę, która weszła do salonu. Ona także na niego spojrzała, ale tylko przez ułamek sekundy. Zresztą, własnego męża nie zaszczyciła nawet najmniejszym spojrzeniem.

– Przepraszam, nie chciałem pana zanudzać – Paprocki zerknął na żonę, która usiadła w fotelu i sięgnęła po kolorowe magazyny leżące na stoliczku obok.

– Nie o to chodzi. Trochę się spieszę do Warszawy, bo muszę jeszcze dzisiaj popracować w biurze. Dlatego wołałbym, żebyśmy już poszli do notariusza podpisać umowę – Zarzycki ponownie ciekawie zerknął na kobietę, która w tej chwili wydawała się zatopiona w lekturze jakiejś gazety.

– Ależ oczywiście, nie będę zwlekać. Cena zaproponowana przez pana jest bardzo korzystna.

– A dwieście tysięcy zadatku już jutro będzie na pana koncie.

– Bardzo się cieszę – Paprocki zerknął na żonę. – Choć z drugiej strony szkoda mi, że już za trzy miesiące będę się musiał stąd wyprowadzić.

– Jakby ci było szkoda, to byś nie sprzedawał tego miejsca – fuknęła Paprocka, chwyciła jeden z magazynów, wyszła na korytarz i po chwili jej szybkie kroki było już słychać na schodach.

Paprocki spojrział zakłopotany na swojego gościa.

– Tak, co to ja chciałem – podrapał się po głowie. – Żona jest trochę niezadowolona.

– Zauważyłem. Dobrze, że macie państwo rozdzielną majątkową, bo inaczej mogłyby być kłopoty.

– Chodźmy do notariusza. Opowiem panu po drodze o tym Kohnie. To naprawdę ciekawa historia. Szczególnie ta jego kolekcja znaczków.

Gelberg poprawiał coś właśnie w witrynie swego antykwariatu, kiedy wszedł do niego niespodziewany gość. Pan Antoni drgnął nerwowo i zaczął szybko przypominać sobie, czy wszystkie przedmioty znajdujące się w środku są tu aby legalnie...

Nie, chyba jednak przesadza. W końcu to tylko detektyw, a nie policja.

– Witam pana. Czym mogę służyć?

– Szybką informacją o kolekcji Abrahama Rosencwajga.

– Tak, pani Irmina mi wspominała, ale nie jest tak łatwo to ustalić.

– Ale panu się już na pewno udało. Słucham.

Gelberg spojrział na swojego gościa ze zdziwieniem. To prawda, udało mu się już sporo ustalić, ale skąd, u licha, wie to ten Przypadek? Miał wprawdzie zamiar powiedzieć mu wszystko szczerze, ale chciał się choć trochę potargować.

– Chyba pan przecenia moje możliwości. Ja wprawdzie mam sporo kontaktów...

– Panie Gelberg, gdybym się uważniej rozejrzał po pana antykwariacie, pan pewnie byłby bliski zawалу. Nie było więc sensu ryzykować mojej kolejnej wizyty i dlatego na pewno zaraz po telefonie mojej sąsiadki postarał się pan dowiedzieć wszystkiego, co możliwe.

– Pańskie przypuszczenia są bezpodstawne. Ja tu nie mam nic do ukrycia.

– Panie Gelberg, ja jeszcze muszę dzisiaj pobiegać i nie mam zbyt dużo czasu. Dlatego proszę mi już powiedzieć, czego pan się dowiedział, a ja postaram się skoncentrować swój wzrok na panu i nie zauważać nic dookoła. W porządku?

– No... – Gelberg niechętnie sprzedawał jakiegokolwiek towar bez targów, ale teraz nie miał chyba wyjścia. – Jakieś dwa miesiące temu chodził po mieście taki facet, Zarzycki się nazywał...

– Zarzycki? Czy on czasem nie jest właścicielem agencji nieruchomości?

– Być może. W każdym razie rozpytywał się, czy coś nie wiadomo o tym, jakoby Rosencwajg ukrył gdzieś swoją kolekcję znaczków. To małe środowisko, wieść się szybko rozeszła.

– No i co, wiadomo coś o tym było?

– Tak, krążyła dawno temu taka pogłoska. Ale nikt nic nie wie na ten temat pewnego.

– A co wiadomo?

– Głównie to, że warta byłaby fortunę. Gdyby była w jednym ręku...

– A nie jest?

– Część z tych znaczków wypłynęła w jednym z domów aukcyjnych w Niemczech na początku lat siedemdziesiątych. Zaraz po nie zgłosił się spadkobierca, niejaki Nataniel Goldwasser. Zanim jednak zdążył coś zrobić, znaczki zostały wycofane i rozpląnęły się. To zresztą była wtedy częsta praktyka. Niemcy wystawiali na aukcjach wiele rzeczy, które zrabowali w całej Europie. Tak na wabia, żeby sprawdzić, czy zabili wszystkich spadkobierców, czy któremuś się udało jednak przeżyć.

– Tym razem mieli pecha.

– Nie do końca. Parę lat później ten Goldwasser zmarł, zresztą bezdzietnie.

– Momencik. Według pana ten Goldwasser umarł jeszcze w latach siedemdziesiątych?

– Tak się dowiedziałem. To miało tłumaczyć, że nikt tych znaczków potem nie szukał. Ale wciąż były na tyle trefne, że oficjalnie nie wypływały jako kolekcja. Ale wiedząc, że nie ma spadkobierców, już łatwiej byłoby się ich pozbywać w mniejszych partiach.

– Aha. Dziękuję za pomoc i już nie rozglądam się na boki.

– Ależ może się pan rozglądać. Nie pomogłem panu dlatego, żeby pan tu czegoś nie znalazł, ale dlatego, że również dzięki panu nie jestem już podejrzany o kradzież obrazów.

– Na razie pan nie jest – uśmiechnął się ironicznie Przypadek. Za to Gelberg przełknął nerwowo ślinę.

– Nie rozumiem. Przecież te obrazy się znalazły.

– Ale pan ma na nie wciąż kupca. I dobrze zrobione kopie.

– Niedobrze mieć w panu wroga.

– Dlatego pan mi pomaga.

O ile jeszcze kilka dni temu przez posesję przy ulicy Podgórskiej 13 przechodziło niewielkie śródmiejskie tornado, to tym razem musiał odwiedzić ją tajfun. I to jeden z najgorszych, o jakim słyszała ludzkość. Nawet Salvador Dali w szale twórczym nie byłby w stanie tak zdekomponować elementów trwałego i czasowego wyposażenia. Bałagan ten najwyraźniej źle wpływał na psychikę właściciela tego miejsca, który od dość dawna snuł się po pięknym niegdyś wnętrzu swego domu z młotkiem, szukając jeszcze czegoś do rozwalenia. Takich miejsc było coraz mniej, dlatego pan Kolanko coraz częściej przysiadł zrozpaczony i popadał w długotrwałą apatię. To, czego się jednak dowiedział przed chwilą, sprawiło go w stan zupełnie przeciwny.

– A to świnia! To jest jakiś gangster, a nie porządny agent nieruchomości. – Kolanko tupnął ze złości w podłogę pozbawioną już dębowej klepki. – Więc on wiedział, że tu jest ten skarb, i po to kupił ten dom.

- Coś mi tu nie pasuje – Jacek podrapał się w głowę.
- Co?
- Ten Zarzycki to jakiś dziwny typ.
- Po prostu duży cwaniak.
- Duży cwaniak nie chodzi po całym mieście i nie rozpytuje o skarb. Stara się dyskretnie dowiedzieć, co i jak.
- Eeeeeee, przesadza pan.
- Być może – powiedział nieprzekonany Przypadek. – Mógłby mi pan jeszcze raz pokazać koperty, w których dostał pan te listy ze Stanów?

W obecnym stanie rzeczy znalezienie korespondencji z szacownej amerykańskiej kancelarii trwało kwadrans i wymagało odgruzowania sporego kawałka powierzchni. W końcu jednak niebieska teczka z listami znalazła się pod jedną z wywróconych szaf.

– Kancelaria „Tylemcoger, Johnson & Whitman” Boston – przeczytał raz jeszcze Jacek. – Mogę jedną pożyczyć?

– Oczywiście – Jacek wyciągnął rękę na pożegnanie. – Już pan idzie?

– Tak, tutaj na razie nie mam czego szukać. Brak punktu zaczepienia.

– To gdzie pan będzie szukał?

– W Bostonie.

– Przecież oni wyraźnie napisali, że nic nie wiedzą – pośmuczył Kolanko, ale zaraz przyszła mu do głowy myśl, która wyraźnie poprawiła jego humor i pozwoliła wypłynąć na jego twarz uśmiechowi.

– A ja myślę, że tam jest właśnie klucz do rozwiązania tej sprawy. Do widzenia.

– Odprowadzę pana do drzwi.

– Sam trafię. Tylko chciałbym pana prosić, żeby pan tego nie robił.

– Czego?

– Tego, o czym pan pomyślał – uśmiechnął się Jacek i ruszył do drzwi, zostawiając osłupiałego Kolankę.

„On chyba naprawdę myśli, że jest jasnowidzem. Wtedy z tymi kopertami to rzeczywiście mógł się domyślić. Ale teraz? Nie miał prawa. Przecież to przyszło mi do głowy przed chwilą. Jeszcze nie zdążyłem nic zrobić. A on nie może siedzieć w mojej głowie! Zresztą, jeśli byłby takim jasnowidzem, to wiedziałby już dawno, gdzie jest ten cholerny skarb”.

Kolanko obserwował przez okno, jak Przypadek opuszcza jego posesję. Potem sięgnął po notes z telefonami. Otworzył go na literze „Z”, następnie podniósł słuchawkę aparatu. Przez chwilę wystukiwał numer i czekał na połączenie.

– Dzień dobry, mówi Kolanko. Chciałem rozmawiać z panem Zarzyckim.

Wprawdzie kancelaria pana Fryderyka nazywała się „Przypadek i Przypadek”, to jednak od dość dawna pracowała tu tylko jedna osoba nosząca to nazwisko. Sama nazwa pozostała od czasów, gdy współnikiem pana Fryderyka był jego nieżyjący już ojciec Jan, jeden z najbardziej szanowanych obrońców w procesach politycznych lat siedemdziesiątych. Pan Fryderyk nie zmieniał nazwy nie tylko przez szacunek dla niego, ale również dlatego, iż ciągle miał nadzieję, że w końcu zacznie z nim pracować inny Przypadek. Wprawdzie niezbyt mocno łudził się już, że jego syn wstąpi do szlachetnego grona palestrantów, wciąż jednak wierzył, że kiedyś jego aplikantka zmieni nazwisko w ten sposób, że nazwa kancelarii pozostanie wciąż aktualna.

Ale ten, który mógł się stać tej zmiany przyczyną, niezwykle rzadko gościł w tych progach. Zazwyczaj wtedy, gdy był zawieszany przez pana Fryderyka na poważną rozmowę wychowawczą. A ponieważ głowa rodu Przypadków wyszła w tej chwili na siłownię, Marzena spojrzała ze zdziwieniem na Jacka, który stanął w drzwiach kancelarii.

- Co ty tu robisz? Twojego taty nie ma.
- Przyszedłem do ciebie.
- Prowadzisz kolejne śledztwo i potrzebujesz jakiegoś kontaktu? Kto to ma być tym razem? Marszand już był, to pewnie tym razem...
- Jak możesz posądzać mnie o taką interesowność?
- No tak, rzeczywiście – spojrzała na niego kpiąco. – Jak mogłam pomyśleć, że postanowiłeś się zająć czymś konkretnym w życiu, zamiast wciąż biegać bez sensu.
- Jesteś okrutna, Marzeno – Przypadek chwycił się za serce.
- A tak właściwie to rzeczywiście prowadzę następną sprawę. Szukam zaginionej kolekcji znaczków.
- I myślisz, że ta kolekcja jest w gabinecie twojego ojca?
- Nie. Zresztą być może wkrótce stracę tę fuchę, bo w tej chwili mój klient próbuje mnie wyrolować i dogadać się z face-tem, który chciał go oszukać.
- Co?!
- Nic. Tylko tyle, że ludzie są banalnie przewidywalni.
- No tak. Zapomniałam, że dla ciebie wszyscy ludzie są banalnie przewidywalni. Ponieważ jednak ja nie mam twojego daru przewidywania, to...
- Chciałem cię zaprosić do teatru. Po to tu przyszedłem.
- A ja mam w to uwierzyć?
- A czemu nie? – Jacek szeroko otworzył oczy, dając do zrozumienia, że został niesłusznie posądzony. Następnie sięgnął do kieszeni. – Proszę, to są bilety.
- Kupiłeś już bilety, nie wiedząc, czy z tobą pójde? – uśmiechnęła się ironicznie. – Naprawdę uważasz, że jestem tak banalnie przewidywalna, że się na pewno zgodzę? Coś czuję, że jakaś musiała ci w ostatniej chwili odmówić.
- Twoje podejrzenia sprawiają mi przykrość – pokręcił głową Przypadek. Ale wiedział, że Marzenę, po pierwsze nie jest łatwo oszukiwać, a po drugie nie ma sensu tego robić. W końcu jechali na jednym wózku. – Ale masz trochę racji.

– I jeszcze mi się bezczelnie do tego przyznajesz – uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Mógłbyś choć czasem wysilić się na jakieś kłamstwo, powiedzieć, że chciałeś właśnie ze mną pójść do teatru, bo intelektualnie odpowiada ci moje towarzystwo.

– Ależ odpowiada – zapewnił szczerze Jacek. – Ale ten teatr to pomysł mojej mamy.

– Aha, rozumiem, taki mały szantaż – oczy Marzeny zwęziły się niepotrzebnie. – Jak nie pójdziesz, to możesz mieć potem problemy w pracy. Tak?

– Tym razem naprawdę sprawiłaś mi przykrość.

– Trudno. Miałam wrażenie, że ustalaliśmy ostatnio, że powiesz jej prawdę.

– I jestem już naprawdę blisko. Mama jest obecnie na etapie tego, że nasz związek przeżywa kryzys. Stąd zresztą te bilety. Uważa, że cię zaniedbuję. Nie przyjmie do wiadomości tego, że nie staramy się naprawić naszych stosunków – spojrzał na nią prosząco. – No zgódź się. Na najbliższym obiedzie na pewno nas odpyta z treści tej sztuki – zrobił minę zbitego psa, w czym był mistrzem. – Co ci zależy?

– A może ja mam plany na ten wieczór?

– A jeśli udowodnię ci, że to niemożliwe, pójdziesz ze mną?

Marzena zlustrowała swoje biurko, szukając, czy nie napisała tam gdzieś, przez nieuwagę, dużymi, drukowanymi literami: „NIE MAM ŻADNYCH PLANÓW NA CZWARTEK!!!”. Nic takiego tam jednak nie było, dlatego postanowiła zaryzykować. A może nie zaryzykować, tylko sprawdzić, co ją zdradziło. Dzięki temu będzie mogła się przecież lepiej zabezpieczyć na przyszłość.

– Być może pójde.

– To ja być może powiem ci, czym się zdradziłaś, i być może będziesz mogła lepiej w przyszłości zabezpieczyć się przed dekonspiracją.

– No dobrze, pójde. Pod warunkiem, że uznam twoje tłumaczenie za wiarygodne.

– W tygodniu nie planujesz niczego przed dwudziestą pierwszą, bo wiesz, że możesz mieć więcej pracy. A poza tym ostatnio nie spędzasz wieczorów z nikim konkretnym.

– A skąd wiesz?

– Bo kiedy nie spędzasz wieczorów z kimś konkretnym, używasz delikatniejszego makijażu, chodzisz na płaskim obcasie i bardziej nerwowo reagujesz na propozycje naszych spotkań. A dziś jesteś wyjątkowo nerwowa – Przypadek przysiadł na brzegu biurka Marzeny, która ze złością zerknęła na swoje pozbawione obcasów buty. – To jak, jesteśmy umówieni?

– Tak. Pod warunkiem, że umówimy się na coś jeszcze.

– Na co?

– Na to, że od dnia dzisiejszego masz jeszcze tylko trzy miesiące na definitywne zakończenie naszego narzeczeństwa. Ani dnia dłużej. I nie będziesz próbował żadnego szantażu.

Jacek przyłożył prawą dłoń w okolice klatki piersiowej, jakby sprawdzając, czy znajdujący się tam mięsień wciąż działa prawidłowo.

– Łamiesz mi serce. Ale niech ci będzie, obiecuję.

Stefan Kolanko siedział w biurze Zarzyckiego z bardzo pewną siebie miną. Tak bardzo pewną, jak mina gospodarza tego miejsca. Ale Kolanko był przekonany, że dobry humor właściciela agencji nieruchomości zaraz się ulotni.

– W jakiej sprawie chciał pan ze mną rozmawiać? – spytał Zarzycki.

– W sprawie mojego domu.

– Z tego, co pamiętam, za dziesięć dni ma się pan stamtąd wyprowadzić.

– Ja właśnie w tej kwestii.

– No chyba pan się nie rozmyślił? Przypominam, że dałem panu zadatek i w razie czego będzie pan musiał zapłacić dwa razy większą kwotę.

– Panie Zarzycki, nie czarujmy się.

– Nie rozumiem – właściciel agencji wyglądał na naprawdę zdziwionego.

– Przecież pan wie, że w tym domu jest ukryty skarb starego Rosencwajga. Ja w razie czego zapłacę tę karę, bo i tak wiele zyskam. A skarb i tak znajdę. Najwyżej rozbiorę cały dom po kawałku.

– Rozumiem więc, że nie ma pan zamiaru się stamtąd wyprowadzać? – Zarzycki z trudem powstrzymywał wściekłość.

– Nie. I mam dla pana propozycję nie do odrzucenia. Dam panu jedną czwartą z tych znaczków – Kolanko zawiesił głos, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywiera propozycja na jego rozmówcy.

– W zamian za co?

– W zamian za wskazanie miejsca ukrycia. O ile pan je oczywiście zna.

Zarzycki nie zdążył odpowiedzieć Kolance, bo do pokoju zajrzała jego sekretarka.

– Szefie, można na chwilę? To bardzo pilne. Dzwoni ten Paprocki w sprawie willi Kohna.

Zarzycki przez chwilę walczył ze sobą. Z jednej strony wyglądało na to, że chce się błyskawicznie pozbyć gościa, a z drugiej strony musiał jak najszybciej wyjść. Poza tym na jego biurku było coś, czego teoretycznie nie powinien zobaczyć właściciel willi przy Podgórskiej. Dlatego zanim wyszedł, przesunął leżącą na wierzchu gazetę.

Kolanko dostrzegł jednak ten gest. Gdy tylko gospodarz zniknął za drzwiami, błyskawicznie znalazł się przy jego biurku i zajrzał pod gazetę. Pod nią leżał plan techniczny budynku. W prawym dolnym rogu był adres: „Podgórska 13”. Lecz nie sam adres był tu najciekawszy. Dużo bardziej interesujący był czerwony krzyżyk postawiony w miejscu jednej ze ścian. Kolanko, z wykształcenia inżynier, od razu poznał, co to za miejsce.

Szybko zakrył plan gazetą i usiadł na krześle dla interesantów. W ostatniej chwili, bo zaraz potem Zarzycki ponownie znalazł się w swoim gabinecie.

– No to jak będzie?

– Nijak – warknął wściekły Zarzycki. – Nie mam pojęcia o żadnym skarbie, więc nie mogę panu pomóc. W ogóle teraz nie mam czasu, muszę się zająć inną ważną transakcją. A następnego dnia po terminie ustalonej przeprowadzki przysyłam do pana komornika.

Tak, ta kelnerka z Szypułki wprost nie mogła od niego oderwać wzroku. Wprawdzie ani razu nie spojrzała w jego stronę, ale Błażej wiedział, że to tylko sprytny kamuflaż. W lokalu było wystarczająco dużo szyb i luster, by móc obserwować Młodego Boga Seksu w ten sposób. I ona to robiła, Sakowicz junior nie mógł mieć co do tego nawet cienia wątpliwości. Atmosfera gęstniała i była coraz bardziej napięta. Błażej był pewien, że jeszcze chwila i w lokalu może dojść do naprawdę gorszących scen. Dlatego pojawienie się Przypadka powitał z pewną ulgą.

– Dobrze, że przyszedłeś – mecenas posłał w stronę dziewczyny jedno ze swoich najbardziej namiętnych spojrzeń. – Ta kelnerka miała mnie już ochotę zaciągnąć na zaplecze i obawiam się, że nie oparłbym się jej. Zresztą, raczej by tyle nie czekała i moglibyśmy pozbijać naczynia z naszego stolika.

– Na szczęście zdążyłem.

– Na szczęście. Ale co to za pilna sprawa? – Błażej wciąż nie spuszczał wzroku z kelnerki.

– Mój kolejny klient.

– A więc jednak się zdecydowałeś? – Sakowicz dopiero teraz spojrzał na przyjaciela. – To gratuluję. Zacznę cię zaraz polecać swoim klientom, możesz na mnie liczyć.

– Na razie się z tym trochę wstrzymaj, muszę rozwiązać tę sprawę.

– Dasz sobie radę. Mogę ci w czymś pomóc?

– Tak. Mój klient dostał list z kancelarii w Stanach Zjednoczonych – wyjął z zanadrza kopertę, którą otrzymał od Kolanki i położył ją przed Błażem. – Chcę się o niej czegoś dowiedzieć.

– Czegoś konkretnego?

– Nie, cokolwiek ci się uda. Zakładam, że nie mają w Polsce przedstawicielstwa, bo wtedy korespondowaliby przez miejscowe biuro.

– Dobra – Błażej schował kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Mam znajomego, który czasem jeździ do Bostonu do kancelarii-matki. Powinien coś wiedzieć. A to pilne?

– Wystarczy, jak dowiesz się w ciągu kilku dni.

– Nie spiesz się z rozwiązaniem tej sprawy?

– Nie przepadam za facetami, którzy chcą mnie wyrolować.

Trzy krótkie dzwonki przeszyły ciszę w willi należącej niegdyś do szanowanego przedsiębiorcy z branży tekstylnej, Szymona Kohna. Pani Paprocka próbowała je zignorować, ale jej mąż siedział w tej chwili ze słuchawkami na uszach i przeglądał katalogi deweloperów. Mogła w niego wprawdzie rzucić butem, żeby przerwał tę czynność i poszedł sprawdzić, kto dzwoni, ale nawet ten sygnał wymagałby potem choć jednego zdania wytłumaczenia. A od dwóch dni, kiedy odwiedził ich ten Zarzycki, nie odezwała się do niego nawet jednym słowem. Dlatego teraz po prostu wstała i zignorowała pytające spojrzenie męża, który na nią zerknął.

– Baby... Im to dogodzić – mruknął pod nosem Paprocki, kiedy jego żona wyszła z salonu.

Przed bramą stał listonosz. Pani Paprocka domyśliła się, że musi mieć jakiś polecony list, bo inaczej wrzuciłby korespon-

dencje do skrzynki. A ponieważ jej mąż czekał właśnie na jakieś ważne pismo, pomyślała, że to znakomita okazja, żeby je odebrać, a następnie wrzucić do kosza na śmieci.

Przywitała się z uśmiechem z listonoszem, powiedziała, że męża nie ma w domu i pokwitowała odbiór poleconego listu z Ameryki. Spojrzała na nadawcę. Jakaś kancelaria prawnicza z Bostonu.

„Co on może mieć z nimi wspólnego? Czyżby się znowu wdał w jakieś głupie interesy? Z nim nigdy nic nie wiadomo. Pracować mu się nie chce, tylko chciałby ciągle mieć skądś pieniądze. Lepiej przeczytam, zanim wyrzucę”.

Nerwowymi ruchami rozerwała kopertę i szybko przebiegła oczami treść listu. Z każdym czytany słowem jej oczy robiły się coraz szersze i coraz bardziej wściekle.

– Ty idioto – wymamrotała, kiedy zakończyła lekturę. – No dobrze, czas zakończyć milczenie i powiedzieć ci to prosto w twarz.

Wparowała do salonu i stanęła demonstracyjnie przed mężem ze wściekłą miną. Paprocki zdjął słuchawki i spojrzał na żonę lekko przestraszony.

– Ciągłe jesteś zła, że sprzedałem naszą willę?

– Zła?! Dlaczego?! Przecież to nie jest mój rodzinny dom!

– Kochanie, taka okazja się mogła nie powtórzyć. On nam dał dwa razy tyle, ile ten dom jest wart.

– I co z tego?

– Kupimy sobie za to apartament, resztę zainwestujemy w coś bezpiecznego i nie będziemy musieli pracować do końca życia.

– Do tej pory też się w życiu specjalnie nie napracowałeś. Wszystko ci podawał na talerzu ten twój partyjny tatuś. Może dlatego jesteś idiotą, który przepuścił interes życia – cisnęła w męża kulką pomiętego listu. – Czytaj!

Paprocki powoli rozprostował pomiętą kartkę, wczytując się przy okazji w jej treść.

– O cholera... Ale nie rozumiem, dlaczego masz do mnie pretensje? Skąd ja mogłem o tym wiedzieć?

– Skąd, idioto?! Stąd, że facet chce ci zapłacić za dom dwa razy więcej, niż jest on wart.

– Przecież kupował go na zlecenie dyplomaty.

– Akurat potrzebna dyplomacie taka willa w Łodzi. Dyplomaci to mieszkają w Warszawie. U nas co najwyżej jacyś honorowi konsule, których na pewno na coś takiego nie stać!

– No... Ty myślisz, że on o tym wiedział?

– To przecież oczywiste. Tylko w tym przypadku ten zakup mu się opłacał. Te znaczki są warte kilka razy tyle, ile ma ci zapłacić za tę całą willę.

Jak to możliwe?! Przecież ten cholerny czerwony krzyżyk znajdował się dokładnie w tym miejscu. Nie mógł mieć co do tego najmniejszych wątpliwości!

Ale tu nic nie było! Przebił się przez ścianę do sąsiedniego pomieszczenia. Na dodatek cudem ominął płataninę kabli pochodzącą chyba z jakiegoś przedwojennego systemu alarmowego. To dodatkowo pobudziło jego wyobraźnię. Bo przecież jeśli był taki system, to w tym domu musiało być coś do chronienia. Może gdzieś blisko tych kabli. Dlatego tu były.

A może ten Zarzycki nie ma racji? Może w tym domu już dawno nic nie ma? Było, owszem, ale zostało gdzieś przeniesione i ukradzione?

A jeśli jednak coś tu jest?! Straci największą szansę w swoim życiu, żeby wyjechać na słoneczną plażę nad ciepłym morzem, gdzie razem z gorącą dziewczyną może przeżyć jeszcze gorętsze chwile? Wprawdzie przekroczył już sześćdziesiątkę, ale gdyby miał tych kilka milionów dolarów, jego męskość nabrałaby nowych walorów.

Dlatego musi szukać!

Miał świetną fotograficzną pamięć i bez trudu przypominał sobie widziane plany. Przejrzał je szybko w głowie i... No tak, przecież jego willa ma symetryczną budowę! Po prostu źle spojrział i powinien szukać w dokładnie przeciwnym miejscu!

Chwycił narzędzia i pobiegł na drugą stronę domu. Zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, ktoś zadzwonił do drzwi. Kolanko wyjrzał przez okno i mruknął niezadowolony:

– Znów ten utrapiony detektyw. Nie dość, że nic pewnie nie odkrył, to jeszcze głowę człowiekowi zawraca.

Kolanko niechętnie nacisnął otwieranie furtki, a potem uchylił drzwi. Po chwili wbiegł do środka Przypadek i zaczął wykonywać serię rozciągających ćwiczeń.

– No, widzę, że pan przystąpił do generalnych porządków. Słusznie, za tydzień pan się wyprowadza, trzeba posprzątać.

– Ma pan jeszcze jakiś dowcip w zanadrzu? A może pan wreszcie zrobił coś w mojej sprawie i wie, gdzie jest ten cholerny skarb?!

– Nie, na razie przybiegłem sprawdzić, czy słusznie przypuszczałem, że ludzie są banalnie przewidywalni. Jak rozumiem, odwiedził pan Zarzyckiego i przypadkiem zobaczył, gdzie jest ukryty skarb?

– Skąd pan to wie?! – Kolance wypadł z ręki młotek i uderzył go w duży palec prawej stopy. – Auuuu! Skoro pan wie te wszystkie rzeczy, to dlaczego pan jeszcze nie wie, gdzie jest skarb?! A może pan jest z nim w zмовіе?

– Rozgryzł mnie pan. Zresztą tworzymy większy gang, na którego czele stoi pani Irmina.

– Pana to bawi?!

– Bawi mnie pańska naiwność. Ktoś umawia się z panem na spotkanie i przypadkiem ma na biurku plany pańskiego domu z zaznaczonym miejscem skarbu. Naprawdę nie wydaje się to panu zabawne?

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Że facet bawi się z panem w kotka i myszkę i ewidentnie usiłuje pana skierować na fałszywy trop.

– Po co?

– Gdybym to wiedział, to pewnie wiedziałbym, gdzie jest pański skarb. Zresztą, mam co do tego pewne podejrzenia.

– Jakie?! – krzyknął z rozpaczą Kolanko, ale Przypadek zignorował jego pytanie.

– Mógłby mi pan pokazać umowę sprzedaży tej willi?

– Mógłbym – Kolanko zaczął przedzierać się przez zwalę gruzu w stronę szafy. – A po co to panu?

– Chcę sprawdzić, czy tam nie ma jakiegoś śladu skarbu.

– Co?! Najpierw pan chce szukać w Bostonie, teraz w umowie? Czy pan jest przy zdrowych zmysłach?!

– Zapewniam pana, że w tej chwili bardziej niż pan.

– No wie pan?! – uniósł się Kolanko, lecz po chwili chłodno oświadczył. – Nie wiem, gdzie ją położyłem. Proszę wpaść jutro, bo teraz jestem trochę zajęty.

– Racja, proszę sobie nie przerywać. Nie ma nic przyjemniejszego, jak doprowadzanie do ruiny własnego domu.

Pływanie synchroniczne to sport może niezbyt pasjonujący, choć z pewnością miły dla oka. Trudno też nie podziwiać wieloletniego trudu zawodniczek i zawodników podporządkowanych jednemu celowi. Czyli temu, żeby każdy ich ruch był identyczny jak ruch partnera, wykonany w tej samej sekundzie z podobną siłą i kierunkiem. Do czegoś takiego można dojść tylko w wyniku długiego i żmudnego treningu, wspólnych godzin spędzanych w basenie.

Ale w każdym ze sportów są samorodne talenty. Niewątpliwie można było do nich zaliczyć panów Sakowiczów, Jędrzeja i Błażeja. Spoglądanie na nich sprawiało sporo przyjemności całemu personelowi zatrudnionemu w ich kancelarii. Nikt nie

był przy tym w stanie zrozumieć, jak to możliwe, że wychodzili ze swoich pokoi w tym samym ułamku sekundy, podchodzili w tym samym tempie do dwóch stojących obok siebie kopiarek. W tym samym momencie odstawiali filiżanki z kawą na stoliczek, wkładali kartki do skopiowania i naciskali guzik startu. I znów, jakby na znak dany przez batutę niewidzialnego dyrygenta, chwyтали filiżanki z kawą i upijali mały łyk.

Sekretarka, pani Dorota, która ich zawsze obserwowała przy tej czynności, była ciekawa, co by się stało, gdyby jedna z kopiarek nagle się zepsuła i któryś z panów Sakowiczów musiał wykonać jakiś odmienny gest. Czy ten drugi, w ramach solidarności, także zacząłby próbować naprawiać kopiarkę? A może sama kopiarka, aby nie zaburzać świętego porządku rzeczy, popsułaby się w ramach solidarności z koleżanką?

Nic takiego nigdy jednak nie nastąpiło i sekretarka wciąż mogła obserwować ten absolutnie synchroniczny balet dwóch panów mecenasów, któremu szczególnego uroku dodawał czasem jakiś dialog. Taki na przykład jak ten dzisiaj.

– O której można się ciebie spodziewać w domu?

– To będzie zależało od tego, jak szybko zmęczą się moje partnerki.

– Partnerki? Jakie partnerki?

– Do tańca. Nic na to nie poradzę, że nie chcą mnie puścić z parkietu. I tak dobrze, że jakoś udaje mi się dotrzeć do domu.

– Jestem niezwykle rad, że czasem ci się jeszcze to udaje – zauważył cierpko Sakowicz senior. – Wolałbym jednak, żeby to następowała przed trzecią rano, bo zwykle nas wtedy budzisz.

– Tato, nie przy pracownikach.

– Jeśli pewne rzeczy do ciebie nie docierają, muszę cię zawstydzić przy obcych.

Kopiarki zakończyły pracę i teraz mogły oddać panom Sakowiczom efekty w postaci powielonych stron. Dzięki temu obaj panowie, w identycznym oczywiście tempie, mogli je złożyć,

spiąć spinaczem, chwycić kubki z kawą i wrócić do gabinetów, kończąc swój balet.

Błażej ledwo zdążył odłożyć niesione przedmioty na biurko, gdy zadzwonił jego telefon. Usiadł jeszcze wygodnie w fotelu, wziął do ręki papiery i, nie przerywając ich lektury, spokojnie odebrał.

– Cześć, Jacuś... Tak, znajomy sprawdził tę kancelarię w Bostonie... To teraz wygodnie usiądź, bo możesz nie uwierzyć w to, co ci powiem.

Sztuka Trzynaste krzesło była naprawdę świetna, a co najdziwniejsze, napisana przez polskiego autora. Przypadek podejrzewał nawet dotąd, że współcześni polscy dramaturdzy nie piszą już tak zabawnych rzeczy, tylko wciąż tropią własne Ja oraz ciągle przeżywają nieludzkie traumy, które nie są w stanie zainteresować nikogo poza nimi samymi oraz grupką najbliższych znajomych. Dlatego od dość dawna nie odważył się iść na żadną polską sztukę. A gdy już przeczytał w recenzji, że „jest obrazoburcza i łamie tabu”, wiedział bez cienia wątpliwości, że w trakcie jej oglądania będzie wiać nudą, a jedyną atrakcją mogą w niej być tylko nagie tyłki płci obojga. Cieszył się przy tym, że wciąż jest na naszych scenach wystawiana solidna współczesna dramaturgia anglosaska, bo inaczej musiałby omijać wszystkie teatry szerokim łukiem.

A tymczasem w czwartkowy wieczór czekała na Jacka i Marzenę miła niespodzianka, świetnie skonstruowana i z naprawdę śmiesznymi dialogami. Jednak była pewna rzecz, która wciąż nie pozwalała im skupić się na zabawie. Pierwsza dała temu wyraz aplikantka.

– Przepraszam, nie masz wrażenia, że jesteśmy obserwowani?

– Nie mam takiego wrażenia – zaprzeczył zgodnie z prawdą Przypadek. – Ja to po prostu wiem.

- Żartujesz?
- Absolutnie nie. Od jakiegoś czasu bardzo intensywnie interesuje się mną pewna osoba.
- Czy to ta szatynka tam pod szatnią? – wskazała dyskretnie głową Marzena, ale Jacek nawet nie musiał tam patrzeć.
- Tak.
- A czego ona od ciebie chce?
- Liczy na drugą randkę.
- Czasem przecież chodzisz na drugie randki.
- Ale w tej chwili mam narzeczoną – Przypadek spojrzał z oburzeniem na Marzenę.
- Od czasu... – Marzena szukała przez chwilę odpowiedniego określenia – odejścia Basi, tylko bawisz się kobietami.
- Nieprawda. Chcę się z nimi zaprzyjaźnić.
- To po co czasem dajesz im nadzieję na coś więcej?
- Przecież sama kiedyś wkładałaś mi w głowę, że nie powinienem nikogo od razu skreślać, tylko dlatego, że nie jest Basią. Dlatego na początku daję im szansę. A jeśli jej nie wykorzystają, to nie moja wina.
- Ty i te twoje szansy. Wiesz chociaż, kim ona jest?
- Oczywiście, nigdy nie zapraszam do siebie nieznajomych kobiet. Ta na przykład jest dziennikarką śledczą – urwał i zamyślił się.
- No, to przynajmniej masz pewność, że nie liczy na twoje korporacyjne koneksje. Coś się stało?
- Nie, ale uświadomiłem sobie ważną rzecz.
- Jaką?
- Odezwał się dzwonek oznajmiający koniec przerwy.
- Później ci powiem. Teraz chodź na drugi akt.
- Dobrze. Ale obejmij mnie... No co się tak patrzysz? W końcu jestem twoją narzeczoną. A przynajmniej chcesz, żeby ona tak myślała.

Zarzycki był człowiekiem bardzo praktycznym, który lubił łączyć przyjemne z pożytecznym. Dlatego na kochankę wybrał swoją sekretarkę, co pozwalało optymalizować czas, który każdy dorosły człowiek winien przeznaczyć na związek z innym dorosłym człowiekiem. Dzięki temu również godziny spędzane w biurze nie były tak przeraźliwie nudne. Zaś po pracy mógł liczyć na sporo wolnych wieczorów, których program ustalał w dowolny sposób. Jego sekretarka, po dniu spędzonym wspólnie w firmie, nie nalegała tak mocno na spotkania poza nią.

Korzyści, które Zarzycki czerpał z tego układu, były nie tylko natury osobistej. Związek z nią pozwalał też agentowi nieruchomości na spokojniejsze prowadzenie swoich zagmatwanych nieraz interesów. Na stanowisku swojej asystentki potrzebował bowiem kogoś zaufanego, kto zachowa milczenie nie tylko ze względu na płaconą mu pensję.

To nie oznaczało, że nie miał przed nią tajemnic. Nie oznaczało również, że, przy braku lepszych perspektyw, nie spędzał z nią także czasu poza pracą. Właśnie w tej chwili ich wspólny wieczór zbliżał się do końca i zadowolony Zarzycki zapinał swoją koszulę. Uśmiechnął się też do sekretarki i sięgając po krawat, rzucił:

- Założę się, że Paprocki już rozkuwa ściany w swojej willi.
- Pewnie tak – potwierdziła smutno sekretarka.
- Nie cieszysz się? Im mocniej to rozwalą, tym dla nas lepiej. Będziemy mieli mniej kłopotu.
- Szkoda mi trochę tych starych willi. Są takie ładne.
- To nie my je rozwalamy – Zarzycki zawiązał krawat i sięgnął po marynarkę.
- Ale przez nas rozwalają je oni. Może dałoby się jakoś inaczej.
- Przestań. Im bardziej się nakręca, tym szybciej skarb wpadnie w nasze ręce. Inaczej trwałoby to strasznie długo i wymagało dużo więcej zachodu. No i byłoby też dużo ryzykowniejsze – nachylił się i pocałował sekretarkę w policzek. – Jutro odwiedzę Kolankę, żeby sprawdzić, jak mu idą prace remontowe.

Przypadkowi w pewien sposób pochlebiał fakt, że jest śledzony. Ale z faktu, że mu to pochlebiało, nie można było wyciągać wniosku, że był z tego zadowolony. Dlatego gdy skrzył za róg ulicy, stanął na chwilę oparty o ścianę. Nie minęło dziesięć sekund, kiedy tuż obok znalazła się Ania. W pierwszej chwili chciała udać, że go nie zauważa, ale on uśmiechał się do niej. Jedyne, co mogła zagrać w tej sytuacji, to zaskoczenie.

– Ooo, to ty. Cześć. Co u ciebie słysząc?

– Cześć – Jacek przypatrywał się jej ironicznie, nie mając zamiaru odpowiadać na jej pytanie. Nie przez brak taktu. Po prostu kto jak kto, ale osoba, która od dłuższego czasu nie spuszcza go z oka, powinna sama najlepiej wiedzieć, co u niego słysząc.

– Chciałeś coś ode mnie?

– Tylko zapytać, jak ci się podobało wczorajsze przedstawienie?

Ania w pierwszym odruchu miała ochotę zaprzeczyć, ale już po chwili zrozumiała, że to nie ma sensu. Dlatego uśmiechnęła się i odpowiedziała ze spokojem.

– Świetnie napisane. Bardzo zabawne. Szczególnie drugi akt.

– Zauważyłaś? A wydawało mi się, że nie patrzysz na scenę.

– Czyżbyś mnie cały czas obserwował?

– Tylko czułem na sobie twój wzrok.

– Wydawało ci się. Patrzyłam wyłącznie na twoją udawaną narzeczoną.

– Nie możesz mieć do mnie o nią pretensji. Sama nie chciałaś drugiego spotkania.

– Ale potem pomyślałam, że to błąd.

– I dlatego mnie śledziłaś?

– Chciałam cię lepiej poznać.

– A ja bym chciał lepiej poznać faceta o nazwisku Zarzycki. Ma agencję nieruchomości. Pomożesz mi?

– To teraz już wiem, czemu mnie zdemaskowałeś – uśmiechnęła się triumfalnie, a Jacek przez grzeczność nie zaprzeczył.

– Zobaczę, co da się zrobić.

- Będę wdzięczny. To do zobaczenia.
- Gdzie?
- Znasz mój rozkład dnia. Na pewno mnie znajdziesz.

„Gdzie ja jestem? I kim ja jestem? I co to w ogóle jest za miejsce? Boże, tu chyba zdarzyło się jakieś straszne nieszczęście. Może wojna? Tak, to pewnie wojna. Jakaś bomba spadła z nieba z góry i rozwalila to wszystko. Ale nie. Teraz chyba nie ma wojny. Przynajmniej w »Faktach« nic o tym nie mówili. Ale ta bomba mogła tu zostać od czasów wojny. Przyczaić się, ukryć i teraz eksplodować. Tak, wszystko wokół wygląda jak po wybuchu bomby. Tak, to pewnie dlatego jest tyle dziur w tych ścianach. Właściwie jakich ścianach? Tu są same dziury i nic więcej. I ten pył. Straszliwy pył, który gryzie w oczy, wdiera się do płuc, nie pozwala oddychać. Boże, jak ja mam sucho w ustach. Muszę się za chwilę napić wody. Już, natychmiast! Dlaczego się nie mogę poruszyć? Pewnie coś mnie przygniotło. Tak, któraś ściana, którą rozwalila ta bomba, musiała przewrócić się na mnie. Na pewno dlatego nie mogę ruszyć nogami... A ręce? Ręce chyba mam sprawne. Może uda mi się gdzieś doczołgać...”

Kolanko przekręcił się na brzuch i zaczął czołgać w stronę kuchni. Nie było to łatwe zadanie, bo na podłodze było mnóstwo naturalnych przeszkód, kawałków ścian, jakiegoś metalu, desek. Ale powoli, konsekwentnie udało mu się doczołgać do kuchni. Tylko jak weźmie sobie coś do picia? Kran za wysoko, na dole lodówki jest zamrażarka, tam nic nie ma, a wyżej nie sięgnie...

Butelka na wodę do kwiatków! Tak, stoi na podłodze, na pewno zaraz uda mu się do niej dotrzeć. Jest coraz bliżej, już wyciąga rękę. Lecz nagle jego dłoń zostaje przygnieciona ciężkim butem podbitym metalową płytką. Ten but wygląda na but oficera. Tak, jego rękę zdecydowanie przygniatają oficerki. I to niemieckie oficerki.

Więc może jednak wybuchła ta wojna?

Kolanko uniósł wzrok. Nad nim stał oficer w ciemnym mundurze gestapowca i uśmiechał się sadystycznie. Zdjął wprawdzie swojego ciężkiego buciora z dłoni Kolanki, ale tylko po to, żeby kopnąć nim butelkę z wodą. Ta przewróciła się, a życiodajny płyn zaczął wypływać na podłogę. Kolanko szarpnął się, żeby tylko dostać językiem do choć jednej kropli. Ale na przeszkodzie ponownie stanął but gestapowca.

– No i co teraz, Herr Kolanko? – zapytał Niemiec łamaną polszczyzną.

– Pić, muszę pić...

– A znalazł pan już ten skarb, Herr Kolanko?

– Jaki skarb?

– Ten, o którym pan ostatnio bredził.

– Musiał się pan przesłyszeć, panie oficerze. Tu nie ma żadnego skarbu! Daję słowo, nie ma skarbu!

– Wierzę panu, Herr Kolanko. Chociaż właściwie co pan bredzi o jakimś oficerze?

– Daję słowo, panie oficerze. Ja jestem lojalnym obywatelem. Mój ojciec podpisał volkslistę. Ja też mogę podpisać! Tylko niech mi pan da pić!

„Na co ja liczę? Przecież to gestapowiec, oni nie znają litości. Ale... Chyba daje mi wodę. Boże, co za ulga! Odżywam! Ten gestapowiec... ja go skądś znam! To jest przecież Zarzycki!”

– Już panu lepiej, panie Kolanko?

– Tak... chyba tak. Co pan tu robi?

– Przyszedłem sprawdzić, czy jest pan gotowy do wyprawki. Ale pan tu bałaganu narobił.

– Niech pan przestanie ze mną żartować i powie, gdzie jest ten skarb!

– A pan cały czas o jakimś skarbie. Daję słowo honoru, że nie mam o nim najmniejszego pojęcia.

– To proszę się czegoś dowiedzieć, bo inaczej nie sprzedam panu willi! – Kolanko odzyskał władzę w nogach i podniósł się.

– Sprzeda pan. I to za dużo niższą cenę, bo mnie tu czeka poważny remont.

– Proszę stąd natychmiast wyjść!

Przypadek nieco spóźnił się na dzisiejsze spotkanie z Błażem w Szypulce, ale Sakowicza juniora to specjalnie nie martwiło. Czuł, że ma dobry dzień i przyszedł czas na zdecydowane działania. Dlatego nie ma sensu w tej chwili dłużej czekać, aż jakaś niewiasta nie wytrzyma i postanowi go poderwać. Nad wyborem celu nie musiał się zbyt długo zastanawiać. W całej Szypulce w tej chwili tylko jedna kobieta siedziała przy kawie bez towarzystwa. Może nie była do końca w jego typie, ale postanowił nie wybrzydzać.

– Przepraszam, pani tu taka samotna, a ja też wolny – kobieta była w pierwszej chwili zaskoczona, ale zaraz sobie przypomniała opowieść koleżanki o „młodym bogu seksu”, który krążył w tej okolicy. – Może byśmy wyskoczyli na małe co nieco?

– Może na kawę?

– Na dobry początek.

– No więc zacznijmy.

Kobieta chwyciła swoją filiżankę i patrząc Błażejowi prosto w oczy, wylała zawartość filiżanki na jego spodnie. Na szczęście nie było tego zbyt wiele. Mecenas Sakowicz po tym, jak już został przy stoliku sam, zabrał się pracowicie do czyszczenia swojej garderoby. Niech pozostanie jego tajemnicą, dlaczego zaopatrzony był w idealną do tego celu ściereczkę. Gdy podszedł do niego Przypadek, spodnie były już niemal w idealnym stanie.

– Coś się stało? – Jacek pokazał na doczyszczane przez przyjaciela spodnie.

– Zaczepiła mnie taka jedna... Ale nie była w moim typie i nie mogła się z tym pogodzić – stwierdził ze stoickim spokojem Błażej.

– Kobiety... – westchnął refleksyjnie Przypadek. – Ale poza tym wszystko w porządku?

– Chyba się będę musiał wyprowadzić z domu.

– Ojciec?

– Tak. Zazdrości mi powodzenia u kobiet.

– Cały czas jest takim pantoflarzem?

– Dokładnie. A ja nie mam zamiaru się do niego upodabniać.

Poza tym potrzebuję trochę swobody, bo co z tego, że jakąś poderwę, jak i tak nie mam, gdzie jej zabrać... Słuchaj, a może użyczylbyś mi przejściowo tego swojego mieszkania, z którego ci się chwilowo wyniosła ta aktorka?

– Ale tam lada dzień zacznie się remont.

– Przecież nie będą remontować nic w nocy. A mnie to miejsce jest potrzebne tylko o tej porze – uśmiechnął się Błażej, ale nagle mina mu zrzedła. – Uwaga – syknął, dając przyjacielowi znak o nadchodzącym niebezpieczeństwie. – To chyba ta panna.

– Spokojnie. Wszystko jest pod kontrolą. Cześć, Aniu.

– Cześć.

– Szybko ci poszło.

– Myślałam, że ci zależy na czasie.

– Powiedzmy. To co wiesz o tym Zarzyckim? – Ania spojrzała znacząco na Błażeja. – Możesz mówić. To mój przyjaciel. Też bierze udział w tym śledztwie.

– Facet nie ma za dobrej reputacji. Na dodatek ma związek ze znaczkami.

– Z jakimi znaczkami?

– Nie doceniasz mnie. Ja sporo wiem.

– Na początek powiedz, co wiesz o agencji Zarzyckiego. To jakaś szwindlarnia?

– Nie, zwykła agencja, nawet o nie najgorszej renomie, tylko słabych obrotach.

– A te znaczki?

– Znaczki? – Ania rozszerzyła oczy jak mała zdziwiona dziewczynka. – Jakie znaczki?

- Rozumiem, że o znaczkach chcesz pogadać w cztery oczy?
- Chyba nie wymagam zbyt wiele? Przecież zdobyłam błyskawicznie informacje, na których ci zależało.
- Zastanowię się i jak będę potrzebował czegoś więcej, to zadzwonię.
- Jakby on nie był ciekawy, to ja jestem do dyspozycji – włączył się do rozmowy Błażej. – Kiedyś byłem filatelistą. Mam gdzieś jeszcze nawet jakiś klaser.

Podkomisarz Łoś obserwował sylwetkę biegnącego z narastającą złością.

„Znów tu jest. Tylko po co?! – podkręcił swojego wąsa. – Ja nadal nie wiem zupełnie, o co w tym chodzi! Ten Kolanko rujnuje mieszkanie, z którego miał się zaraz wyprowadzić, ten Zarzycki po prostu prowadzi swoje interesy i nie ma w nich nic podejrzanego! A ten tylko biega w kółko i biega! I jeszcze do mnie beczelnie macha. Nie, chyba mi się wydawało, nie mógł mnie zauważyć. Przecież się świetnie kamufluje...”

– Fiu, fiu – gwizdnął z uznaniem Jacek, rozglądając się po artystycznym pobojuwisku w willi Kolanki. – To mi wygląda ewidentnie na trzecią wojnę światową!

– Niech mnie pan jeszcze nie dobija, tylko powie, że wie pan, gdzie w moim domu jest ukryty skarb.

– Jestem coraz bliżej jego znalezienia. W Bostonie już byłem, teraz jest mi jeszcze potrzebna umowa, żeby potwierdzić moje przypuszczenia. Ma pan ją?

– Tak. Jest na biurku

Jacek podszedł do biurka i wziął do ręki kartonową teczkę, na której było napisane „Kancelaria Notarialna”. Przejrzał szybko umowę i uśmiechnął się pod nosem.

– Tak. Teraz już wiem, gdzie jest ten skarb.

– Gdzie?

- To dokładnie może nam pokazać tylko pan Zarzycki.
- Przecież już z nim rozmawiałem, nie chce w ogóle o tym słyszeć.
- Ale ja wiem, jak zmusić go do mówienia.
- Jak?
- Za dwa dni proszę do niego zadzwonić i powiedzieć, że punktualnie się pan stąd wyprowadza.
- A dlaczego za dwa dni?
- Trzeba dać trochę czasu na pracę naszej kochanej policji.
- Policji? O czym pan mówi? A skarb?
- Skarb nie zając, nie ucieknie. Zwłaszcza, że jeszcze trochę pan w tym domu pomieszka.
- Przecież Zarzyckiemu mam powiedzieć, że się wyprowadzam! – tok myślenia Jacka doprowadzał Kolankę do coraz większej rozpacz.
- Ale się pan nie wyprowadzi. Dlatego radziłbym od jutra wziąć się za remont.
- Jeszcze mam się rujnować na remont?!
- Spokojnie. Za remont zapłaci Zarzycki. Za moje honorarium też.
- Nic nie rozumiem. Czy choć raz może pan do mnie przestać mówić zagadkami i powiedzieć, o co panu chodzi?
- Oczywiście. Ale ponieważ nie chciałbym mówić dwa razy tego samego, zaproszę tu jeszcze kogoś.
- Kogo?
- Pewnego policjanta, który od jakiegoś czasu regularnie spaceruje po pana ulicy ze swoim psem.

Sekretarka Zarzyckiego odłożyła słuchawkę telefonu i poczuła, że robi się jej bardzo gorąco. Na jej czoło wystąpiły kropelki potu, które chwilę potem jakby zaczęły zamarzać, bo sekretarkę przeszył nagły chłód. Jej twarz z czerwonej zrobi-

ła się bladoniebieska. Potem lekko zzółkła i ponownie się zaczerwieniła. A później znów wyblakła. Kiedy Zarzycki wszedł do sekretariatu, twarz jego podwładnej była akurat zielonkawa i wydawała się domagać błyskawicznej wizyty w łazience.

– Dobrze się czujesz?

– Dzwonił Kolanko – wypowiedziała matowym głosem wypranym z emocji. – Prosił przekazać, że wyprowadza się punktualnie, i chciał się umówić na przekazanie kluczy.

– Pewnie całkiem zwariował. Jak go odwiedziłem, to chyba wziął mnie za jakiegoś gestapowca i zaczął do mnie mamrotać coś po niemiecku.

– A jeśli on ją chce naprawdę sprzedać?

– Bez obaw. Tam jest taki bajzel, że łatwo się z tego wypłaczemy.

– A może sobie odpuścimy i wycofamy się z tej transakcji polubownie?

– Oszalałaś?! Mam tak po prostu zrezygnować z pieniędzy, które mi się należą?!

– Ale ten detektyw podobno wokół nas węszy. Znajomy z policji wspominał, że pomaga mu jakiś podkomisarz.

– Nie martw się. To wszystko jest tak obmyślane, że nikt nie ma prawa się domyślić. A nawet jak się domyślą, to nie dadzą nam rady udowodnić.

– Ale Kolanko...

– Powiedziałem, nie martw się. W razie czego przekonam go do renegocjacji umowy.

– Jak?

– Zatrudnię prywatnego rzeczoznawcę.

– I Kolanko go posłucha?

– Sile jego argumentów nikt nie jest w stanie się oprzeć.

„Może ten Przypadek nie jest taki zły? W końcu zrozumiał, że jeśli chce rozwiązać sprawę, musi skorzystać z pomocy policji. A nawet twierdził, że bardzo mu pomogłem i naprowadziłem na właściwy trop. Ciekawe jak? A właściwie to nieważne. Grunt, że to moja zasługa”.

Do pokoju wpadł zdyszany Smańko.

– Panie komisarzu, sprawdziłem to, o co pan prosił – wyrzucił z siebie z szybkością karabinu maszynowego, a Łoś aż podskoczył na krześle.

– No i jak, Smańko?

– Przynajmniej w dwóch wypadkach zgadza się co do joty.

– No to świetnie. Wiecie, jaki jest telefon do tego naszego rzeczownika prasowego?

– Tak, gdzieś mam zapisany – aspirant sięgnął do szuflady biurka. – A po co panu?

– No... może nie będziemy mieli wyjścia i będziemy musieli pochwalić się wykryciem dużej sprawy.

– Ale to nie my – zdziwił się starszy aspirant. – To ten Przypadek.

– Jaki Przypadek? Co wy opowiadacie, Smańko?

– No bo... – stropił się młody policjant.

– Bo zaraz jednak pomyślę, że to wy roznosiliście te okropne plotki o tym, że on rozwiązał sprawę kradzieży tych obrazów.

– Ależ skąd, to przecież oczywiste, że to pana zasługa! – starszy aspirant powrócił do jedynie słusznej linii.

– No właśnie. A w sprawie tej „afery willowej” udział tego Przypadka sprowadza się jedynie do spełnienia swojego obywatelskiego obowiązku, kiedy przypadkiem, podkreślam, przypadkiem, wpadł na mały, lokalny trop. A to afera ogólnokrajowa, którą ja wykryłem.

– No oczywiście, panie komisarzu. Ja nie miałem nic złego na myśli, mówiąc o jego pomocy.

– No... – mruknął udobruchany Łoś. – Zresztą, jeśli chodzi o pomoc, to nawet z tą lokalną sprawą nie poradziłby sobie bez mojej... to znaczy naszej pomocy. Rozumiecie?

– Oczywiście, panie komisarzu – wyprężył się służbiście Smańko. – I jestem pewien, że jak o wszystkim dowie się dokładnie inspektor Zasada, to nie ominie pana awans.

– Tak sądzicie, Smańko? – Łoś był już nie tylko udobruchany, ale powoli wniebowstępował. – No... gdyby do tego miało dojść, to oczywiście nie zapomnę wspomnieć i o waszym skromnym udziale. Może i wam coś z tego skapnie?

Kolanko aż podskoczył, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Spodziewał się go, bo przecież właśnie w tej chwili miał przyjść Zarzycki, ale jednak się przestraszył. Nie do końca podobało mu się to, co wymyślił Przypadek. Ten Zarzycki wyglądał mu na zwykłego gangstera.

– Dzień dobry panu – podał dłoń gościowi, a następnie gestem ręki zaprosił go do środka. – Byłem zdziwiony, że pan chciał się ze mną spotkać. Dopiero rozpoczynam pakowanie.

– Pomyślałem, że niepotrzebnie pana tak ostro ostatnio potraktowałem. Pan, zdaje się, powziął jakieś niewłaściwe przekonanie, że ja chcę pana oszukać, czy też coś w tym stylu.

– Niech pan o tym zapomni. Wydawało mi się.

– Nie, nie, nie mogę tak tego zostawić. Dla mnie jest bardzo ważna opinia mojej firmy. – Nikt, kto w tej chwili spojrzał na Zarzyckiego, nie miał prawa mieć cienia wątpliwości, że ma do czynienia z chodzącą biznesową uczciwością. – Dlatego postanowiłem, że zgodzę się na odstąpienie od tej transakcji, a pan mi tylko zwróci równowartość tego zadatku. Nie będę ubiegał się o żadną karę.

– Ależ ja nie chcę rezygnować z tej transakcji. Cena przez pana zaoferowana jest świetna, więc przy niej pozostaję.

– Ale... – właściciel agencji nieruchomości przez chwilę szukał odpowiednich słów. – Ale ja się rozmyśliłem. Ten dom mnie przestał interesować – rozejrzał się po wnętrzu, które nadal nie przypominało domu statecznego wdowca sprzed zaledwie kilku miesięcy. – Zwłaszcza w stanie, do jakiego pan doprowadził... No chyba, że za jedną dziesiątą ceny!

– Mam świetną ekipę. Za trzy dni ten dom będzie jak nowy – odparł z niewzruszoną miną Kolanko.

„Ten Przypadek to jednak spryciarz, jak on to wszystko przewidział? Wprawdzie mówił, że ludzie są banalnie przewidywalni, ale żeby tak znać każde słowo tego Zarzyckiego? Bamber miała rację. To geniusz. Chociaż strasznie wkurzający”.

– Więc nie zwróci mi pan zadatku?

– Przykro mi, skoro pan się wycofuje z umowy, zadatek zostaje u mnie.

– Ja tego tak nie zostawię – Zarzycki nie był już w stanie utrzymać nerwów na wodzy. Ale trudno się dziwić, dwieście tysięcy to poważny pieniądź. – Niech pan mnie nie próbuje wystawić do wiatru.

– Pan mi grozi?

– Spodziewałem się, że może mieć pan obiekcje – otworzył teczkę i wyjął stamtąd plik kartek. – Dlatego przygotowałem odpowiednią umowę, na podstawie której obydwaj rezygnujemy z transakcji. Pan zwraca mi zadatek i nie mamy do siebie pretensji.

– Chyba powinniśmy podpisać to u notariusza?

– Nie bądźmy formalistami.

– A jeśli się nie zgodzę?

Zarzycki sięgnął do teczki i tym razem wyciągnął stamtąd coś, co wyglądało jak kolba pistoletu.

– Na tę okoliczność pozwoliłem sobie zaprosić prywatnego rzeczoznawcę dużego kalibru. Dlatego nie radzę robić żadnych numerów.

– Za to ja panu radzę, żeby pan się nie ruszał – zza szafy wysunął się wąsaty mężczyzna z bronią wyciągniętą w stronę Zarzyckiego. – Jestem Łoś. Podkomisarz Łoś.

Łoś... Podkomisarz Łoś nigdy nie podejrzewał, że kiedyś dożyje chwili, kiedy w blasku fleszy będzie mógł odpowiadać na pytania dziennikarzy. Oczywiście, w głębi duszy marzył, że stanie się bohaterem mediów, ale były to tak skryte pragnienia, że nigdy się nimi z nikim nie podzielił. A teraz siedzi w sali konferencyjnej Komendy Głównej i jest bohaterem dnia! Wprawdzie na razie na pytania odpowiada rzecznik, ale zaraz przyjdzie jego kolej.

- Jak państwo wpadliście na trop tego przestępstwa?
- To na razie, dla dobra śledztwa, musi pozostać tajemnicą.
- Podobno pomógł panom jakiś prywatny detektyw – zapytała dziennikarka siedząca w pierwszym rzędzie. Jak ona miała na imię? Chyba Malwina.

Podkomisarz poruszył się niespokojnie na krześle. Rzecznik prowadzący konferencję spojrzał się na niego pytająco, ale nie był w stanie wyczytać z jego twarzy. Dlatego mógł odpowiedzieć na pytanie tylko w jeden sposób:

- Nie mogę skomentować tej informacji.
- To może powie pan, na czym polegało przestępstwo?
- To już wyjaśni państwu pan podkomisarz Łoś, który się tą sprawą zajmował.

Rzecznik wskazał ręką na podkomisarza Łosia. Ten odchrząknął i zerknął na kartkę, którą przygotował sobie na tę okazję.

– Podejrzany najpierw proponował właścicielom wybranych nieruchomości za ich domy kwotę znacznie wyższą od rynkowej. Płacił wysoki zadatek, a potem w różny sposób podsuwał właścicielom wiadomość o tym, że na terenie ich posesji jest ukryty skarb, zwykle znaczki i monety.

- Jak to robił?
- Najczęściej korzystał z fikcyjnej amerykańskiej kancelarii. Kiedy ludzie już wierzyli, że mają u siebie skarb, to usiłowali go znaleźć, rujnując przy okazji własne domy.
- A kiedy nie znajdowali skarbu, to co?

– Zwykle wycofywali się z transakcji, bo cały czas wierzyli, że odbiją to sobie, kiedy znajdą skarb.

– A ci, którzy się nie chcieli wycofać?

– W umowie był zapis, który nakazywał oddawać dom w niepogorszonym stanie. A ponieważ wszyscy szukali do ostatniej chwili skarbu, nie byli w stanie wywiązać się z tego punktu. Podejrzany w zgodzie z prawem mógł w obydwu przypadkach żądać zwrotu podwójnego zadatku.

– O co chodzi z tym zadatkiem?

– Proszę zajrzeć do przepisów – Łoś spojrział z wyższością na dziennikarkę, a następnie wydekłamował tekst z kartki. – Kiedy sprzedający wycofuje się z transakcji sprzedania nieruchomości, a dostał wcześniej zadatek, musi kupującemu oddać podwójny zadatek. Czyli przykładowo, jeśli zadatek wynosił dwieście tysięcy, to Zarzycki po wycofaniu się właścicieli domów odzyskiwał te swoje dwieście tysięcy i drugie dwieście miał czystego zysku.

– A dlaczego tak długo pozostawał nieuchwytny?

– Był bardzo ostrożny. Działał w całej Polsce, dbając o to, by nie robić w jednym mieście więcej niż jedną tego typu transakcję rocznie. No bo jednak komuś się mogło wypsnąć coś i sprawa by się wydała. Na szczęście teraz większość z tych ludzi odzyska pieniądze, bo prokuratura już zajęła jego majątek.

– A ile takich numerów wykręcił?

– Dwanaście razy mu się udało. Przy trzynastej transakcji go nakryliśmy, uniemożliwiając równocześnie dokończenie transakcji numer czternaście.

Krucze ciasteczka pani Irminy nie traciły nic ze swoich walorów smakowych nawet przez kilka dni od ich upieczenia. Dlatego Jacek konsumował jedno za drugim, korzystając z tego, że niezwykła przemiana materii odziedziczona po przodkach pozwala mu to robić zupełnie bezkarnie.

– Ale to spryciarz, ten Zarzycki – pani Irmina dołała Jackowi herbaty. – Ale jak on na to wpadł, bezwarunkowo?

– W końcu handluje nieruchomościami. Dlatego wymyślił ten numer z zadatkiem. Ludzie nie rozróżniają w umowie zaliczki i zadatku i często myślą to ze sobą. Na dodatek ten zadatek tylko później uwiarygodniał go w ich oczach. Bo zadatek płaci się wtedy, gdy chce się mieć absolutną pewność nabycia nieruchomości, ponieważ w razie wycofania się w całości przepada. A przy zaliczce można zrezygnować w ostatniej chwili i ją odzyskać od właściciela. A i sam właściciel jest zobowiązany tylko do zwrotu zaliczki.

– No tak, przez ten zadatek ludzie byli przekonani, że Zarzycki ma pewność co do skarbu w ich domu.

– Dokładnie tak. Dlatego wystarczyło tylko zorientować się dość dobrze w tym, kto przed wojną posiadał jakie kolekcję, które znikły w wyniku śmierci ich właścicieli.

– A jak ty na to wpadłeś, że to on?

– Tknęło mnie, jak się dowiedziałem o tym, że się tak rozpytywał o te znaczki. Pewności, że nie chodzi o skarb, nabrałem, gdy Kolanko powiedział mi o przypadkowym zobaczeniu planu u Zarzyckiego. Resztę wyjaśniła umowa. Zresztą gdyby Kolanko bardziej chciał współpracować od początku, to pewnie szybciej bym to rozwiązał. Ale jego cały czas przeżądała myśl, że będzie musiał się z kimkolwiek dzielić skarbem. Notabene pomysł Zarzyckiego właśnie głównie opierał się nie na kruczku prawnym, tylko na wykorzystaniu ludzkiej chciwości. Bo w kwestiach finansowych ludzie są banalnie przewidywalni.

– Masz rację, drogi chłopcze. Zawsze uważałam, że podstawą wszystkich przekrętów jest nie tyle ludzka naiwność, co chciwość. Bez niej nie dałoby się skutecznie oszukiwać innych.

– To prawda. Zawsze znajdą się ci, którzy uwierzą, że w ciągu roku mogą zarobić sto procent na swoich pieniądzach. A przecież jeśli się to nawet uda, będzie to jednorazowe szczęście hazardzisty.

– Albo jak mówi przysłowie, chytry zawsze dwa razy traci – uśmiechnęła się pani Irmína, puentując w ten sposób rozważania nad ludzką naturą. – No to teraz twoja sława będzie ogólnopolska. Bezwarunkowo!

– Raczej będzie to sława podkomisarza Łosia – wskazał gazetę ze zdjęciem rozradowanego policjanta.

– Nie bój się, już moja w tym głowa, żeby się wszystko odpowiednio rozeszło. Spodziewaj się, że już wkrótce to ty będziesz udzielał wywiadów prasowych.

– Wolałbym to zostawić naszemu dzielnemu policjantowi.

– Nie rozumiem. To nie chcesz być detektywem?

– Sam nie wiem. Może to i dobry pomysł na życie, szczególnie w moim przypadku. Ale na pewno nie chciałbym, żeby wszyscy naokoło wiedzieli, kim jestem. Muszę pobiegać – wstał od stołu.

– Czemu nie chcesz być znany? – pani Irmína podniosła się również, aby odprowadzić swojego gościa.

– Gdyby moja twarz była tak sławna jak detektywa Rutkowskiego, to mogłoby mi to utrudnić pracę. Zresztą, to utrudniłoby mi nawet zwykłe życie. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł chodzić po ulicy, będąc zaczepianym przez obcych ludzi.

– Masz rację, to raczej mało przyjemne. Ale jakąś małą reklamę trzeba ci zrobić, żebyś miał klientów pod dostatkiem! – przystanęła ze swoim gościem przy drzwiach. – Ha, zobaczysz, że wkrótce ludzie będą walić do ciebie drzwiami i oknami.

Z korytarza dobiegło natarczywe pukanie, a następnie dzwonek. Jacek ostrożnie wyjrzał przez judasza pani Irmíny. Pod jego drzwiami stała redaktor Sobania ubrana raczej nie-

skromnie. Przy pomocy podręcznej kosmetyczki dokonywała właśnie ostatnich poprawek w ułożeniu włosów okalających jej czoło.

– Nieproszony gość? – zapytała szeptem pani Bamber, ale nie czekając na odpowiedź, sama spojrzała w judasza. Następnie przeniosła wzrok na Jacka i jeszcze ciszej szepnęła. – Czego ona chce?

– Skąd ja mogę wiedzieć? Ostatnio chciała pogadać o znaczkach – Przypadek mrugnął okiem do pani Irminy. – A ja nie jestem filatelistą.

Rozdział III

Mężczyzna, który się nie uśmiechał

Już sam widok tej żoliborskiej willi i jej otoczenia sprawiał, że nikt o zdrowych zmysłach nie mógł wątpić, iż jej właściciel to ktoś obdarzony ogromnym autorytetem. Gdyby jeszcze ten „nikt” ujrzał samego pana Franciszka Karasińskiego-Wołkowyjskiego, zostałby z pewnością przygnieciony ciężarem jego osobowości. Składało się na nią blisko dwa metry wzrostu i sto czterdzieści kilo żywej wagi przepełnionych absolutną racją w kwestiach ogólnie związanych z polską literaturą, a dramaturgią teatralną w szczególności. I właśnie cały ten ogrom autorytetu udzielał w tej chwili wywiadu stacji telewizyjnej, która miała poparcie wszystkich kulturalnych ludzi w kraju.

– Panie Franciszku – zapytał Bartosz Fifka znany z niezwykle taktownego przeprowadzania rozmów ze swoimi gośćmi. – Wiele osób dziwi się, że już od dawna nie napisał pan nic nowego.

– No cóż, wiele osób porównywało mnie nieraz z moim przyjacielem Sławkiem Mroźkiem... Skoro on zamilkł, zamilkłem i ja, żeby dziennikarze go nie pytali, dlaczego Karasiński-Wołkowyjski pisze a on nie – roześmiał się rubasznie.

– Pyszny żart – wyszczerzył zęby Fifka. – Ale tak na serio. Pana wielbiciele, do których także i ja się zaliczam, stęsknili się za pana nowymi utworami. Dlaczego pan na tak długo zamilkł?

– To może nie do końca tak – autorytet założył nogę na nogę, a z dłoni złożył namiocik. – Ja wciąż szukam swojego języka w nowej rzeczywistości.

– Ale czy możemy liczyć w najbliższym czasie na jakąś pańską nową sztukę?

– Tak, teraz pracuję nad błyskotliwą komedią, którą zamówił u mnie jeden z warszawskich teatrów. To będzie, że tak powiem, coś nowego w moim dorobku.

– Rzeczywiście, nie był pan znany z komedii, a raczej z dzieł, które mówiły o fatalistycznej nieuchronności losu.

– Kontynuuję tę tradycję, ale w dużo lżejszej formie. Sztuka nosi tytuł *Trzynaste krzesło* i to krzesło sprowadza na jej bohaterów pewne nieuchronne perypetie. Ale nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Czekamy zatem z niecierpliwością na jej pojawienie się na scenie – dziennikarz kiwnął głową w stronę gospodarza, a następnie odwrócił się prosto do kamery. – Dla „Magazynu Kulturalnego” mówił Bartosz Fifka.

– Teraz może jeszcze jakieś ujęcie ze sztuką? – zaproponował kamerzysta.

– Nie byłem przygotowany – zakłopotał się pan Franciszek Karasiński-Wołkowyjski.

– Niech pan weźmie byle co, żeby tylko wyglądało jak sztuka – zaproponował, wzruszając ramionami, kamerzysta, ale zaraz ugiął się pod ciężarem spojrzenia Bartosza Fifki. No bo jak można było pomyśleć, że tak ogromny autorytet ma w ogóle coś, co można nazwać byle czym?! – I tak nie będzie nic widać, bo to pójdzie tylko w zajawce – wytłumaczył kamerzysta.

Karasiński-Wołkowyjski podniósł się powoli z wielkiego fotela zrobionego na specjalne zamówienie, bo te standardowe nie byłyby w stanie unieść ciężaru jego autorytetu. Omiótł wzrokiem bibliotekę, a następnie spojrzał na stolik, gdzie leżały sterety niedbale rzuconych różnych papierów. Sięgnął po pierwszy z nich i zmrużył oczy. Miał słaby wzrok, ale uważał, że okulary niepotrzebnie dodają mu lat.

– O, mam nawet wstępną wersję tej sztuki – ucieszył się pan Franciszek, a następnie zwrócił się do kamery. Obok swojej twarzy umieścił egzemplarz dramatu, na którego pierwszej stronie, tuż pod mikroskopijnymi literkami z nazwiskiem autora, widniał tytuł zapisany wielką drukowaną czcionką. – Tak dobrze?

– Świetnie. Mam to. Może nawet da się zobaczyć ten tytuł.

Kiedy ekipa telewizji oglądanej przez wszystkich kulturalnych ludzi w tym kraju opuściła willę, pan Franciszek z zadowoleniem odsapnął i cały swój autorytet umieścił z powrotem w fotelu. Miał właśnie zamiar zapaść w ulubioną popołudniową drzemkę, kiedy zadzwonił staroświecki telefon na biurku. Dramaturg niechętnie podniósł się i sięgnął po słuchawkę.

– Karasiński-Wołkowyjski, słucham? – powiedział niedbale. – Jaką sztuką? *Trzynaste krzesło*? – pan Franciszek cały zeszytywniał. – Pierwsze słyszę. Musiałem nie dostać. A poza tym jestem obecnie bardzo zajęty i nie mam czasu na czytanie czyichkolwiek wypocin! I w ogóle skąd pan ma mój numer telefonu? Ja bardzo nie lubię, jak do mnie dzwonią jacyś nieznajomi. Do widzenia!

Pan Franciszek ze złością rzucił słuchawkę na widelki. Następnie sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął stamtąd chusteczkę.

– Cholera, ciekawe, gdzie on to jeszcze wysłał? Wprawdzie w tym liście pisał, że wysłał tylko do mnie, ale kto go tam wie... A właściwie nieważne. Jak ja powiem, że to napisałem, to nikt się nie ośmieli mi zaprzeczyć! W końcu jestem autorytetem czy nie?!

Chcąc zwrócić uwagę Przypadka na to, że oczekuje się od niego otworzenia drzwi, można to było zrobić na kilka różnych sposobów. Dwa podstawowe to oczywiście przyciśnięcie dzwonka i zapukanie. Każdą z tych czynności można było wykonać różnymi metodami. Na przykład przyciskać energicznie dzwonek bez najmniejszej przerwy, oczekując, że da to najlepszy efekt. Albo dzwonić w systemie pulsacyjnym lub dać krótki sygnał swojej obecności pod drzwiami.

Jeśli chodzi o drugi ze sposobów, to można było różnie z niego skorzystać. Od zwykłego, ordynarnego walenia do drzwi, poprzez dobijanie się, kulturalne pukanie, aż wreszcie po nieśmiałe „puk, puk”. Niezależnie jednak od sposobu osoba mająca interes do Przypadka z pewnością uważała za istotne, aby gospodarz usłyszał, że ktoś oczekuje na przyjęcie.

Dlatego Jacek, który przypadkiem usłyszał szelest czegoś dotykającego drzwi, był w pierwszym momencie przekonany, że to nie mogło być pukanie. Jednak szmer stał się zbyt regularny i wciąż nie milkł. Przypadek uznał więc, że musi sprawdzić, co jest jego źródłem. Otworzył drzwi i zobaczył śmiertelnie poważnego, by nie rzec smutnego młodzieńca, którego dwa palce prawej dłoni były złożone tak, jakby miały zapukać. Jednak zarówno one, jak i twarz, tak były przestraszone, że chyba jednak nie odważyłyby się tego zrobić w sposób dający nadzieję na sukces.

– Pan do mnie? – zapytał Jacek.

– Przepraszam – twarz młodzieńca zrobiła się płacźliwie przerażona. – Mnie przysłała do pana pani Marzena Kolska.

– W jakiej sprawie?

– Detektywistycznej. Fredro się nazywam.

Pan Jędrzej Sakowicz był osobą, której wyprowadzenie z równowagi graniczyło niemal z cudem. Rzec by można, że angielską flegmę wyssał wraz z mlekiem matki i utracił ją dopiero wraz z ostatnim tchnieniem wydanym w przyszłości. Ponieważ pan Jędrzej był jednak mężczyzną w sile wieku i zmagającym się tylko okresowo z katarem, można było być pewnym, że jakakolwiek gwałtowna reakcja z jego strony absolutnie nie wchodzi obecnie w grę. Szczególnie w trakcie prowadzenia auta, bo to groziło wypadkiem.

– Uważasz, że to, co robisz, jest rozsądne? – zapytał spokojnie stary mecenas, skręcając na światłach w boczną uliczkę. Obojętność w tonie jego głosu mogłaby zwieść postronną osobę

i ktoś mógłby pomyśleć, że decyzja o wyprowadzce jego syna znaczy dla niego tyle, co informacja, że Błażej przepłacił za kupioną kawę.

– Postanowiłem brać z ciebie przykład, tato.

– Jaki przykład?

– Też miałeś trzydzieści lat, kiedy wyprowadzałeś się z domu.

– Byłem do tego zmuszony. Twoja matka nie dogadywała się z moją matką. Poza tym ja przenosiłem się do własnej willi, a ty zamieszkasz w jakiejś remontowanej ruderze tego Przypadka.

– Tato, muszę kiedyś się usamodzielić.

– A czy ja mówię, że nie? Ale najpierw warto byłoby dorosnąć. A ty jeszcze jesteś nieodpowiedzialny. I nie myśl, że jak się wyprowadzisz, to nie będę sprawdzać, czy nie robisz jakiś głupstw.

– To tutaj.

Pan Jędrzej zatrzymał auto przed kilkuletnim budynkiem, który powoli zaczął wyglądać jak miejsce zameldowania patologii. To było zresztą niesamowite w nowych warszawskich adresach, że wkrótce po ich odbiorze zaczynały w większości wyglądać gorzej niż otaczające je bloki z wielkiej płyty. I co ciekawsze, ściany w nich często były dużo bardziej przepuszczalne niż w socjalistycznych niedoróbkach, że o solidnych kamieniach z lat jeszcze wcześniejszych autor litościwie nie wspomni.

Widząc ten obraz nędzy i rozpaczy, Sakowicz senior pogardliwie wydał wargi.

– Wyjmij szybko walizki z bagażnika, bo spieszę się na spotkanie – rzucił do syna.

– Nie pomożesz mi?

– Skoro jesteś taki samodzielny, to dasz sobie radę. I nie spóźnij się do kancelarii. No chyba, że ją chcesz także opuścić.

Jacek postawił przed panem Fredrą szklankę z sokiem i usiadł. Jego gość nie patrzył w tej chwili na niego, tylko intensywnie przyglądał się fotografii stojącej na półeczce. Był tak zapatrzony

w uśmiechniętą twarzyczkę ładnie odcinającą się na tle gór, że przestał w ogóle zauważać gospodarza. Dopiero kiedy Przypadek chrząknął znacząco, Fredro przeniósł na niego wzrok.

– Kto to? – zapytał.

– Chyba nie przyszedł pan tu mnie o to zapytać?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale jest w tej twarzy coś tak niezziemskiego...

– Bo być może ta twarz należy w tej chwili już do anioła.

– Czyżby ona...? To przepraszam, nie wiedziałem – twarz Fredry zrobiła się jeszcze smutniejsza, choć chwilę wcześniej można byłoby uznać, że to niemożliwe.

– Proszę mi powiedzieć, z czym pan do mnie przychodzi.

– Głupio mi trochę o tym mówić tak prosto z mostu – Fredro spuścił wzrok i wskazujący palec prawej dłoni zaczął intensywnie przyciskać do blatu stołu.

– Dobrze. To niech mi pan powie najpierw, czym się pan zajmuje, panie Fredro?

– Będzie się pan śmiał – Fredro łypnął niepewnie wzrokiem na Jacka.

– Dlaczego?

– Bo ja komedie piszę – wyznał scenicznym półszepem Fredro i znów spuścił wzrok. Była to dla Jacka okoliczność nadzwyczaj korzystna, bo jego gość nie mógł zauważyć, jak z trudem zagryza wargi.

– Przepraszam – odchrząknął po chwili Przypadek i starając się utrzymać jak największą powagę, dodał. – To rzeczywiście zabawne.

– W agencji reklamowej też tak uznali – Fredro chwycił szklankę z sokiem i zaczął ją obracać w dłoni. – Powiedzieli, że z takim nazwiskiem to muszę mieć talent do niezłych tekstów. Dlatego mnie zatrudnili.

– Ach, więc pan jest copywriterem.

– W chwili obecnej owszem.

- A przepraszam, czy pan jest...
- Niestety nie – zawstydyził się Fredro. – Ze słynnym hrabią mam wspólne tylko nazwisko.
- No i pisanie komedii.
- To prawda. Dlatego, żeby nie mieć balastu nazwiska, postanowiłem wystawiać pod pseudonimem.
- Jakim?
- Tego jeszcze nie wiem. Na razie nic mi nie wystawili. W pewnym sensie.
- Nie rozumiem.
- To znaczy że ktoś wystawił moją sztukę jako własną.

Nadchodził wiatr zmian i pracownicy kancelarii Sakowicz & Sakowicz czuli bardzo wyraźnie jego powiew na twarzy. Pan Jędrzej wszedł rano do pracy pochmurny i milczący. W dodatku sam, co do tej pory zwiastowało, że jego latorośl musiała się poważnie rozchorować i dlatego została w domu. Ale kiedy sekretarka zapytała go, czy odwołać dzisiejsze spotkania mecenasa Błażeja, Sakowicz senior fuknął tylko na nią, żeby nie zadawała nierozsądnych pytań.

Zaraz po tym, gdy pan Jędrzej zniknął w swoim gabinecie, rozgorzała zażarta dyskusja pomiędzy aplikantką Jagną i sekretarką, jaka może być przyczyna tej dziwnej sytuacji. Sekretarka obstawiała, że Młody Bóg Seksu złożył o jedną propozycję za dużo i obecnie spędza czas w areszcie, wsadzony tam za napaśtowanie seksualne. Aplikantka zdecydowanie odrzucała to przypuszczenie. Wprawdzie wierzyła, że jakaś kobieta mogła oskarżyć młodego Sakowicza o nieprzyzwoite zachowanie, ale nie miała wątpliwości, że w jednej sekundzie, choćby przy pomocy ojca, wyszedłby z aresztu. Dlatego Jagna uważała raczej, że mecenas Błażej musiał wyjątkowo ostro zabalować i po raz pierwszy w życiu nie dać rady wrócić na noc do domu.

Dywagacje te przerwało pojawienie się obmawianego try-skającego dobrym humorem. Świadczyło to dobitnie, że podejrzania niższego personelu kancelaryjnego były pozbawione podstaw. Na dodatek promienny uśmiech, z jakim przywitał się z obiema paniami, i to, że powiedział im kilka komplementów, zdziwiło je jeszcze bardziej. A potem, zanim się obejrzały, był już u siebie w gabinecie i wprawiał swoją energią w zdumienie własny fotel przyzwyczajony do dostojnego zasiadania w nim.

Błażej rozejrzał się uważnie po swoim biurze, jakby widział je po raz pierwszy albo przynajmniej jakby przeszło ono gruntowny remont. Nic takiego nie miało miejsca w ostatnim czasie, ale dla Młodego Boga Seksu nabrało ono zdecydowanie nowych barw. Od dzisiaj było bowiem miejscem pracy innego niż dotąd człowieka, który może z niego wyjść i udać się do prawie własnego mieszkania. Że też wcześniej o tym nie pomyślał...

Ale tak, teraz nadeszła właściwa chwila, żeby w pełni rozwinąć żagle i popływać po oceanie nieskończonej rozkoszy. Wystarczy jeden telefon i jego nowe lokum będzie wieczorem miejscem niewiarygodnych wydarzeń. Trzeba się tylko do niego dobrze przygotować.

– Słuchaj, może byśmy razem gdzieś wyskoczyli... Mogli-byśmy wspólnie coś schrupać, najlepiej siebie – Błażej maksymalnie obniżył tembr swojego głosu, by brzmiał on jeszcze seksowniej niż zwykle. – Nie, to chyba zbyt mocne – pokręcił z niezadowoleniem głową, odkasznął i spróbował ponownie. – Słuchaj, może byśmy razem gdzieś wyskoczyli? – rzucił od niechcienia. – Nie musimy jechać od razu do mnie, możemy najpierw potańczyć... – urwał i pokiwał z zadowoleniem głową. – Tak, teraz już lepiej.

Wyjął z kieszeni komórkę i wyszukał odpowiedni numer. Po-tem chwycił za słuchawkę telefonu stojącego na biurku i patrząc na wyświetlacz komórki, wystukał numer na klawiaturze sta-cjonarnego aparatu. Korzystał z niego niezbyt często, głównie

wtedy, gdy chciał się umówić z dziewczyną. Był bowiem święcie przekonany, że dzięki tak dużej słuchawce jego głos brzmi o wiele bardziej zmysłowo.

– Słuchaj, może byśmy gdzieś razem wyskoczyli... – zamruczał jeszcze niedbale pod nosem, a potem wyprostował się, bo po drugiej stronie jego rozmówczyni powiedziała „halo”. – Cześć, mówi Błażej. Słuchaj, może byśmy gdzieś razem wyskoczyli? Nie musimy jechać od razu do mnie, możemy najpierw potańczyć.

Sakowicz junior uśmiechnął się, bo dobrze wiedział, co teraz usłyszy. Ciężko było bowiem w dzisiejszych pruderyjnych czasach o dziewczyny, które bez wstydu przyznałyby się do faktu, jak bardzo pociąga je Młody Bóg Seksu. A że pociąga, nie było najmniejszych wątpliwości.

Tylko co z tego, kiedy wszystkie z fałszywym wstydem odrzucały jego propozycję? Jedne robiły to grzecznie, odmawiając, choć Błażej czuł przez telefon, jak bardzo się w sobie gotują. Inne nie ukrywały tego gorąca, ale zamiast przyjąć kuszącą propozycję, oblewały go wrzaskiem swoich uczuć, nie przebierając przy tym w słowach.

Ale co to?! Co ona powiedziała?!

– Jak to, zgadzasz się? – Błażej zaniemówił z wrażenia i nie reagował przez dłuższą chwilę na głośnie „halo, jesteś tam?!” powtarzane przez jego rozmówczynię. W końcu jednak odzyskał mowę. – Jestem, jestem, jakieś zakłócenia na łączach widocznie. Dokąd pójdziemy? Eeee, nie zastanawiałem się. Zadzwoń za chwilę.

Błażej z przerażeniem odłożył słuchawkę i przez chwilę próbował uspokoić oddech.

– No, wreszcie udało się. Pierwsza normalna kobieta. Ale kto by pomyślał, że to właśnie ona. Musiałem na niej zrobić wyjątkowo piorunujące wrażenie – pokiwał z zadowoleniem głową. Ale mimo sukcesu na jego twarzy nie było widać radości.

Bo pod maską zblazowanego playboya narastało przerażenie, które pomyślało sobie gdzieś bardzo w głębi duszy „O Boże, udało się. Co ja teraz zrobię?”. Ale mecenas Sakowicz nie wypuścił przerażenia na zewnątrz, tylko zatrzymał je w środku, ukryte pod pozorami pewności siebie. I to ukryte tak głęboko, że nawet on sam nie zdawał sobie sprawy z jego istnienia.

Pani Irmina Bamber wciąż patrzyła z niedowierzaniem na Jacka. Wiedziała wprawdzie, że nawet ludziom z towarzysztwa zdarzają się czasem pewne nietakty, ale żeby coś takiego...

– I powiadasz, mój drogi chłopcze, że słynny Franciszek Karasiński-Wołkowyjski ukradł temu Fredrze sztukę?

– Wygląda na to, że tak.

– I sądzisz, bezwarunkowo, że ten Fredro nie zmyśla?

– On wygląda jak chodząca pocziwość, trudno go podejrzewać o jakąkolwiek niecność. Zresztą przysłała go do mnie Marzena, a ona ma nosa do ludzi.

– Ale to niesłychane. Przecież ten człowiek to już niemal historia polskiej literatury – pani Irmina dołąła Jackowi herbaty i podsunęła kruche ciasteczka. – Kiedyś rzeczywiście należał do partii, ale potem jednak był związany z przyzwoitymi ludźmi. Nawet opowiadał, że zapisał się do partii, żeby mu wystawili pierwszą sztukę, a potem to już bez jego wiedzy odciągali mu składkę członkowską z pensji – gospodyni odstawiła czajnik i zamyśliła się na chwilę. – A słuchaj, gdzie ty właściwie tego Fredrę przyjąłeś?

– W kuchni.

– To trzeba będzie zmienić. Musisz mieć jakiś gabinet, mój drogi chłopcze. Ten drugi pokój trzeba będzie opróżnić i tam urządzić dla ciebie stosowne pomieszczenie.

– Jeśli pani tak uważa.

– Bezwarunkowo! A wracając do sprawy, to nie będzie ci łatwo. Sam rozumiesz, z kim zadrzesz. Franciszek Karasiński-Wołkowyjski to duże nazwisko.

– Na pewno bardzo długie – uśmiechnął się ironicznie Przypadek.

– Nie żartuj. Za kimś takim jak on na pewno ujmą się różne autorytety. To prawie drugi Mrozek – pani Irmina miała szczęście, że Karasiński-Wołkowyjski jej nie słuchał. Tak naprawdę bowiem nie lubił porównań do swojego „przyjaciela Sławka Mrozka”, jak go czasem nazywał w wywiadach. Uważał się bowiem za dużo zdolniejszego dramaturga, który tylko w wyniku splotu niekorzystnych okoliczności nie zyskał takiej sławy jak Mrozek. – A ten Fredro tylko jemu wysłał tę sztukę?

– Tak. Mówi, że to był zawsze jego autorytet zawodowy. Dlatego uznał, że jeśli jemu się spodoba ta sztuka, to naprawdę jest warta wystawienia. Najgorsze, że ten Karasiński-Wołkowyjski zdaje sobie sprawę z tego, że był jedynym adresatem, bo Fredro wprost wyznał mu to w liście.

– I naprawdę nikomu więcej jej nie pokazał?

– Nie. A Karasiński-Wołkowyjski ma jeszcze w zanadrzu dyrektora teatru, który zamówił u niego tę sztukę.

– Znam go. Może chcesz z nim porozmawiać?

– Fredro już to zrobił. Dyrektor potwierdza, że spotkał się z Karasińskim na jakimś bankiecie, tamten opowiedział z grubsza ideę, dyrektor się zainteresował i zamówił, bo to znane nazwisko i chociażby to dawało nadzieję na sukces.

– Ta sztuka to wielki przebój.

– I kapitalna rzecz. Byłem ostatnio na niej z Marzeną i spłakaliśmy się do łez – Przypadek pokiwał z niezadowoleniem głową. – W tym zresztą jest największy problem.

– Czemu?

– Nie widziała pani pana Fredry. On wygląda na najsmutniejszego człowieka na ziemi. Gdyby został bohaterem sztuki,

można by go nazwać: „Mężczyzną, który się nie uśmiechał”. Trudno mu będzie przekonać kogokolwiek, że napisał śmieszny tekst. Nawet nazwisko mu w tym nie pomoże.

– To co chcesz zrobić?

– Muszę znaleźć jakiś słaby punkt tego Karasińskiego-Wołkowyjskiego.

– To może zaczniesz od jego byłej żony?

– Pani ją zna?

– Ależ mój drogi chłopcze, jak możesz? – pokiwała lekko zde gustowana pani Irmina oburzona podejrzeniem Jacka, by mogła kogoś nie znać.

– Proszę mi wybaczyć – Przypadek pochylił się i pocałował panią Irminę w dłoń. – Sądzi pani, że ona coś może wiedzieć? Jeśli jest była żoną, to chyba nie było jej już wtedy, gdy Fredro nadesłał do jej eksmęża swoją sztukę.

– Za to jeśli ktoś zna jakieś jego ciemne sprawy i będzie chciał o nich porozmawiać, to tylko ona. Bezwarunkowo. Jest na niego ciągle wściekła!

Ten komputer był tak irytujący, że redaktor Anna Sobania najchętniej chwyciłaby w tej chwili monitor i wywaliła przez okno redakcji „Nowego Życia” prosto na ulicę. Jednak wtedy musiałaby odkupić redakcyjny sprzęt, a na to nie miała ochoty. Mogła więc tylko bezsilnie stukać w jego klawiaturę, licząc, że to w jakiś cudowny sposób pozwoli się mu odwiesić. Cursor na stronie tekstu, który pisała, wciąż jednak pozostawał nieruchomy i nic nie dawało nadziei na zmianę.

Redaktor Sobania już dawno postulowała, żeby ten stacjonarny złom wymienić na laptopy, ale szefowie pisma byli jakoś nostalgicznie przywiązani do archaicznych rozwiązań technologicznych. Niektórzy szeptali, że to dlatego, że jeden z nich brał odpowiednią opłatę za zakup na wpół muzealnych komputerów,

ratując w ten sposób tyłek jakiemuś zaprzyjaźnionemu biznesmenowi. Ale takie podejrzenia należało zdecydowanie odrzucić, bo przecież coś takiego nie mogło mieć miejsca w gazecie, która żywo reaguje na wszelkie nieprawidłowości w życiu społecznym. Dlatego też nikt nie zdecydował się podjąć tego tropu, rozpowszechnianego w pogłoskach, a nawet półoficjalnie zakazano dziennikarzom interesowania się tym.

I dlatego w najbliższym czasie redaktor Sobania była skazana na użeranie się z czymś, co nawet w latach swej młodości bywało zawodne i sprzedawało się kłopsko. Dobrze chociaż, że dzisiaj już udało się jej zrobić coś bardzo ważnego, co znakomicie poprawiało jej humor.

– I jak? Pan Przypadek okazał wdzięczność za pomoc w śledztwie? – zapytała od niechcienia Malwina, która już od jakiegoś czasu spod oka obserwowała zmagania przyjaciółki.

– Pan Przypadek jest osobą emocjonalnie niestabilną, dlatego ma problemy z okazywaniem wdzięczności – stwierdziła cierpko redaktor Sobania.

– To może go sobie odpuścisz?

– I pozwolę ci wygrać zakład? W życiu! – krzyknęła tak głośno, że połowa redakcji spojrzała w ich stronę.

– Chyba podchodzisz do tego zbyt emocjonalnie.

– To wszystko przez ten komputer. Czasem mam ochotę pogrzebać przy tym zamówieniu i sprawdzić, czy ten nasz Wielki Goguś coś przy tym jednak nie zachachmęcił.

– Oszalałaś? – Malwina spojrzała na koleżankę poważnie zaniepokojona.

– Wiem, wiem. Nie można – uspokoiła ją Ania. – Za to Przypadkowi nie daruję i znajdę na niego sposób. Już nawet znalazłam.

– Co chcesz zrobić?

– Coś, co go bardzo zaboli. I nie pozwoli pozostać obojętnym. Będzie musiał wykonać ruch.

Powiedzenie, że pani Magda Karasińska-Wołkowyjska była strzępkim nerwów, oznaczało tylko, że nie doceniało się stanu, w jakim się znajdowała. Albowiem jakikolwiek strzępek nerwów był przy pani Magdzie uosobieniem spokoju i stonowania. W trakcie rozmowy z Jackiem była żona wielkiego literata nawet przez sekundę nie usiadła spokojnie na miejscu i ciągle tylko krążyła wokół detektywa jak elektrony wokół jądra atomu. Cały czas miała w dłoni co najmniej jednego papierosa, a zdarzały się chwile, że przez nieuwagę zapalała dwa naraz, trzymając jednego w prawej, a drugiego w lewej ręce.

– Co pan tak wygląda przez okno?

– Patrzę, gdzie stoi mój wielbiciel.

– Jaki wielbiciel?

– Cichy, ale bardzo wierny – Jacek zerknął raz jeszcze na ulicę, a potem zasunął firankę. – Ale niech mi pani lepiej coś powie o pani byłym mężu.

– Ja od razu, jak to zobaczyłam w teatrze, to wiedziałam, że on tego nie napisał – weszła mu w słowo pani Magda, jakby tylko czekała na znak, żeby zacząć mówić na swój ulubiony temat. – Za śmieszne, jak na niego. To znaczy tak mi mówiono, bo dałam radę wysiedzieć tylko kwadrans, a potem musiałam z tych nerwów wyjść zapalić. A jak skończyłam, to już było po przedstawieniu.

– A co panią tak zdenerwowało?

– No jak to co?! Pełna sala, bilety po sto pięćdziesiąt złotych! Pan wie, ile on ma tantiem z każdego przedstawienia?! – W tej chwili pani Magda była bliska zapalenia trzeciego papierosa, ale zorientowała się, że brak jej już na to wolnej ręki. – A ja co, proszę pana?! – Pomachała przed nosem Jacka dwoma zapalonymi papierosami. – Ani grosza z tego nie mam, chociaż mu pół życia poświęciłam, łajdakowi jednemu! – spojrzała z nadzieją na Przygadka. – Dobrze, że mu się wreszcie ktoś dobierze do skóry!

– Na razie nie mam w jaki sposób.

– No przecież mówię, za śmieszne jak na niego. On tylko te swoje smuty o nieodwracalności losu ludzkiego potrafi. To znaczy potrafił, bo już tyle lat nic nie napisał.

– Taka konstatacja to trochę za mało jak dla sądu. Potrzebowalbyśmy czegoś bardziej namacalnego.

– On nie ma nic, co warto byłoby namacać – prychnęła pogardliwie pani Magda. – Tylko się lubi żalić i płakać, że mu nie wychodzi. Pan wie, co kiedyś napisał do swojej kochanki?

– Co?

– Że ja mu podcinam skrzydła swoją podejrzliwością! A wie pan, skąd to wiem? Bo ten pierdoła pomylił koperty i list do niej wysłał do mnie i na odwrót. To zresztą do niego podobne. I jeszcze mówi, że to roztrzępianie świadczy o tym, że jest wielkim artystą. Pan wie, że on cały czas używa wyłącznie maszyny do pisania?

– Konserwatysta. A skąd pani wie, że ciągle używa maszyny do pisania? Utrzymuje pani z nim kontakt?

– W życiu. On mnie już w ogóle nie interesuje. Chociaż on w swojej megalomanii uważa, że mam na jego punkcie obsesję.

– To skąd pani wie o tej maszynie?

Pani Magda zgrabnie strzepnęła obydwie papierosy do popielniczki i nie pozbywając się ich z dłoni, otworzyła szufladę. Wyjęła stamtąd wielki niebieski zeszyt i zaczęła przerzucać jego strony. Na wszystkich były starannie, w porządku chronologicznym wklejone wycinki z różnych gazet.

– O, tu proszę spojrzeć. Tu mówi, że mam na jego punkcie obsesję – Przypadek z ciekawością zerknął we wskazane miejsce. Nie zdążył jednak nic przeczytać, bo pani Magda przerzuciła błyskawicznie kilkanaście stron. – A tu mówi o tej swojej maszynie do pisania! Bo on niby taki staroświecki, że tylko maszyną używa – popukała palcem w kartkę.

– Rzeczywiście – pokiwał głową Jacek, któremu tym razem udało się przeczytać kilka słów. – W tym zeszycie są wszystkie jego wywiady?

– Z ostatnich trzech lat. On tyle tego udziela, że muszę regularnie zakładać nowy zeszyt. Jeśli chce pan zobaczyć.

– Te z ostatnich trzech lat mi wystarczą – Jacek wziął do ręki zeszyt. – Mogę to pożyczyć? Chciałbym się o pani byłym mężu więcej dowiedzieć.

– Tylko proszę czytać między wierszami, bo w tych wywiadach nie ma słowa prawdy. Ja zawsze wiedziałam, że to oszust i złodziej.

– Oczywiście, będę pamiętał.

– Chce pan też wywiady z telewizji? – Karasińska-Wółkowska pokazała na szafkę, gdzie stały dwa telewizory. Na każdym z nich znajdowało się, nieco archaicznie już dziś wyglądające, wideo. Jacek uśmiechnął się na ten widok a gospodyni poczuła się w obowiązku wyjaśnić mu – Pewnie się pan dziwi, dlaczego mam aż dwa?

– A co w tym dziwnego? – Przypadek wzruszył ramionami. – Zapewne nie chce pani przegapić żadnego słowa, które były mąż wypowiada w telewizji.

– Dokładnie tak! Nawet jak dłuższy czas nic nie pisał, to ciągle go było pełno w telewizorze. Na jaki kanał nie przełączyłam, to on tam był! Na szczęście jakoś to opanowałam – odsunęła drzwi szafki pod telewizorami, gdzie na półkach stały równiutko ułożone kasety. – Mam wszystkie programy z ostatnich dwudziestu lat, w których wypowiadał się choć chwilę.

– Byłbym wdzięczny gdyby pani mogła mi zgrać na jedną kasetę te z ostatnich dwóch lat. Tylko wyłącznie jego wypowiedzi, żebym mógł szybciej przejrzeć. Da pani radę?

– Zaraz jak zgram, to sama przyniosę. I niech pan będzie spokojny. Już ja się postaram coś wyciągnąć! Tylko jeden warunek.

– Jaki?

– Chcę być przy tym, jak go pan dorwie.

Mecenas Andrzej Sawczuk-Keller był znany z głębokiego, życiowego pragmatyzmu, z którego niemal uczynił swoją religię i był jej wyznawcą. Wyznawcą niemal fanatycznym, na dodatek nieznoszącym dogłębnie najbardziej konkurencyjnej z religii, zwanej altruizmem. Po dziś dzień zapamiętał pierwsze z posiedzeń samorządu studenckiego Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, do którego został wybrany. Jeden ze studentów pierwszego roku nieśmiało zagaił, że należałoby coś na początek zrobić z bałaganem w postaci przepełnienia sal na ćwiczeniach i wykładach. Ścisk rzeczywiście był nielichy, bowiem przyszli mecenasi, sędziowie, radcy i prokuratorzy wypadali oknami podczas zajęć. Ale nie po to Sawczuk dostał się do samorządu, żeby przejmować się takimi duperelami. Słyszając zaś paplanie pierwszaczka, wiedział od razu, że należy sobie odpuścić wszelki wersal. Nie żeby nie potrafił posługiwać się wersalem, kiedy było trzeba, władał nim śmiało. Ale tym razem szkoda mu było tracić na to czas. Dlatego wszedł mu w słowo:

– Kolego, co wy pierdolicie? Najpierw musimy ustalić, co my będziemy mieć z tego bycia w samorządzie.

Jego pragmatycznie życiowa postawa spotkała się z uznaniem pozostałych uczestników spotkania, dzięki czemu mógł zostać przewodniczącym samorządu. To ułatwiło mu właściwy życiowy start i pozwoliło spojrzeć na niego nestorowi wielopokoleniowej rodziny adwokackiej, Stefanowi Kellerowi, jako na bardzo interesującego potencjalnego zięcia. Dzięki temu Andrzej Sawczuk mógł nie stresować się egzaminami na aplikację ani tym, kto będzie jego patronem w trakcie jej odbywania.

Doświadczenie życiowe i zawodowe, którego nabierał z każdym rokiem, pozwalało mu także rozpoznawać współwyznawców swojej religii. Dlatego też poczuł wielką sympatię, gdy w progach jego kancelarii stanął wielki literat z wielkim nazwiskiem. Oczywiście taka sympatia nie wystarczałaby do bezinteresownego zajęcia się jego sprawą, bo coś takiego traciłoby

jednak nieznośnym altruizmem. Ale jednak była miłym uzupełnieniem faktu, że jego nowego klienta stać było na wysokie honorarium Sawczuka-Kellera.

– Więc mówi pan, że ten Fredro oskarżył pana o kradzież *Trzynastego krzesła*?

– Niestety – Franciszek Karasiński-Wołkowyjski poruszył się niespokojnie na krześle, które nie było przystosowane do ciężaru jego osobowości i zachodziła obawa, że mogło go nie utrzymać. – Właśnie chciałem wyjechać na wakacje na Bali, kiedy się o tym dowiedziałem. W tym kraju już nie ma żadnych świętości, każdy może gadać, co chce!

– Też uważam, że to okropne – pokiwał z dezaprobatą Sawczuk-Keller. – A tak naprawdę, ukradł mu pan te sztukę?

– No wie pan... – pan Franciszek Karasiński-Wołkowyjski nieco się stropił.

– Proszę pana, ja będę pana bronił bez względu na fakty. Ale jeśli będę je znał, będzie mi łatwiej – uśmiechnął się adwokat, uznając przy okazji, że pytanie o autorstwo sztuki można już odhaczyć jako wyjaśnione. – Więc jak, zdaniem tego Fredry, ta sztuka trafiła w pana ręce?

– Wysłał mi ją pocztą.

– Poleconym?

– Niestety. Ma wciąż potwierdzenie.

– Ale pan od razu wyrzuca takie rzeczy do kosza, nie rozrywając nawet koperty – podpowiedział mecenas. – Nie ma pan czasu na czytanie tego, co panu przysyłają?

– Nooo... w zasadzie tak. Tak mu nawet powiedziałem przez telefon i to już rok temu. Chociaż ja w kilku wywiadach przyznałem się, że czasem czytam sztuki młodych ludzi i je recenzuję.

– Powiedzmy zatem, że pan nie czyta sztuk nadesłanych przez nieznanomych, a jedynie te, które polecą panu odpowiednie osoby na stanowiskach, do gustu których ma pan zaufanie. Czy taką tezę dałoby się obronić na podstawie pana wywiadów?

- Myślę, że tak – powiedział wolno i z pewnym namysłem Karasiński-Wołkowyjski. – Nawet na pewno tak.
- Zatem tego się trzymajmy – uśmiechnął się zadowolony Sawczuk-Keller. – Tego Fredrę reprezentuje pan mecenas Przy-padek? Dobrze pamiętam?
- Tak. Jest dobry?
- Jest dobry. Ale jest też rozsądny. Spróbuję z nim porozmawiać.

Klienci Szypułki byli przyzwyczajeni do różnych dziwnych, kolorowych gości i właściwie widok kogoś niespełna zmysłów nie robił na nich zbyt wielkiego wrażenia. Bywali tu jednak zwykle ekstrawertycy, którzy bardzo chcieli swoje szaleństwo zaprezentować całemu światu i niemal wręcz obsesyjnie im na tym zależało. Mieli nadzieję, że jeśli zrobią coś dziwnego, niecodziennego, sfotografuje ich jeden z dyżurnych paparazzich krążących wokół wszystkich okolicznych knajp na literę „Sz”. Owe „fotopstryki”, jak pogardliwe nazywała ich branża, czekały tutaj na „przypadkowe ekscesy” tych, którzy może jeszcze nie są znani z tego że są znani, ale mają dużą szansę być poznani od tej właśnie strony.

Jednak ten przeraźliwie smutny osobnik siedzący samotnie przy stoliku wyglądał raczej na introwertyka, który nie przepadał za takimi miejscami, a znalazł się tu jedynie zmuszony okolicznościami. Dlatego bardzo szybko zamknął się w sobie i przestał zwracać uwagę na świat zewnętrzny. Nie zauważył więc zdziwionych spojrzeń pozostałych gości, którzy ukradkiem spoglądali, jak Fredro bezwiednie obracał na wskazującym palcu prawej dłoni parę męskich slipek. I to obracał w sposób niemal identyczny jak amerykańscy rewolwerowcy bawiący się swoim ulubionym coltem.

Kiedy Jacek podszedł do stolika zajmowanego przez copy-writera, ten już tylko kurczowo ścisnął męskie slipy i coś zawzięcie notował na kartce papieru.

- Co pan taki smutny, panie Janku? – zapytał Przypadek.
- Muszę wymyślić reklamę męskich majtek.
- To rzeczywiście nic wesołego.
- Właściwie nie, już mam pomysł. Opowiedzieć panu?
- Słucham.

– Jest tak – Fredro wstał. – Pociąg wjeżdża na stację, jakąś pipidówkę na końcu świata. Perony puste, wiatr hula po dworcu. W przedziale śpi samotny facet. – Choć copywriter wciąż teoretycznie stał na podłodze, w tej chwili wydawało się, że zaczyna się nad nią unosić. – Faceta budzi szcęk hamującego żelastwa... w sensie pociągu. Facet otwiera oczy, z przerażeniem rozgląda się wokół, boli go głowa, czuć, że musi być skacowany. – W tym momencie najłżejszy podmuch wiatru prawdopodobnie wywiałby Fredrę przez okno, bo jego balonik uniesienia lewitował już ponad stolikami. – Na półkach nie ma żadnego bagażu, a ubranie faceta jest w strasznym nieładzie. Gość zaczyna się klepać po piersi i po kieszeniach, jakby szukał biletu albo portfela – copywriter osobiści zaczął odgrywać bohatera wymyślanej przez siebie reklamy. – Zagląda do kieszeni spodni. Nadal nie znajduje niczego, a jego przerażenie wzrasta. Napięcie koniecznie podkreśla muzyka. Kiedy panika sięga zenitu, facet rozpina rozporek i widzi tam majtki – Gdyby nie sufit, Fredro z pewnością bujałby już wśród chmur – Oddycha z ulgą. Tego mu było trzeba. Lektor czyta hasło grobowym głosem: „Nasze majtki są zawsze tam, gdzie trzeba”.

Śmiech Jacka utonął w ogólnym rozbawieniu, które zapawało we wszystkich sąsiednich stolikach Szypułki. Dla Fredry ten śmiech był jak szpileczka, która przebiła balonik jego uniesienia. W jednej chwili zaczęło uchodzić z niego powietrze, a sam copywriter, uśmiechając się niepewnie, zaczął, coraz bardziej sflaczały, opadać na krzesło. Gdy już spoczął na nim całkowicie, a reszta szypułkowych gości zajęła się swoimi sprawami, uśmiechnął się przepraszająco w stronę Jacka.

– Czasem się trochę za bardzo unoszę. Ale pan się chciał ze mną spotkać w jakiejś innej sprawie?

– Tak. Chciałem zapytać, w jakiej formie wysłał pan sztukę Karasińskiemu?

– Jako wydruk komputerowy. A czy to ważne?

– Być może tak – Jacek zamyślił się, ciesząc się z pierwszego punktu zaczepienia, jaki udało mu się złapać. Niewielkiego, ale jednak.

– To wszystko? O to mógł pan mnie zapytać przez telefon.

– To prawda. Ale chciałem sprawdzić jeszcze jedną rzecz, która może być na przyszłość ważna.

– Tak?

– Nie wiem, jak o to zapytać, ale czy pan się czasem uśmiecha?

– Raczej tylko wewnętrznie. A czemu pan pyta?

– Wie pan, to mogłoby ułatwić ewentualne postępowanie przed sądem.

– Gdybym się uśmiechał do sądu?

– Gdyby pan się w ogóle uśmiechał. Być może będziemy mieli tylko mocne poszlaki przemawiające za panem a wtedy... sam pan rozumie. – Choć Przypadek nigdy nie miał problemów z wtykaniem złośliwych szpilek, to wyraz twarzy Fredry skłaniał go do wyjątkowej jak na niego delikatności.

– Przyznaję, nie rozumiem – copywriter spojrzał na Jacka swoimi niewinnymi oczkami, a Przypadek ciężko westchnął.

– Sąd to też ludzie, a ludzie często sądzą po pozorach, no i ciężko im uwierzyć, że tak śmieszną rzecz może wymyślić ktoś, kto się...

– Aaa. Rozumiem. To może ja spróbuję – Fredro wykrzywił twarz w czymś, co w jego mniemaniu miało być uśmiechem. Utrzymał ten stan przez chwilę, a następnie spojrzał z nadzieją na Jacka. – I jak?

– Proszę się nie gniewać, panie Janku, ale chyba będziemy musieli poszukać dla sądu naprawdę mocnych dowodów.

Antykwariat Antoniego Gelberga odwiedzały bardzo różne jednostki. Byli wśród nich również ludzie przyzwoici, chociaż stanowili jednak mniejszość, bo pan Antoni miał przecież opinię człowieka specjalizującego się w towarach okazyjnych. A takie nie mogą mieć metryki bez zarzutu, która przyciąga uczciwych nabywców. Nie oznaczało to, broń Boże, że pana Antoniego można było nazwać paserem. Co to, to nie, w przytłaczającej większości handlował on towarami, które w pewien sposób mogły się wykazać legalnością. Nie należało jedynie tej legalności zaglądać zbyt mocno pod podszewkę, bo gdzieś tam rzeczywiście mógł się znaleźć jakiś ślad, który psułby humor nabywcy. I wzbudzał lekkie drżenie serca co do tego, czy kiedyś jednak jakiś zapomniany spadkobierca nie odświeży sobie pamięci.

Dlatego też obsługująca klientów rudowłosa Helena wciąż dość często nakładała słuchawki na uszy, a pan Antoni nie dziwił się, gdy któryś z klientów prosił o towar, lękliwie się jąkając lub oglądając za siebie. W ogóle nie wprawiał go w zdumienie żaden z klientów i do każdego z nich podchodził z wielkim zrozumieniem i wyrozumiałością dla jego słabości. I witał go niemal chlebem i solą.

Wyjątkiem był tylko niejaki Klempuch, lichwiarz, który wciąż uparcie przypominał panu Antoniemu o czasach raczej mało chwalebnych. O czasach, które antykwariusz chciałby wymazać ze swojej przeszłości. O czasach, w których przyciśnięty okolicznościami nie działał jak teraz na granicy prawa. To uważał za rzecz może niezbyt chwalebną, ale nieuniknioną przy handlu dziełami sztuki i antykami, które od stuleci zmieniały swoich właścicieli w bardzo zróżnicowanych okolicznościach. Ale ów Klempuch znał prawdę o czasach, gdy pan Antoni działał dość daleko poza granicami prawa. Dlatego Gelberg cieszył się, że lichwiarz nigdy nie był osobiście w jego antykwariacie, a jedynie czasem dzwonił.

Prędzej jednak Gelberg mógł się spodziewać jego niżli tej osoby, którą zobaczył w tej chwili w drzwiach.

– Pani Irmino... Co pani tu robi?! – zapytał przerażony antykwariusz i machnął ręką na Helenę, co było znakiem, by zaczęła słuchać muzyki. Było to zbędne, bo jego zdyscyplinowana pracownica od razu wyczuła, co ma zrobić.

– Wydawało mi się, że tu można coś nabyć? – spojrzała na niego ironicznie pani Bamber.

– No tak... ale pani... u mnie?!

– Uznałam, że z pewnych względów pan wyjątkowo się postara, żebym nie kupiła byle czego.

– Ależ naturalnie – Gelberg skłonił się z uśmiechem. – A co to ma być?

– Biurko. Duże, solidne, wzbudzające respekt. Bezwarunkowo.

– Oczywiście. A dla kogo? Naturalnie jeśli mogę wiedzieć...

– Dla pana Przypadka. Urządzam mu biuro. Ma pan coś odpowiedniego na podorędziu?

Gdyby w biurze jego ojca pojawiły się w tak dużej ilości kwiaty, Jacek nie miałby wątpliwości, że mecenas Przypadek ma nową kochankę, która jest florystką. Zbyt dobrze znał jednak Sakowicza seniora, aby posądzać go o jakąkolwiek rzecz, która mogłaby się nie spodobać jego żonie. A z pewnością posiadanie kochanki taką rzeczą było. Dlatego ogromna ilość kwiatów, którą zastał w sekretariacie i w gabinecie swojego przyjaciela Błażeja, z całą pewnością nie mogła być dziełem szalonej florystki, która wpadła w oko staremu Sakowiczowi.

– Te kwiaty to nowy pomysł twojej mamy? – zapytał Błażeja, który w tej chwili zapoznawał się z przyniesionymi przez niego dokumentami.

– Niestety. Postanowiła ożywić kancelarię – uśmiechnął kwaśno Sakowicz junior.

– No tak – ze zrozumieniem pokiwał głową Jacek, który był przyzwyczajony do coraz to nowych hobby mamy Błażeja, nu-

dzącej się widocznie w roli pani domu. – I co, masz jakiś pomysł? – wskazał trzymane przez przyjaciela papiery.

– Ja się wprawdzie specjalizuję w prawie autorskim, ale z tym nie będzie łatwo. Na razie mam za mało danych, musiałbym coś głębiej pokombinować – odłożył papiery i wstał, sięgając po swoją teczkę. – Ale mówiłeś, że to chyba klient twojego taty?

– Raczej już niedługo.

– Dlaczego?

– Bo ludzie są banalnie przewidywalni.

– A coś więcej?

– Ta sprawa irytuje ważne persony. Ojciec nie lubi takich spraw.

– Coś mi to przypomina – z niezadowoleniem pokręcił głową Błażej, który kończył pakować do teczki dokumenty na spotkanie z klientem. – Dlatego nie wspomnij przypadkiem mojemu tacie, że zgodziłem ci się pomóc.

– Dostałbyś burę?

– On uważa, że tu nie Ameryka, my jesteśmy porządnymi adwokatami, nie możemy oskarżać ludzi na stanowiskach, to nie wypada, nasze rodziny znają się od pokoleń i tak dalej – Błażej postanowił spróbować sparodiować Sakowicza seniora, nie zauważając, że w gruncie rzeczy parodiuje samego siebie. – „Zarabiamy dobrze, wystarczy nam to, co mamy”. Czemu się śmiejesz?

– Przypomniało mi się, że mój mówi do mnie dokładnie na odwrót: „Tracę tylko przez ciebie pieniądze”.

– A co, musiałeś coś znowu pożyczyć?

– On traci w innym sensie. Gdybym był adwokatem, to nasza rodzina mogłaby więcej zarabiać. A jeśli nie zarabia, to znaczy, że traci. Wyskoczmy jutro coś wyrwać?

Błażej chwycił teczkę, uśmiechnął się, jakby właśnie przed chwilą oświadczyła mu się aktualna Miss Świata, i rzucił od niechcenia:

– Tym razem będziesz musiał zapolować sam. Na jutro się ustawiłem z supersztuką.

– Z kim? – zapytał z grzeczności Jacek, bo komu jak komu, ale jemu nie wolno było się dziwić sukcesowi przyjaciela.

– Zobaczysz. Szczeka ci opadnie.

Przeszli do sekretariatu, gdzie stał Sakowicz senior zaopatrzony w wielką chustkę do nosa, której właśnie teraz używał, nie przestając przy tym czytać papierów podsuwanych mu przez jego podwładną. Na wychodzących zerknął tylko przelotnie, skrzywił się i wydmuchał manifestacyjnie nos.

– Tato, wychodzę na spotkanie z panem Klempuchem – Poinformował ojca Błażej. Sakowicz senior tylko kiwnął głową na znak, że słyszał.

– Ja jeszcze skorzystam z toalety – rzucił do przyjaciela Jacek i podał mu dłoń na pożegnanie.

– Na razie – powiedział Błażej i każdy z nich skorzystał z właściwych drzwi. Kiedy tylko zamknęły się one za obydwo-
ma, Sakowicz senior wydał polecenie sekretarce.

– Pani Doroto, proszę poprosić do mnie pana Przypadka, jak już skończy... wie pani co.

Tak było zawsze, kiedy pan Fryderyk poznawał młodą, interesującą osobę. Od razu ubywało mu trochę lat i dziwnym trafem siwizna jego czupryny robiła się dużo delikatniejsza. Krok stawał się coraz bardziej sprężysty, bo musiał teraz nadą-
żać za dużo młodszym, energicznym krokiem. Szczególnie że młodszy krok tym razem należał do osoby przebojowej, am-
bitnej, bezwzględnie dążącej do sukcesu. Ale cóż, w końcu to
żurnalistka.

Pan Fryderyk, jak zwykle elegancki, chciał już wyjść na spotka-
nie z owym energicznym krokiem, kiedy coś mu się przypomniało.

– Marzenko, ty kojarzysz sprawę tego Fredry?

– Tak, sprawa o kradzież sztuki przeciwko Karasińskiemu-
-Wołkowyjskiemu.

– Aha, już wiem.

– A o co chodzi?

– Umówił się ze mną jutro na spotkanie adwokat drugiej strony. Jakiś Sawczuk-Keller, nie kojarzę go. Nie wiesz, czy on ma coś wspólnego z mecenasem Kellerem?

– To jego zięć. Studiował z nami... znaczy ze mną i Jackiem na roku.

– Dobry?

– Podobno niezły. Ale najmocniejszy jest poza salą. Ma znajomości i wśród polityków, i podobno nawet w mafii.

– Na tak, mecenas Keller reprezentował kiedyś jakiegoś szefa tego „Wołomina”... Niedobrze – zmartwił się pan Fryderyk.

– A ten Fredro dostarczył nam jakieś dowody?

– Na razie nie. Ale Jacek się już tym zajął.

– On się wciąż bawi w tego detektywa?

– Ma nawet coraz lepsze efekty.

– Boże, na co mi przyszło – pan Fryderyk załamał ręce. – Syn detektyw. Będę musiał do niego zadzwonić i spytać się, czy coś ma.

– Ja się widzę z nim dziś wieczorem – spłoniła się lekko Marzena i wbiła wzrok w papiery przed sobą. Pan Fryderyk spojrział na nią uważniej, dlatego dodała. – Zaprosił mnie na kolację. Na przyjacielską kolację – uzupełniła, żeby nikt nie mógł mieć wątpliwości, jaki charakter będzie miało to spotkanie.

Słynne ogrody Semiramidy zapewne spaliłyby się ze wstydu, gdyby mogły zobaczyć w tej chwili gabinet Sakowicza seniora. Tak naprawdę miejsce to obecnie bardziej wyglądało jak filia ogrodu botanicznego, a nie kancelaria poważnego pana mecenasa. Zamiast jednak śpiewu rajszych ptaków słyszeć było jedynie rytmiczne wydychanie nosa.

– Drogi Jacku... jeśli oczywiście mogę tak do ciebie... Aaaaaa psik – Sakowicz senior musiał przerwać rozmowę na rzecz intensywnego wydychania nosa. – Diabelny katar, męczy mnie od paru dni, chyba będę się musiał przejść do lekarza.

– Proszę mu powiedzieć, że ma pan alergię i niech panu coś na to da.

– Co proszę? Nie rozumiem?

– Wprawdzie mógłby pan zmienić wystrój gabinetu, ale na to pan z pewnością zbyt mocno kocha swoją żonę.

– Moją żonę? Co ona do tego ma?

– Jest pan uczulony na któryś z gatunków kwiatów, które tu panu ostatnio wstawiła.

– Ależ skąd, ja na nic nigdy nie byłem uczulony. To zwykły katar.

– A pana zaczerwienione oczy?

– Nie wiem. To pewnie od tego laptopa.

Jacek wstał i podszedł do Sakowicza, a następnie bezceremonialnie przekręcił laptopa do góry nogami i przyjrzał mu się uważnie.

– Bardzo pan dba o swoje sprzęty, ale sądząc po odchodzącej naklejce z tyłu ekranu, ma pan go już pewnie z rok. Gdyby od niego czerwieniały panu oczy, zauważyłby pan to już dawno i coś z tym zrobił – przyłożył dłoń do czoła Sakowicza seniora. – Gorączki pan nie ma, więc to pewnie... – pokazał na bujną roślinność pleniącą się w każdym możliwym i niemożliwym miejscu.

– Ja wiem, że ty teraz jesteś jakimś detektywem, ale chyba nie lekarzem?

– Ma pan rację. Moja diagnoza jest postawiona jedynie na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, dlatego może ją pan absolutnie zignorować. Ale proszę samemu sprawdzić, czy w domu dolegliwości nie ustępują, a nasilają się w pracy... – Jacek usiadł z powrotem na swoim krześle. – Ale pewnie nie o katarze pan chciał rozmawiać?

– Istotnie. Chodzi mi o Błażeja. On jest jeszcze niedojrzały.

– Ma trzydzieści lat – zauważył ostrożnie Przypadek.

– Ale jest niedojrzały emocjonalnie. Przecież ja wiem, że on uważa, że wszystkie kobiety świata marzą o małym *tête-à-tête* z nim. I to z jego wyglądem! Ja bym rozumiał, gdyby był choć

trochę podobny do mnie – Sakowicz senior nigdy nie przyjmował do wiadomości, że swoją fizys Błażej odziedziczył po nim.

– Co pan proponuje? – przeszedł do konkretów Przypadek.

– Myślę, że trzeba go otoczyć specjalną opieką, szczególnie teraz... żeby nie stało mu się nic niestosownego. Słowem uważam, że dla naszego wspólnego dobra powinienś mi dać zapasowe klucze do tego mieszkania Błażeja.

Podkomisarz Łoś przyglądał się serii powiększonych zdjęć, które leżały przed nim na biurku. Wszystkie były niewyraźne, rozmazane. Ale cóż, nie był zawodowym fotografem, a obiekt jego zainteresowania nieustannie się poruszał. Wiecznie tylko machał tymi swoimi chudymi rączkami i odpalał jednego papierosa od drugiego.

– Co to za kobieta? – zapytał ciekawie Smańko, który nie wiadomo kiedy znalazł się tuż obok Łosia. Podkomisarz podskoczył nerwowo na krześle.

– A co wy się tak do mnie skradacie, Smańko?

– Ja? Ależ skąd, panie komisarzu. Wszedłem głośno, tylko pan tak siedział, nieruchomo się wpatrując w te zdjęcia.

– Dobra, dobra, Smańko, myślicie, że ja nie wiem, co się o mnie mówi?

– No... co się mówi? – zapytał asekuracyjnie starszy aspirant, choć zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co się mówi.

– Smańko! – przywołał podwładnego do porządku Łoś. Aspirant zrozumiał, że udawanie niewiedzy nic nie da i teraz należy przejść do osiągnięcia kolejnego strategicznego celu.

– Ale ja, panie komisarzu, wcale nie uważam, że pan ma obsesję na punkcie tego Przypadka. To znaczy, inni coś tam szepczą...

– Szepczą?! Inspektor Zasada dał mi to przedwczoraj jasno do zrozumienia. I pewnie wam też. No, przyznajcie się, pewnie wam zlecił, żebyście mi czasem patrzyli na ręce? No? Pytam się!

– Nie, skąd...

– Smańko!

– No... mówił, że to dla pańskiego dobra. Żeby pan nie stracił nosa, bo z pana dobry pies i szkoda by było, żeby jakaś prywatna obsesja...

– To nie jest żadna obsesja, Smańko! Ja tylko uważam, że on jest przeceniany, i muszę tego dowieść. I nie dla własnych korzyści, ale dla dobra naszej służby. Żeby ludzie bardziej poważali policję.

– Tak, tak... – przytakiwał Smańko, zastanawiając się jednocześnie, czy warto jest jeszcze przytakiwać.

Jeszcze dwa tygodnie temu Łoś był na ustach wszystkich, był bohaterem, który wkrótce mógł się spodziewać awansów. Rozwikłanie „afery willowej” było nie lada sztuką, przysporzyło mu punktów u kierownictwa i wydawało się, że na jakiś czas poprawi notowania policji. Tymczasem wkrótce po konferencji prasowej media obiegała informacja, że sprawę tak naprawdę rozwiązał detektyw amator, a policji pozostało jedynie zamknąć przestępcę. Nie było to wprawdzie powiedziane wprost, raczej zasugerowane. Ale to wystarczyło, aby na mieście z powrotem stały się modne dowcipy o niezbyt rozcgarbiętych policjantach, co to prochu nie wymyśla. Zaś akcje podkomisarza Łosia u przełożonych znacznie spadły.

– Czy wy mnie w ogóle słuchacie, Smańko?!

– Oczywiście, panie komisarzu.

– To co ja mówiłem?

– No, że... – zawahał się starszy aspirant, a Łoś tylko nerwowo zagryzł wargi. Jeszcze niedawno za niewysłuchiwanie się w jego słowa objechałby podwładnego na całego. Ale teraz mógł być wkrótce zdany wyłącznie na jego pomoc.

– Mówiłem, że musimy dowieść, iż on jest przeceniany. Dlatego trzeba się przyjrzeć tej kobiecie i ustalić o niej wszystko, co się da – popukał palcem w wykonane przez siebie fotografie.

– Nazywa się Magda Karasińska-Wołkowyjska.

– Karasińska-Wołkowyjska... Ona ma coś wspólnego z tym pisarzem?

– Jakim pisarzem?

– Żona mnie ciągnie na jakąś jego sztukę. Nazywa się *Trzynaste krzesło* czy jakoś tak.

– *Trzynaste krzesło*, powiadacie – tytuł wyraźnie przypadł do gustu Łosiowi. – Coś sporo tych trzynastek w życiu tego Przypadka. Mam nadzieję, że chociaż ta okaże się dla niego pechowa.

Przypadek gotował rzadko, repertuar jego potraw był raczej ubogi i wszystkie je można było policzyć na palcach jednej ręki. Za to doszedł w ich pichceniu do perfekcji. W tej chwili kończył właśnie przyrządzać swoje popisowe danie, którego nazwa nie brzmiała zbyt imponująco, za to smak wynagradzał tę nomenklaturową niedoskonałość. Już sam zapach zapowiadał niemal ucztę bogów, a zapach był przecież tylko grą wstępną do całej kolacji.

Jednak Marzenę w tej chwili bardziej niż owa woń interesował nowy mebel, który pojawił się w pokoju służącym do tej pory za salon, jadalnię i wszystko inne, co nie wiązało się ze spaniem. Mebel ten nie pasował aplikantce do żadnej z rozlicznych funkcji tego pomieszczenia ani nawet do całego mieszkania i osoby jego właściciela. Był wielki, solidny i wiekowy. I na dodatek zajął miejsce stołu, przy którym spodziewała się zjeść kolację.

– Skąd masz to biurko? – zapytała Marzena.

– To prezent od pani Irminy, jeszcze za te obrazy – krzyknął z kuchni Jacek i po raz ostatni spróbował potrawy.

Uznał, że osiągnęła już szczytową formę, sięgnął po talerze, zaś Marzena wciąż przypatrywała się biurku. Przypadek potrafił ją zaskakiwać nieustannie, choćby swoim detektywistycznym hobby,

i zdążyła się już do tego przyzwyczaić. Ale fakt wejścia w posiadanie biurka zdziwił ją w jakiś inny, niezwykle i niespotykany dotąd sposób. Jakby miała przeczucie, że „wprowadzka” mebla oznacza coś dużo więcej niż zwykłą zmianę wystroju wnętrza.

– Chodź, już jest gotowe – zawołał Jacek.

– Po co ci to biurko? – Marzena weszła do kuchni i usiadła przy stole.

– Pani Irmiona postanowiła, że z jedzeniem mogę się całkiem przenieść do kuchni, ale klientów muszę przyjmować w odpowiednim miejscu – Przypadek postawił przed Marzeną talerz i spojrzał krytycznym okiem na kompozycję potrawy, jak malarz na skończony właśnie obraz.

– Słuszna postawa... A właśnie, jak twoja najnowsza sprawa?

– W toku.

– A konkretnie?

– Chwilowo brak mi punktu zaczepienia. Czekam na materiały od byłej żony Karasińskiego-Wołkowyjskiego. I muszę wykorzystać dziewczynę Błażeja.

– Słucham!? – Marzena, która nabrała na widelec pierwszy kęs potrawy, zakrztusiła się nim.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie jest smaczne? – zasmutił się Przypadek i delikatnie poklepał ją po plecach. – Naprawdę bardzo się starałem.

– Przestań – Marzena odepchnęła jego dłoń. – Przecież wiesz, o co pytam?

– Wiem i to smutne, że jesteś, tak jak wszyscy, banalnie przewidywalna. Naprawdę uważasz, że Błażej nie może mieć dziewczyny?

– Nie odpowiem ci na to, bo znów uraczyłbyś mnie tym swoim przewidywalnym banałem – uśmiechnęła się Marzena i nabrała na widelec trochę potrawy. Kątem oka spostrzegła zdjęcie Basi stojące na półeczce i pomyślała, że to świetny pretekst do zmiany tematu rozmowy. – Wszystkie przyjmujesz w jej asyście?

– Zwykle odwracam ją do ściany, żeby nic nie widziała – uśmiechnął się szelmowsko Przypadek, ale jego gościa nie rozbawił ten dowcip.

– Wiesz, chyba jednak myślę, że ty się z niej wyleczyłeś. Tylko zrobiłeś z niej pretekst, żeby się z nikim nie wiązać.

– Ciekawa teoria – Jacek spróbował dania i sam sobie musiał przyznać, że wyszło mu znakomicie. – Ma jakiś ciąg dalszy?

– Lubisz to, że każda chce cię wyleczyć z tragicznych wspomnień o byłej narzeczonej. Dobrze wiesz, jak to działa na kobiety.

– Ciebie też to kręci?

Niestety, nawet najlepsze danie przyprawione zbyt dużą dozą ironii przestaje smakować. Marzena odłożyła widelec i zmierzyla gospodarza długim niechętnym spojrzeniem, po którym również on stracił apetyt.

– Po co właściwie mnie zaprosiłeś na kolację?

– Chciałem okazać wdzięczność za podrzucenie klienta.

– Tanio mnie obliczyłeś.

– Oj, a było tak miło – westchnął Przypadek, choć wiedział, że pretensje za popsucie nastroju może mieć wyłącznie do siebie. – Po prostu uznałem, że tak będzie sympatyczniej niż w knajpie. Bo co to za sztuka wydać parę złotych z wdzięczności? – spojrzał przepaszająco na Marzenę, robiąc minę zbitego psa. Liczył, że i tym razem mu się upiecze. Bo był mistrzem zarówno w psuciu dobrego humoru, jak i w jego przywracaniu.

– Może i masz rację – Marzena chwyciła widelec i nadziała na niego mały kęs Przypadkowego specjału. – Ale następnym razem, jak będziesz się chciał odwdziżyć, pamiętaj, że lubię muzykę klasyczną i chętnie odwiedzę filharmonię.

– Będę pamiętał – z radością pokiwał głową Przypadek i ponownie chwycił za widelec.

– Chociaż to twoje jedzenie też jest całkiem dobre – stwierdziła Marzena i od tej pory żadne niepotrzebne przyprawy nie psuły im apetytu.

Pani Magda Karasińska-Wołkowyjska od samego rana zbierała się, by odwiedzić Przypadka i zanieść mu zebrane przez siebie materiały. Ale kiedy przy kawie robiła codzienną prasówkę, natknęła się na niesłychanie niepokojącą rzecz. Otóż w dwóch różnych miejscach przeczytała, że jej były mąż wyjeżdża na Bali. Ogromnie ją to zdziwiło, bo do tej pory wypoczywał jednak głównie w kraju. Czasem tylko bywał w Niemczech, gdzie jego twórczość miała dobrą prasę i gdzie dość często go wciąż wystawiono. Były to jednak wyjazdy bardziej służbowe, a odpoczynek był tylko do nich dodatkiem. A tu nagle ten wyjazd na Bali...

Nie, to nie może być taki zwyczajny wyjazd. Ten wyjazd musi mieć jakiś głębszy kontekst, jakieś podwójne dno. Rozmyślanie nad tym zajęło pani Magdzie Karasińskiej-Wołkowyjskiej cały poranek i kosztowało ją dwie paczki papierosów. Dopiero gdy kończyła drugą z nich, spłynęło na nią olśnienie.

„Tak, to musi być to! A to drań, ja mu dam!”.

Błyskawicznie zabrała się do sprawdzania swojej teorii. Obdzwoiła połowę wspólnych znajomych, potem skontaktowała się z notariuszem, a następnie przeszukała w Internecie wszystkie portale zajmujące się handlem nieruchomościami. Nie znalazła kompletnie nic, co by potwierdzało jej teorię. Dlatego mogła być absolutnie pewna, że jej podejrzenia są stuprocentowo słuszne.

Teraz należało się jeszcze zastanowić, jak może przeszkodzić w realizacji planów byłego męża. Ponieważ ta myśl zaprzętała jej całkowicie głowę, wychodząc do Przypadka, garderobę skompletowała w sposób absolutnie niedbały. Choć ktoś oczywiście mógłby powiedzieć, że raczej zrobiła to ekstrawagancko lub oryginalnie. Ktoś inny mógłby jeszcze dodać, że bardzo oryginalnie, a złośliwiec spuentować, że bez cienia gustu. Ale ten złośliwiec byłby z pewnością napuszczony przez byłego męża pani Magdy, więc nie będziemy sobie nim zawracali głowy.

Pani Karasińska-Wołkowyjska tak była pochłonięta planowaniem zemsty na byłym mężu, że nie zauważyła, że trzykrotnie okrążyła kamienicę przy ulicy Koneckiej 40. Uszło także jej uwadze, że dzwoniła domofonem przez blisko kwadrans, nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi. Bo za każdym razem, gdy dotykała właściwego przycisku, wydawało jej się, że robi to pierwszy raz. I być może tak tkwiłaby przed kamienicą przez kolejnych kilka godzin, gdyby szczęśliwie dla niej nie nadeszła pani Irmina.

– Dzień dobry, pani Magdo. Jacka raczej nie ma.

– Co? – Karasińska-Wołkowyjska spojrzała półprzymkniętymi oczami i dopiero po chwili skojarzyła, skąd ją zna. – Co pani mówiła?

– Że pana Przypadka raczej nie ma, bezwarunkowo. O tej porze zwykle ma popołudniowy trening przed maratonem.

– Aha. Przyniosłam mu kasetę, o którą prosił – podała pani Irminie kasetę. – Nie wie pani, czy już wpadł na jakiś trop?

– Chyba jeszcze nie.

– Bo ja mam pewne podejrzenia.

– Proszę, niech pani wejdzie – Irmina Bamber otworzyła drzwi na klatkę i chciała wpuścić Karasińską-Wołkowyjską.

– Nie mam czasu. Muszę coś wymyślić, żeby ten drań nie uciekł.

– Pani były mąż?

– Tak. On planuje wyjechać na stałe z kraju.

– Dokąd?

– Na Bali. Czuje, że grunt mu się pali pod nogami. Wie pani, że nawet notariusza nie odwiedził?

– Czemu miałby go odwiedzać?

– No gdyby sprzedawał dom, to musiałby to zrobić.

Pani Irmina poczuła się coraz bardziej skolowana takim rozumowaniem Karasińskiej-Wołkowyjskiej. I to tak mocno, że nawet była gotowa przysiąc, że zakręciło jej się od tego w głowie. Zapytała jeszcze jednak:

– A po co miałby sprzedawać?

– Pani Irmino, żeby mieć pieniądze, jak ucieknie za granicę. Ale widać jest taki bogaty, że milion w tę lub we w tę nie robi dla niego różnicy. Ważniejsze jest dla niego, żeby nikt się nie zorientował, że chce zwać. Ale ja go zbyt dobrze znam, mnie nie oszuka.

Pani Irmina uznała, że czas się pożegnać. I to jak najszybciej, bo inaczej może dojść do wypadku, kiedy zawroty głowy staną się u niej tak silne, że nie będzie mogła utrzymać równowagi. Przytrzymała się drzwi i przestąpiła próg kamienicy, rzucając zdawkowe:

– Skoro tak pani mówi...

– Ja to wiem! – krzyknęła w domykającą się szparę drzwi Karasińska-Wołkowyjska. – Ani grosza od niego nie dostałam po rozwodzie. Tak wszystko cwaniak poukrywał na zagranicznych kontach.

– Tak, tak. Do widzenia – powiedziała pani Irmina, zadowolona, że została oddzielona od swojej rozmówczyni grubą taflą szklanych drzwi.

– Ale ja mu nie dam zwać – oświadczyła już do samej siebie Karasińska-Wołkowyjska. I w tym momencie, kiedy spojrzała w perspektywę ulicy przeciętą definitywnie torami tramwajowymi naszła ją zbawienna myśl, która rozjaśniła jej oblicze. – Wiem! – zakrzyknęła. – Muszę go tylko dobrze wyczekać, a potem załatwić – dodała jeszcze pod nosem i poszła realizować swój plan.

Przypadek czuł, że jest w świetnej formie. Przede wszystkim zaliczył udany wieczór z Marzeną, po którym miał nadzieję, że ich narzeczeństwo da się jeszcze odrobinę przedłużyć. Dlatego wstał w wybornym humorze. Ranny i popołudniowy trening były niezwykle udane i chętnie jeszcze przedłużyłby zwyczajowo-

wą trasę, którą codziennie przebiegał. Ale wiedział, że nie powinien tego robić, bo czekał go intensywny wieczór, na który musi zebrać sporo sił.

Gdy wszedł do Zakrapialni, na sali było już kilka osób. Przywitał się z paroma starymi znajomymi, a potem rozejrzał się uważniej w poszukiwaniu bratniej duszy, która jeszcze nie jest pewna, z kim chce spędzić resztę wieczoru. Po kwadransie trzymał w rękach dłoń sympatycznej, krótko obciętej brunetki.

– Twoja linia serca kończy się między środkowym a wskazującym palcem, co oznacza powodzenie w miłości – Jacek z prawdziwą fascynacją i zaangażowaniem przyglądał się dłoni brunetki. – A poza tym linia talentów zaczyna się z linii serca, co zapowiada wielką miłość – chciał powiedzieć coś jeszcze, ale wtedy zauważył, że ktoś uważnie mu się przygląda, uśmiechając się przy tym ironicznie.

– Kogo widzą moje piękne oczy? Słynny pan Przypadek.

– Cześć, Aniu. Poznaj, to jest...

– Zapewne ktoś bardzo ważny, skoro wróżysz jej już z ręki, choć na pewno na początku zaznaczyłeś, że robisz to bardzo niechętnie, ale ta dłoń jest wyjątkowa. – Redaktor Sobania spojrzała z uśmiechem na brunetkę i zapytała: – linia serca kończy się między środkowym i wskazującym palcem, co oznacza powodzenie w miłości?

Brunetka, również z uśmiechem, pokiwała twierdząco głową. Następnie zabrała swoją rękę oraz całą bardzo zgrabną postać i odeszła do stolika znajomych. Jacek z żalem odprowadzał wzrokiem jej powabne kształty, ale nie miał wątpliwości, że ten pociąg już odjechał.

– Widzę, że masz dobrą pamięć – rzucił do dziennikarki, nie odrywając spojrzenia od brunetki.

– Ależ skąd. Już zapomniałam, jak ostatnio wystawiłeś mnie do wiatru.

– Ja? – zdziwił się Jacek.

– Stałam jak głupia pół godziny przed twoimi drzwiami, żeby pogadać o tych znaczkach.

– Sprawa już była rozwiązana, a ja poradziłem sobie bez tej informacji.

– Ale jednak trochę ci pomogłam, prawda? Drzwi chyba mogłeś mi otworzyć? I nie mów, że cię nie było w domu, bo się paliło w twoim oknie światło!

– A byliśmy umówieni? Bo wydawało mi się, że miałem najpierw zadzwonić?

– Ale przechodziłam właśnie obok...

– W seksownej sukience i z butelką wina w ręku?

Ania mogła bez problemu odparować nawet tę ripostę, ale uznała to za stratę czasu. Przecież nie przyszła tu po to, żeby spierać się z Jackiem, ale żeby pochwalić się asem w rękawie. I to jakim asem. Chciała go jak najszybciej pokazać Przypadkowi, żeby móc się delektować jego beczennie zdziwiona miną.

– Dobrze, nie kłóćmy się już o to. Było, minęło. Powiedz lepiej, jak tam twoja sprawa plagiatu?

– Kradzieży sztuki.

– Niech będzie, kradzieży. Nie dziwi cię, skąd o tym wiem?

– Ani trochę. Ale cieszę się, że o tym wspominasz, bo potrzebowałbym, żebyś napisała o tym notkę w gazecie.

– Po co?

– Bo to interesująca informacja i aż dziw, że żadna gazeta na razie o tym nie wspomniała.

– Chcesz ode mnie kolejnej przysługi, nic nie dając w zamian?

– Ależ skąd. Ja ofiaruję ci niepopsucie dzisiejszego wieczoru, który może być dla ciebie bardzo interesujący.

– Skąd wiesz? – spojrzała na niego zaniepokojona. Czyżby czegoś się dowiedział?

– Bo ludzie są banalnie przewidywalni, Aniu. A Błażej to świetny facet, który nie zasługuje na to, żeby usłyszeć, że umówiłaś się z nim tylko dlatego, żeby zrobić mi na złość.

To była tylko krótka notka na drugiej stronie, ale bardzo popsuła humor mecenasowi Sawczukowi-Kellerowi. W końcu „Nowe Życie” to poważna, duża gazeta i skoro zapowiada informowanie na bieżąco o przebiegu sprawy kradzieży sztuki, to jest się czego obawiać. Media nie raz już przecież utrudniały właściwe załatwienie pewnych, prostych z pozoru spraw. Może dojść nawet do tego, że sędzia, w strachu przed opinią publiczną, zdecyduje się wydać wyrok w ogóle niezważający na pozycję społeczną, autorytet i szacunek, jakim się cieszył jego klient!

Dlatego Sawczuk-Keller poczuł, że musi zintensyfikować działania, zanim sprawa nabierze rozmachu i zainteresuje szersze grono odbiorców. Przede wszystkim trzeba się odpowiednimi kanałami skontaktować z naczelnym „Nowego Życia”, żeby jakoś spacyfikować tę dziennikarkę, która ma o tym pisać. Z mecenasem tego Fredry jest już na szczęście umówiony. Nie wiedział tylko, że jego syn został detektywem, w dodatku słynnym. Tak, z nim mogą być problemy, za dobrze pamiętał go z czasów studiów. Bezczelny gówniarz, wszystkich strasznie irytował tymi swoimi uszczypliwymi uwagami. Mało kto go lubił, poza paroma koleżankami. No i dało się zauważyć, że ma w głębokim poważaniu wszelkie autorytety. To niedobrze wróży jego postawie. Ale mimo wszystko trzeba będzie na niego spróbować wpłynąć. Przez jego ojca. I tego jego śmiesznego kolesia, któremu wydaje się, że lecą na niego wszystkie kobiety świata. Od niego będzie najlepiej zacząć, jest pod ręką, chyba nawet właśnie wychodzi z jakiejś rozprawy... I to jaki zadowolony, jakby wreszcie mu wyszło z jakąś kobietą...

– Dzień dobry, panie kolego, chciałem pogratulować panu poprowadzenia tej sprawy – Sawczuk-Keller skłonił się niemal wpół przed Błażem.

– Dziękuję bardzo – spojrzał na niego zdziwiony Sakowicz junior. Wprawdzie nie zauważył, aby Sawczuk-Keller bywał na

sali w trakcie rozpraw, ale skoro nie ma wątpliwości co do taktyki obranej przez Błażeja, to musiał się tym jednak interesować. – Sprawy o naruszenie praw autorskich to moja specjalność.

– Wierzę, nie chciałbym tego nigdy sprawdzać. Jeszcze raz gratuluję – Sawczuk-Keller odwrócił się na pięcie i wydawało się, że chciał odejść, ale jakaś ważka myśl przytrzymała go na miejscu. – Przepraszam, ale czy pan się nie kolegował z synem mecenasa Przypadka? – rzucił przez ramię.

– Tak.

– To dobrze, bo widzi pan, mam taką delikatną sprawę. On teraz jest jakimś detektywem czy kimś takim.

– Owszem.

– No właśnie i ostatnio przyjął sprawę hochsztaplera, który oskarża mojego klienta o kradzież.

– Pana klientem jest Karasiński-Wołkowyjski?

– Pan zna tę sprawę?

– Powiedzmy.

Błażej uśmiechnął się pod nosem, bo już domyślił się zamiarów swojego rozmówcy. Myliłby się bowiem ten, kto sądziłby, że Sakowicz junior ma problemy z generalną oceną rzeczywistości. Tak jak Przypadek był przenikliwym obserwatorem, osobnikiem niezwykle inteligentnym. A że jego rozum usypiał akurat w momencie, gdy w grę wchodziła jego atrakcyjność? No cóż, czy z ręką na sercu ktoś z nas może powiedzieć, że czasem jego rozum nie usypia w tych właśnie chwilach? Może i ten nasz sen jest nieco lżejszy niż u Sakowicza juniora, ale czy to pozwala nam na krytykę jego postawy?

– Czy oczekuje pan czegoś ode mnie? – zapytał rzeczowo Błażej.

– Ależ skąd. Tylko tak pomyślałem, że dobrze by było, gdyby pan dał mu przyjacielską radę, że nie warto się zajmować tą kwestią. Szanse na wygraną są minimalne. A można sobie niepotrzebnie wrogów narobić.

– Przekażę mu pańskie sugestie, ale za ich skutek nie ręczę. Jacek to trudny charakter – Błażej spojrzał kpiąco na Sawczuka-Kellera. – Obawiam się, że w jego przypadku takie prośby mogą się okazać przeciwnie skuteczne.

– Mam nadzieję, że wykaże się odpowiednim rozsądkiem – Sawczuk-Keller zrozumiał, że został rozgryziony i nie ma sensu bawić się dłużej w konwenanse. – Bo inaczej jego kariera detektywistyczna może się zakończyć bardzo szybko.

„Jak się nieoficjalnie dowiedziała nasza gazeta, słynny dramaturg Franciszek Karasiński-Wołkowyjski został oskarżony o kradzież swojej najnowszej sztuki, która gości już na scenach dwóch teatrów, a kolejne trzy przygotowują się do jej wystawienia. Jest to wspaniała współczesna komedia, już porównywana przez niektórych do *Zemsty*. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że o kradzież skarży pana Karasińskiego-Wołkowyjskiego niejaki Fredro! Sprawę można by potraktować jako żart, gdyby w jej rozwiązanie nie zaangażował się detektyw Jacek Przypadek, który wykrył słynną ostatnio sprawę »afery willowej«” – pani Irmina odłożyła gazetę na stół i spojrzała pytająco na Jacka. Ponieważ Przypadek wciąż był zajęty rozgrzewką przed treningiem, wzrok starszej pani nie doczekał się odpowiedzi. Dlatego musiały się o nią upomnieć usta: – Skąd oni to wiedzą?

– Ode mnie. Nie miałem punktu zaczepienia, dlatego postanowiłem zmusić przeciwnika do ruchu.

– Aha. Zwykle biegasz o innej porze, bezwarunkowo?

– Ale dzisiaj tata raczył mnie zaprosić do siebie na piętnastą. A ponieważ nie lubię tam chodzić, postanowiłem pobiec.

Podkomisarz Łoś najpierw przedał gazetę na pół. Potem obydwie połówki przedał na ćwiartki. Z ćwiartek zrobił ósemki. A z ósemek szesnastki. Z szesnastek zaś trzydziestki dwójki. Dalej już nie dał rady. Ale gdyby to było możliwe, podarłby gazetę na co najmniej sto tysięcy drobnych kawałeczków.

– Niech się pan komisarz nie denerwuje... – spróbował pocieszyć przełożonego starszy aspirant Smańko, zapominając, że są takie sytuacje w życiu człowieka, kiedy milczenie jest nie tylko złotem, ale czymś znacznie, ale to znacznie cenniejszym.

– Nie jestem żadnym komisarzem, Smańko! – eksplodował z siłą stu wulkanów Łoś. – Jestem podkomisarzem! I tak już pewnie zostanie.

– Ależ skąd, panie komisarzu, przecież awans ma pan zapewniony...

– Niby jak, Smańko?! Do tej pory jeszcze nie mieli odwagi łąać i tylko tak półsłówkami pisali, że to nie ja tę aferę willową rozwiązałem. A tu już proszę, czarno na białym twierdzą, że to niby ten Przypadek. – Załamany Łoś ukrył twarz w dłoniach. – A przecież ja właśnie za to...

– Ależ skąd, szefie – Smańko postanowił posłużyć się neutralnym określeniem, żeby nie narazić się na gniew przełożonego. Tak jakby to było w tej chwili możliwe. – Ten awans się panu po prostu należał.

– Oczywiście, że się należał! Tylko co z tego?!

– Niech pan się nie denerwuje...

– Jak mam się nie denerwować, Smańko?! A to – wskazał na mikroskopijne kawałeczki, które pozostały po „Nowym Życiu”, i pożałował, że nie kupił dwóch egzemplarzy. Albo trzech. A najlepiej wszystkich, żeby nikt więcej nie mógł przeczytać tych okropnych bzdur. – Jeszcze ktoś na górze to zobaczy i mi awans cofną, bo pomyślą, że to on rozgryzł tego Zarzyckiego! Czego się dowiedzieliście o tej Karasińskiej-Wołkowyjskiej?

– Na razie nie mam wiele. Poza tym, że ma obsesję na punkcie byłego męża.

– Jak to żona – uśmiechnął się kwaśno i podskoczył nagle ze strachu, bo na jego biurku odezwał się telefon. W pierwszej chwili chciał sięgnąć po słuchawkę, ale... – No odbierzcie, Smańko! Tylko jak to moja żona...

– Rozumiem, nie ma pana – Smańko posłusznie sięgnął po telefon. – Starszy aspirant... Aha... Tak, tak jest... Zaraz mu przekażę – odłożył słuchawkę. – Inspektor Zasada wzywa pana do siebie.

– No ładnie – podkomisarz Łoś wstał i dopiął guziki marynarki. – Wy też się możecie pożegnać z awansem – pogroził Smańce palcem.

Zaraz jednak, gdy tylko wyszedł ze swojego pokoju, jego groźna mina zaczęła wyraźnie łagodnieć, by nie powiedzieć truchleć. Każdy kolejny krok postawiony przez podkomisarza Łosia był jakby mniej stanowczy. A jego echo coraz delikatniej brzmiało w murach komendy. Każdy kolejny krok też w sposób niepostrzeżony był krótszy od swojego poprzednika. Te ostatnie przypominały już drobienie baletnicy na puentach. Ostrożne, delikatne kroczyki, po których podkomisarz niemal nie zbliżał się do celu. Zresztą, jakby zasmakowawszy w tanecznej konwencji, Łoś wykonał nawet kilka piruetów, zawracając z drogi, która nie mogła go doprowadzić do niczego dobrego.

Ale cóż, nie miał wyjścia. Wyrok został wydany i był pewien, że zaraz znajdzie się przed swym katem, który bezlitośnie wykona egzekucję, zakładając na jego szyję pętlę. Jedyne, co mu pozostało, to gra na zwłokę. Tych kilka chwil więcej, kiedy będzie mógł chociaż sam dla siebie chodzić w glorii człowieka, który rozwiązał „afere willową”.

Spacer skazanego na powieszenie nie może jednak trwać wiecznie, choć podkomisarz Łoś szczerze by sobie tego życzył. Kiedyś jednak trzeba dojść do szubienicy i spojrzeć w zwisającą z niej

pętle. A potem to już najlepiej zamknąć oczy. Zwłaszcza, jeśli się zobaczyło na biurku przełożonego egzemplarz „Nowego Życia” otwarty na stronie, której się wołało nigdy w życiu nie widzieć.

– Wydawało mi się, Łoś, że macie do mnie bliżej – inspektor Zasada uśmiechnął się krzywo na widok swojego podwładnego.

– Dzwoniłem już do was dobry kwadrans temu.

– Naprawdę? Jak ten czas szybko leci. Jeszcze wczoraj wszystko było inne, a dzisiaj...

– Co wy bredzicie, Łoś?

– Ja? Co? A nic takiego – podkomisarz wpatrywał się teraz w gazetę wzrokiem wygłodzonego narkomana, który chciałby rzucić się „na działkę” i wepchnąć ją w siebie jak najszybciej.

– Łoś, czy wy się dobrze czujecie?

– Absolutnie, panie inspektorze. Tylko chciałem powiedzieć, że ja się w ogóle nie zajmuję tym Przypadkiem.

– Którym przypadkiem?

– No... tym, o którym pan myśli.

– A skąd wy wiecie, o czym ja myślę? Telepatą jesteście?

– No nie. Ale ta gazeta... I ten artykuł...

– Aha, czyli już czytaliście.

– Tak... To znaczy nie.

– To czytaliście w końcu czy nie?! – zirytował się Zasada.

– To znaczy... czytałem. Ale kompletnie nie wiem, co tam jest napisane!

– Łoś, jak nie zaczniecie gadać do rzeczy, to ja was zaraz zdegraduję do zwykłego krawężnika!

„To nie może być kwestia wyłącznie tego artykułu. To na pewno jeszcze ta przeklęta Bamber i te jej legendarne kontakty – Łoś zgrzytnął zębami. – Pewnie rozmawiała z Zasadą i jeszcze ponaciskała różnych ludzi, żeby tylko pognębić mnie”.

– Ale panie inspektorze ... To nie jest tak. Tę aferę willową to naprawdę rozwiązałem ja. Daję słowo. On tylko wskazał mały trop! Ale pan wie, ci dziennikarze zawsze wszystko pokręca.

– Łoś, dla mnie afera willowa to już przeszłość. Mnie interesuje sprawa tej kradzieży sztuki, którą się zajął ten Przypadek? Wiecie coś na ten temat?

– Ależ skąd, przecież nikt mi nie zlecał tego śledztwa.

– To ja wam je teraz zlecam. Znacie tego Przypadka, więc sobie z tym najlepiej poradzicie.

– Mam z nim współpracować? – podkomisarz Łoś zrobił płaczliwą minę.

– Macie mu patrzeć na ręce. Zwróciło się do mnie kilka ważnych osób, które są zaniepokojone tym, że jakiś detektywina bierze się za śledzenie porządných ludzi. Jeszcze dogrzebie się czegoś niepotrzebnego. Słowem, Łoś, macie zebrać porządny materiał dowodowy świadczący o tym, że pan Karasiński-Wółkowyjski sam napisał swoją sztukę. I dajcie też temu Przypadkowi jasno do zrozumienia, żeby gdzie indziej szukał sobie zagadek. To wszystko – Zasada wstał i podał oszołomionemu podwładnemu rękę. – Informujcie mnie na bieżąco. Aha. Bardzo na was liczę w tej sprawie, Łoś. To może być dużo ważniejsze dla waszego awansu niż ta cała afera willowa.

Podkomisarz jeszcze przed chwilą był pewien, że jeśli nawet wyjdzie stąd żywy, to jednak zdrowo poobijany i z zapewne niższym stopniem służbowym. A za to otrzymał coś znacznie cenniejszego od awansu. Jakiś wprost niewiarygodny prezent od losu, dar, który przywrócił mu chęć życia. Dlatego teraz energicznie potrząsnął ręką swojego przełożonego i niemal wykrzyczał:

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, panie inspektorze!

Mecenas Fryderyk Przypadek, patrząc na swojego gościa, nie mógł sobie w duchu nie pomyśleć: „Mój Boże, czemu to mnie nie obdarzyłeś tak mądrą latoroślą? Miłą, sympatyczną, rozumiejącą, jak ważne są rodzinne tradycje w naszej profesji? O, proszę, z jakim szacunkiem się do mnie odnosi. I jak ładnie

odzywa się do Marzenki. Co on jej tam mówi? Że sporo ich łączy? Chyba nie chce jej poderwać? Ależ skąd, jak mogłoby mi to przyjść do głowy, przecież on ma żonę, w dodatku pochodzącą z zacnego adwokackiego rodu. Po prostu stara się być miły i tyle. Rozumie zasady, konwenanse. Nie to co ten mój...”.

Głowa pana Fryderyka nie zdołała dokończyć myśli, bo do kancelarii wbiegł Jacek, truchtając powoli wokół biurka. Twarz mecenasa Przypadka ściągnęła się z niezadowolenia, Marzena spojrzała na „narzeczonego” lekko rozbawiona, za to gość z ledwie skrywaną mieszaniną pogardy i lekceważenia.

– Wydawało mi się, synu, że wspomniałem ci, iż chodzi mi o poważną rozmowę...

– Mów – Jacek wykonał kilka skłonów, a pan Fryderyk zrozumiał, że wszelkie nawoływanie do powagi może odnieść tylko odwrotny skutek.

– Pozwól, to jest mecenas Sawczuk-Keller.

Fryderyk Przypadek wskazał gościa, który w tej samej sekundzie przykleił do ust jeden ze swoich najlepszych uśmiechów i wyciągnął dłoń w kierunku Jacka. Ale ręce biegacza były zajęte wykonywaniem przysiadów i nie kwapiły się do spotkania z dłońmi Sawczuka-Kellera.

– Znamy się jeszcze ze studiów. Ale wtedy pan mecenas miał na nazwisko tylko Sawczuk. Dopiero potem mu się ten Keller przykleił do nazwiska. Właściwie nie wiem, czemu pan siedł na półśrodku? Może trzeba było od razu przybrać w całości nazwisko żony.

– Nie spotkaliśmy się tu, żeby o tym rozmawiać – pan Fryderyk postanowił przerwać synowi, zanim ten kompletnie rozsierzdzi jego gościa. – Pan mecenas jest reprezentantem prawnym pana Karasińskiego-Wołkowyjskiego, którego podobno oskarżasz o kradzież – podał synowi egzemplarz „Nowego Życia”, który dostał od Sawczuka-Kellera.

– O kradzież oskarża go pan Fredro. Ja tylko pomagam to udowodnić.

– To będzie pan miał trudne zadanie – uśmiechnął się pobłaźliwie Sawczuk-Keller, sięgając do swojej teczki.

– Po co mi to pan mówi?

– Bo cenię bardzo pana mecenas – skłonił się grzecznie panu Fryderykowi. – Dlatego chciałem panu uświadomić, na jakie ryzyko się naraża. Pan Karasiński-Wołkowyjski jest powszechnie szanowanym dramaturgiem i pisarzem. A pan nie ma na poparcie swojej tezy żadnych dowodów – Sawczuk-Keller wyciągnął ze swojej teczki grubą plik kartek formatu A4.

– Tak pan sądzi?

– Tak – mecenas podał Jackowi kartki. – To jest jedyny dowód, jaki istnieje w tej sprawie. Zarejestrowany w Zaiksie egzemplarz sztuki pana Karasińskiego-Wołkowyjskiego. Rok temu i... – Sawczuk-Keller urwał i spojrzał z niepokojem na uśmiechającego się Przypadka. – Co pana tak bawi?

– Bo to ciekawe.

– Co? – zdenerwowany przełknął ślinę. Może to był błąd, że tu przychodził i pokazał mu ten egzemplarz? Może ten irytujący wszystkich gość coś w nim zauważył? Coś, co pozwoli mu rozwiązać sprawę? Może lepiej było poczekać do rozprawy, żeby nie dać mu się przygotować?

– Czemu strona tytułowa jest napisana na maszynie, a reszta to wydruk komputerowy?

– I co z tego?

– Wie pan, czytałem ostatnio jeden z wywiadów, których pana klient udzielał już po zarejestrowaniu tego egzemplarza. Twierdzi w nim, że wciąż używa do pracy wyłącznie maszyny do pisania.

– Na pewno dał to komuś do przepisania.

– I ten ktoś zapomniał przepisać stronę tytułową?

Cholera, to był błąd. Nie powinien tu przychodzić. Nie powinien przynosić mu tego egzemplarza! Trzeba go jak najszybciej zabrać, bo zauważy jeszcze coś więcej! Nie! Nie wolno mu go zabierać, bo wtedy pomyśli, że tam się coś na pewno kryje i sam wydostanie kopię z Zaiksu. Tak, trzeba mu okazać lekceważenie, zostawić egzemplarz i wyjść jak najszybciej.

– To wszystko, co chciałem powiedzieć. Żegnam.

Sawczuk-Keller podał na pożegnanie rękę mecenasowi Przyпадkowski, skłonił się szarmancko przed Marzeną, a Jacka zignorował. Ledwo zamknęły się za nim drzwi, ojciec spojrzał surowo na syna.

– Zabraniam ci kategorycznie mieszania się w tę sprawę.

– To ja może ci prześlę zaproszenie na moje urodziny.

– Po co mi zaproszenie?!

– Żebyś sobie przypomniiał, ile mam lat.

– Dobrze to wiem – mecenas Przypadek zgrzytnął zębami.

– Ale bez względu na wiek rozsądny człowiek słucha starszych, jeśli mu dobrze radzą. A ja informuję cię również, że nasza kancelaria już nie prowadzi sprawy pana Fredry. Zresztą oficjalnie nigdy jej nie prowadziliśmy. Gdybym od początku wiedział, o co chodzi, pożegnaliśmy się z tym panem już po pierwszej wizycie – spojrzał znacząco na Marzenę, która spuściła od razu wzrok.

– Znając świetnie twoją cywilną odwagę, zapewniłem panu Fredrze innego adwokata.

– Czyli nadal masz zamiar zajmować się tym paszkwilantkim atakiem? – zapytał retorycznie mecenas Przypadek. – Czy ty wiesz, jakie kontakty ma ten jego adwokat?

– Wiem i mam wrażenie, że większość z nich zahacza o mafię. Czego zresztą można się spodziewać po gościu, który dla kariery wzenił się w adwokacką rodzinę i nawet dołączył do własnego nazwisko żony.

Urwał, zbyt późno zrozumiał, że jego strzał rykoszetem trafi nie w tego, w kogo był wymierzony. Jęk postrzelonej osoby miał formę szurnięcia krzesłem oraz szybkiego, nagłego i głośnego wstania przykuwającego uwagę obydwu dyskutantów. Kula musiała trafić w wyjątkowo czułe miejsce, bo aplikantka skrzywiła się w okropnym grymasie bólu. Potem, nie mogąc znieść ciężaru spojrzeń obydwu panów sprawdzających głębokość rany, wyskoczyła z kancelarii jak z procy.

– Widzisz, co zrobiłeś? Za grosz nie masz taktu. I pamiętaj, nie ruszaj tej sprawy, bo znów stracę przez ciebie pieniądze.

„Kto by pomyślał? Taki erotoman gawędziarz, a tu proszę jaka niespodzianka. Stał na wysokości zadania. I to kilka razy. W dodatku trzecią noc z rzędu. Ciekawe, czy Przypadek też by tak dał radę? Nie, jemu by się pewnie tak nie chciało starać”.

Redaktor Sobania sięgnęła po paczkę papierosów i wyjęła jednego z nich. Za nią leżał Młody Bóg Seksu, zadowolony, uśmiechnięty, odprężony. Ale cóż, trudno było mu się dziwić. Wreszcie po tylu latach oczekiwań mógł pokazać, na co go stać. A jak już się dowiedzieliśmy z myśli redaktor Sobani, stać go było na naprawdę wiele. Teraz chciał się nachylić w stronę pleców Ani, ale plecy te nagle zeszytniały. Przyczyną tego był zapewne zgrzyt klucza wsuwanego do zamka.

– Ktoś tu chyba chce wejść?

– To tylko mój tata – uśmiechnął się lekceważąco Sakowicz junior.

– Tata? Dałeś mu klucze?

– Dostał je od Jacka. Mówiłem ci, to jego mieszkanie, którego użył mi na czas remontu. Ale nie martw się, tata nie otworzy zasuw, ją można tylko otworzyć od wewnątrz. Dlatego jeśli masz ochotę na jeszcze jeden raz...

- Po co Jacek dawał mu te klucze?
- Bo uznał, że ojciec i tak by sobie je dorobił, gdybym choć na chwilę zostawił je w kancelarii. No, chodź – Sako-wicz junior chciał przyciągnąć Anię, ale jej wciąż coś nie da- wało spokoju.
- Ale poczekaj. Przecież jakby dorobił sobie klucze, to wtedy i tak by się nie mógł tu dostać ze względu na tę zasuwkę.
- Tylko wtedy ja nie wiedziałbym o jego następnych ruchach. A tak myśli, że ma w Jacku sprzymierzeńca, a ja o wszystkim będę zaraz wiedział. No, nie traćmy czasu, bo jednak potem chciałbym się zdrzemnąć choć przez chwilę.

Redaktor Sobania była przyzwyczajona do pracy w trud- nych warunkach. Na redakcyjnym *open space*, gdzie wśród panującego rozgardiaszu człowiek musi jakoś zebrać myśli, żeby napisać sensowny tekst, trzeba nauczyć się koncentro- wać nawet przy największym hałasie. Jednak nieustannie na- ciskana klamka drzwi rozpraszała ją na tyle, że tym razem Błażej musiał wyjątkowo długo starać się, żeby usłyszeć jej wysokie C.

Podkomisarz Łoś żałował, że niebo poskąpiło mu talentu muzycznego. Mógłby wtedy czasem podczas porannego gole- nia śpiewać wspaniałe arie, ciesząc uszy cudowną muzyką daw- nych mistrzów. Zamiast tego musiał zadowolić się radosnym mruczando, z którego brzmienia trudno było wywnioskować, z jakiej opery czerpie inspirację. Ale już sam fakt jego mrucze- nia świadczył jednoznacznie o jego humorze.

- A co ty taki radosny jesteś? – zapytała pani Łosiowa usiłu- jąca bezskutecznie dopiąć szelki biegającemu wciąż wokół niej Cywilowi.
- Bo go w końcu dorwę i wszystko wyjdzie na jaw.
- Kogo dorwiesz?

– Tego Przypadka. Mało mnie przez niego nie ominął awans. Ale tym razem się przejedzie, zobaczysz. Góra na mnie liczy!

– Cywil też liczy, że go wyprowadzisz – żonie podkomisarza wreszcie udało się dopiąć smycz do szelek niesfornego psa.

– Nie mam czasu, muszę się zająć tą sprawą. Inspektor Zasada mówi, że to priorytetowa rzecz. Ja zresztą miałem nosa, bo już wcześniej obserwowałem żonę tego pisarza.

– Opowiesz mi po południu – pani Łosiowa wręczyła mężowi smycz. – Teraz wyprowadź psa.

– Ale ja muszę się zająć...

– Wyprowadzeniem psa na spacer. Przypadek nie zająć, nie ucieknie. Za to ja muszę być w szkole punktualnie.

– To trzeba go było wcześniej... – podkomisarz Łoś, zobaczwszy ciężkie spojrzenie żony, urwał. Chyba jednak ta misja od inspektora Zasady za mocno wpłynęła na jego asertywność i samoocenę.

– Łosiu, nie denerwuj mnie – wycodziła przez zęby żona podkomisarza. – Ja wczoraj postawiłam siedem jedynek... Wiesz, co to znaczy?

Radosne mruczando Łosia bezpowrotnie umilkło, czekając na lepsze czasy.

Jacek po prostu wiedział, że pewne zbiegi okoliczności nie mają prawa zaistnieć w naturze. Nawet w filmach akcji, o książkach nie wspominając. Dlatego spojrzał na zegarek i wszystko stało się jasne. Kwadrans spóźnienia to była dla Błażeja rzecz zupełnie niespotykana. Jeśli więc teraz Sakowicz junior zmierzał w jego stronę tanecznym krokiem, a z głośników w Szypułce wybrzmiewały wyjątkowo głośno słowa piosenki *Ja jestem macho*, to nie mogło być to zjawisko samoistne.

– Co taki radosny jesteś? – zapytał przyjaciela, gdy ten usiadł obok niego.

– Stary, jak tam dłużej pomieszkam, to chyba czeka cię jakiś dodatkowy remont.

– Tak mocno szaleliście?

– Dosłownie w każdym miejscu.

– I nikt wam do tej pory nie przeszkadzał? – zapytał już raczej mechanicznie niż z ciekawości, bo bardziej był zajęty własnymi myślami.

– Ostatniej nocy ktoś próbował. Coś taki zamyślony?

– Mam problem z Marzeną.

– Zakochałeś się?

– Niepotrzebnie ją obraziłem i teraz coś muszę z tym zrobić.

– Nigdy nie zrozumiem, co między wami jest – Błazej wygodnie rozparł się na krzeselku i dał znać kelnerowi, że dla niego to, co zwykle.

– Co ma być? Nic nie ma.

– Wybacz, Jacuś, ale ona na ciebie ewidentnie leci.

– Nie zauważyłem.

– Bo nie zauważyłbyś też wielkiej, czarnej kropki, gdyby się znajdowała na czubku twojego nosa.

– Chyba że w lustrze.

– Więc wyobraź sobie, że jestem twoim lustrem, które właśnie ci powiedziało, że ona na ciebie leci.

– Ostatnio mówiłeś, że raczej na ciebie.

– No, na mnie też trochę leci. I to pewnie powoduje jej dodatkową frustrację. Dziewczyna cierpi po prostu na poważną rozterkę, dlatego trzeba z nią postępować wyjątkowo delikatnie. A czym ją obraziłeś?

– Szkoda gadać – Przypadek machnął niechętnie ręką. – Wszystko przez tego Sawczuka. Chciałem go przestraszyć, żeby ruszyli do medialnej ofensywy. Ten Karasiński-Wołkowyjski strasznie lubi udzielać wywiadów i czasem chłapie różne dziwne rzeczy. Nawet jest się już o co zaczepić.

- To świetnie.
- Ale to na razie poszlaki. Nie dasz rady z nimi w sądzie.
- Aha, czyli jak rozumiem, pan Fredro jest już bez adwokata?
- Jacek przytaknął. – Ile mówiłeś, że było w tym roku tantiem za tę sztukę?
- Jakieś dwieście tysięcy.
- No to jest o co powalczyć. Czas chyba całkiem się uniezależnić od ojca.
- Chcesz założyć własną kancelarię?
- Jeśli nadal będzie mi tak zazdrościł powodzenia u kobiet, to nie będę miał wyjścia.
- Jasne... – do stolika podszedł kelner i z trudem powstrzymując uśmiech, postawił przed Błażem szklankę z jego ulubionym sokiem z marchewki. – A powiedz, ile dałeś za to wejście? – zapytał Jacek, kiedy kelner już odszedł.
- Domyśliłeś się? – zwiesił nos na kwintę Sakowicz junior.
- Chyba mi nie chcesz powiedzieć, że ludzie są banalnie przewidywalni?
- Ależ skąd, stary, ty mnie ciągle zaskakujesz – zapewnił przyjaciela Jacek. – Tylko ten kawałek z maczo już dawno temu przestał być popularny. I tak masz szczęście, że go tu jeszcze mieli. To ile?
- Zgodził się go puścić za stówę – przyznał niechętnie Błaż. – Czasem człowiek lubi mieć efektowne wejście. Czy przed tobą nic się nie może ukryć?
- Może. Ale po co? Zresztą wiesz... – szare komórki Przypadka zaczęły pracować na wysoki obrotach. – Z tą muzyką to jest dobry pomysł.
- Jaki pomysł?
- No przecież mówię, dobry. Muszę tylko o tym porozmawiać z panią Irminą i zapytać, czy zna kogoś w filharmonii.

Franciszek Karasiński-Wołkowyjski wychylił się znad kierownicy swojego auta, sprawdzając, czy nic nie przeszkadza w wyjechaniu z bramy jego posesji na ulicę. Powoli robiła się już szarówka, ale uliczne latarnie nie zdążyły jeszcze zareagować na nadchodzący zmrok. Dlatego wielki literat ostrożnie wytoczył się z posesji swoim zabytkowym autem, które liczyło sobie nie mniej wiosen niż on sam. Wyjechawszy na ulicę, zatrzymał się i wyłączył silnik. Następnie skorzystał z jednego z niewielu wynalazków techniki mających mniej niż pięćdziesiąt lat, którym posługiwał się na co dzień. Był nim pilot do bramy, po użyciu którego jej wierzeje zamykały się bardzo powoli i z okropnym hałasem. Nie wiedzieć czemu, dźwięk ten niesłychanie irytował sąsiadów pana Franciszka Karasińskiego-Wołkowyjskiego. Działo się tak być może dlatego, że pozostali mieszkańcy tej uliczki nie mieli artystycznej duszy i nie umieli docenić cudownie skrzypiącego metalu. Dla wielkiego literata była to jednak cudowna melodia, dlatego wsłuchiwał się w nią z lubością i z przymkniętymi oczyma. I pewnie ten zachwyt nad postindustrialnym dźwiękiem spowodował, że nie zauważył, jak ktoś korzysta z tego, iż brama zamyka się tak wolno...

Po domknięciu się wierzei Karasiński-Wołkowyjski włączył ponownie silnik swojego samochodu i ruszył na umówione spotkanie. Ujechał jednak zaledwie parędziesiąt metrów, bo drogę zastąpiła mu dobrze ostatnio znana sylwetka wymachująca rozpaczliwie rękoma.

– Co się stało, panie mecenasie? – zapytał wielki literat, wysiadając z auta.

– Próbuję dzisiaj złapać pana przez cały dzień – wysapał zdyszany Sawczuk-Keller. – Mógłby pan sobie kupić komórkę!

– Wystarczy mi zwykły telefon.

– To dlaczego pan go nie odbiera?!

– Po co te nerwy, mecenasie. Sprawa wydaje się zmierzać chyba w dobrym kierunku. A nie odbieram telefonu, bo mało jestem w domu. Właściwie wciąż jeżdżę ze spotkania na spotkanie. Rozmawiałem już z wieloma poważanymi osobami, wszyscy udzielają mi bezwzględnego wsparcia. Teraz jadę do prezesa tej telewizji, pan wie, o kim mówię. Chcą mnie zaprosić do *show* tego fajnego redaktora, żebyśmy się wspólnie pośmiali z Fredry...

– To może nie wystarczyć. Rozmawiałem wczoraj z panami Przypadkami. Pan mecenas wyraził pełne zrozumienie dla naszego stanowiska. Niestety, ten jego syn, detektyw, jest dużo krnąbrniejszy. I sprytniejszy. Zauważył, że tylko tytułowa strona egzemplarza zarejestrowanego w Zaiksie jest napisana na maszynie, a cała reszta na komputerze – Sawczuk-Keller sapnął, bo wreszcie udało mu się złapać oddech. – Jak już pan tej sztuki nie napisał, to chociaż mógł ją pan przepisać!

– Pan wie, ile to pracy? Komu by się chciało. A zlecić tego obcej osobie nie mogłem, bo to zawsze dodatkowy świadek.

– Świadka zawsze można podważyć albo kupić. Zresztą i tak będziemy musieli komuś zapłacić, żeby poświadczył, że to panu przepisał przed zanieśieniem do Zaiksu. No i trzeba to będzie rzeczywiście przepisać na komputerze. A pan będzie to musiał przepisać na tej swojej maszynie, bo przecież z czegoś ten ktoś panu to przepisał... Chyba że pan woli odręcznie – Sawczuk-Keller gorączkowo układał w głowie plan działania. – Nie, to bez sensu, bo będziemy musieli jeszcze zapłacić za postarzenie tekstu. Zresztą i tak będziemy musieli wydać dużo pieniędzy, żeby sfalszować plik z odpowiednią datą powstania.

– Jest aż tak źle, panie mecenasie? – stropił się Karasiński-Wołkowyjski.

– Teraz musimy być po prostu ostrożni, bo ten Przypadek...
– urwał i uważniej przypatrzył się sylwetce willi swego klienta.
– Popsuło się u pana światło?

- Słucham?
- Ktoś chodzi po pana domu z latarką.
- Przecież pan wie, że mieszkam zupełnie sam – Karasiński-Wołkowyjski obejrzał się i ze zdumieniem zobaczył, że jego mecenas nie żartował.

Kiedy kilka chwil później wpadli obydwaj do domu, pierwszą rzeczą, jaką usłyszeli, był dźwięk dartego papieru. Dartego z pasją, z zaangażowaniem, z prawdziwą wiarą graniczącą niemal z fanatyzmem. Dartego z pewnością, że czyni się tym samym wielkie dobro dla całego świata, dla całej ludzkości.

– Magda? Co ty tu robisz? – zapytał pan Franciszek, gdy zapalił światło w pokoju. – Dlaczego drzesz mój paszport?

– Nigdzie nie uciekniesz! – krzyknęła Karasińska-Wołkowyjska i wyrzuciła w powietrze strzępy podartego dokumentu.

– O czym ty mówisz?

– Współpracuję z tym detektywem i wiem wszystko, co zamierzasz! I nie pozwolę ci uciec na Bali. Odpowiesz za wszystkie swoje zbrodnie. Ten detektyw się o to postara!

No i co? – podkomisarz Łoś spojrzał na Jacka z wyraźną moralną wyższością. Zresztą nie była to jedynie wyższość moralna. Jacek siedział teraz na krześle w pokoju podkomisarza, zaś sam Łoś stał przed nim, opierając się o biurko. Ta pozycja ułatwiała mu wykazanie wyższości nad Przypadkiem pod każdym względem. – Zabrakło umiejętności zbierania dowodów, to się postanowiło złamać prawo?

– À propos dowodów. Ma pan może jakiś na potwierdzenie tezy, że to ja panią Karasińską-Wołkowyjską namówilem do włamania się do willi jej byłego męża?

– Mam zeznania pana Karasińskiego-Wołkowyjskiego i jego adwokata o oświadczeniu, jakie wydała z siebie podejrzana na miejscu popełnienia przestępstwa.

– A co mówi ona sama?

– No cóż... – stropił się Łoś. – W tej chwili zajmują się nią nasi lekarze. Nie chce powiedzieć nic więcej poza tym, że działała dla dobra ludzkości.

– Niewykluczone, że ma rację – pokiwał głową Przypadek.

– Ha, czyli jednak miał pan coś wspólnego z jej działaniami. Tak? No niech pan wreszcie odpowie i przestanie się tak głupio uśmiechać!

– Zastanawiam się tylko, dlaczego zamiast być mi wdzięcznym za awans, pan koniecznie chce udowodnić, że jestem przestępcą?

– Jeśli dostanę jakiś awans, będę to zawdzięczał wyłącznie temu, że rozwiązałem zagadkę „afery willowej” – Łoś uniósł się jeszcze bardziej, przestając korzystać z oparcia biurka. – A pan, nie wiedzieć czemu, najwyraźniej przypisuje to sobie.

– Właściwie ma pan rację – pokiwał głową ze smutkiem Przypadek. – To, że rozgryzłem mechanizm, domyśliłem się, że on to robi na szerszą skalę i że o tym panu powiedziałem, to przecież pestka w porównaniu z tym, że go pan aresztował. Tak, bez pańskiej pomocy ta sprawa byłaby wciąż nierozwiązana.

– Ciągłe ten sam megaloman – Łoś próbował spojrzeć na Jacka z wciąż tą samą wyższością moralną, ale tym razem mu to tak dobrze nie wyszło. – Wydaje się panu, iż jest pan tak sprytny, że wszystko panu wolno. Tylko że teraz oskarżył pan niewinnego człowieka o rzekomą kradzież. A mnie się udało zgromadzić ogromny materiał świadczący o jego niewinności.

Łoś z dumą wskazał na stos dokumentów piętrzących się na biurku. Na dole tego stosiku były wprawdzie akta dotyczące zupełnie innych spraw, ale to przecież nie miało znaczenia. Bo przecież, czy ktoś ma pretensję do czegoś, że nie jest właściwym pomnikiem? Chodzi tylko o to, żeby na piedestale postawić to, co najważniejsze.

– Sporo tego – Przypadek ciekawie przyjrzał się stosowi, który zakrywał niemal całkiem stojący za biurkiem telewizor podłączony do odtwarzacza DVD.

– Bo rozwiązywanie spraw kryminalnych to jest ciężka i żmudna praca, a nie przebłysk geniuszu, panie „detektywie”. Pokażę panu. Zacznijmy od wywiadu sprzed roku, gdzie pierwszy raz mówi o swojej sztuce. Smańko!

Starszy aspirant uruchomił pilotem odtwarzacz i na ekranie telewizora ukazał się Franciszek Karasiński-Wołkowyjski trzymający w ręce swoją sztukę i dumnie prezentujący ją w stronę kamery. To ujęcie trwało dwie, może trzy sekundy, a zaraz potem był już sam wywiad. Ale wywiad Jacek widział już wcześniej na materiałach przyniesionych przez panią Magdę. Za to tej krótkiej zajawki tam nie było. Mogła jej nie mieć, mogła nie pomyśleć, że króciutkie ujęcie, w trakcie którego nic nie mówi, może być tak ważne...

– Może pan cofnąć? – poprosił Przypadek.

– Ale po co? – zdziwił się Smańko, jednak posłusznie cofnął nagranie.

– O tu, stop.

Przypadek zbliżył się do ekranu telewizora, na którym została zatrzymana w kadrze zadowolona twarz pana Franciszka i tytułowa strona jego sztuki. Ale Jacek już wiedział, że zadowolenie wkrótce zniknie z twarzy pana Karasińskiego-Wołkowyjskiego na bardzo długo.

– I co, zobaczył pan coś? – spojrzał na niego zaniepokojony podkomisarz Łoś.

– Dowód niewinności mojego klienta. Czy możemy dokończyć naszą rozmowę kiedy indziej?

Łoś miał wprawdzie zaplanowane całe wspólne popołudnie z Jackiem, podczas którego chciał mu przedstawić zgromadzony przez siebie materiał dowodowy, ale teraz zaszły zupełnie nowe okoliczności. Bardzo niepokojące okoliczności. Dlatego odpowiedział na wpół automatycznie.

– Tak, tak, oczywiście, może pan już iść.

Gdy Przypadek wyszedł z pokoju podkomisarza, on sam niemal przykleił swój nos do ekranu, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia starszego aspiranta.

– Wydawało mi się, że mamy zamiar trzymać go tu do wieczora i...

– Dajcie spokój, Smańko – machnął ręką zniecierpliwiony podkomisarz. – Powiedźcie lepiej, czy coś tu widzicie?

– No... – starszy aspirant przyjrzał się uważnie ekranowi, ale mimo najszczerzych chęci nie potrafił dostrzec nic poza tym, co było widać. – Chyba jest z tą swoją sztuką.

– No właśnie. Da się chyba nawet odczytać tytuł. Dajcie łupę, jest w szufladzie biurka – Smańko błyskawicznie wykonał polecenie przełożonego, a ten zaczął odcyfrowywać napis. – T-r-z-y-n-a-s-t-e k-r-z-e-s-ł-o... No zgadza się, taki ma tytuł ta jego sztuka!

– Nad tytułem jest coś jeszcze napisane.

– No jest... ale to jakąś mikroskopijną czcionką, tego nawet z lunetą się nie odczyta!

– Fakt.

– Czyli co, jednak blefuje?! – podkomisarz z nadzieją popatrzył na starszego aspiranta.

– Obawiam się, że jednak coś zauważył...

– Cholera! To znaczy, że znów pomogłem mu rozwiązać sprawę?!

Redaktor Anna Sobania sama sobie się dziwiła, że ten artykuł tak sprawnie wypływał spod jej paluszków. To prawda, zawsze miała lekkie pióro, ale teraz szło jej jeszcze gładziej niż zwykle. Fakty wspaniale łączyły się ze sobą, uwagi były celne i złośliwe, ale jak najbardziej na miejscu. Dlatego z twarzy redaktor Sobani nie schodził wyraz błęgiego zadowolenia,

jakby robiła coś znacznie przyjemniejszego niż pisanie artykułu. Dlatego Malwina, zadając jej to pytanie, uważała je za czysto retoryczne.

– I jak, zabolalo go?

– I to bardzo – uśmiech zadowolenia nawet na sekundę nie schodził z twarzy redaktor Sobani, a jej paluszki wciąż pracowicie klepały w klawiaturę. – Chociaż oczywiście udawał, że wszystko przewidział.

– Pewnie ci powiedział, że ludzie są banalnie przewidywalni?

– Coś w tym stylu.

– Czyli pan Przypadek ukłuty żądłem zazdrości wkrótce będzie się chciał z tobą umówić? – uśmiechnęła się sarkastycznie Malwina.

Ten sarkazm bardzo się nie spodobał redaktor Sobani. A może nie tyle się nie spodobał, co raczej ją zaniepokoił. Przerwała pisanie tekstu i przyjrzała się uważnie przyjaciółce.

– Wątpisz w mój plan?

– A jeśli po prostu powie Błażejowi, że sypiasz z nim tylko dlatego, by wzbudzić jego zazdrość?

– Za bardzo go lubi, żeby sprawić mu taką przykrość. To są prawdziwi przyjaciele. Jeden oddałby za drugiego wszystko. Na początku byłam zdziwiona, że dwóch tak różnych facetów może się przyjaźnić. Ale im lepiej ich poznaję...

– Mówiliśmy o kolejnej randce – weszła jej w słowo Malwina, zdradzając lekkie objawy zdenerwowania.

– Oho, widzę, że boisz się przegrania zakładu. Zresztą już go właściwie przegrałaś. Umówi się ze mną na bank – robaczek strachu toczący panią redaktor został nakryty pewnością siebie.

– Tak? To może podwoimy stawkę? – rzuciła rękawicę przyjaciółce.

– Jeśli sobie tego życzysz... – redaktor Sobania chciała podjąć rzuconą rękawicę, ale ta w ostatniej chwili wróciła do właścicielki.

– Nie, nie mogę ci tego zrobić.

- Co się stało?
- Wiem coś, czego ty nie wiesz. To byłoby nieuczciwe.
- Co? O czym ty mówisz?!
- Jacek szykuje wspaniałą niespodziankę dla tej swojej narzeczonej.
- Przecież to nie jest jego narzeczoną?!
- No niby nie... Ale on chyba jednak coś do niej czuje. Inaczej by tego nie robił.
- Ale powiedz lepiej, o co chodzi?
- Myślę, że powinnaś to sama zobaczyć.

Cały wielki autorytet pana Franciszka Karasińskiego-Wołkowyjskiego przepelniało głębokie zadowolenie. Po serii oburzonych artykułów w opiniotwórczej prasie, wywiadów w stacjach radiowych o właściwej słuchalności i jeszcze po tym, jak przyłapał żonę na współdziałaniu z tym irytującym detektywem, był pewien, że Fredro podkuli ogon i wróci do swojej agencyjnej nory.

Dlatego wielki literat nawet nie miał ochoty przyjść na spotkanie w sprawie ugody. Po co zresztą miałby oglądać tę beczelnie smutną twarz tego pisarzyny, który nie dość, że nie był mu wdzięczny, to jeszcze beczelnie chciał go oskarżyć o kradzież swojej sztuki. A przecież jeszcze przed nieco ponad rokiem ten Fredro znał swoje miejsce w szeregu i zwrócił się do niego niemal na kolanach. Franciszek Karasiński-Wołkowyjski pamiętał to świetnie. Znał na pamięć właściwie każde słowo listu, który przyszedł do niego razem z *Trzynastym krzesłem*.

„Szanowny Panie Franciszku – pisał Fredro – jest pan dla mnie największym żyjącym autorytetem w Polsce w dziedzinie dramaturgii” – po cholerę dodawał, że żyjącym? Przecież jak się spojrzy na całą nędzną dramaturgię tego kraju, to kto z nieżyjących miałby być większym autorytetem? Dobrze chociaż, że

postawił go przed Mroźkiem, bo znalezienie się poniżej tego grafomana, którego świat nie wiadomo za co cenił, sprawiłoby mu chyba szczególną przykrość. „Ja jestem skromnym początkującym adeptem, który stawia pierwsze kroki w dramatopisarstwie. Napisałem już wprowadzić dwie sztuki i rozesłałem je po teatrach, ale nie wzbudziły one tam żadnego zainteresowania...”. No nie dziwnego, jak może interesować porządných ludzi sztuka kogoś takiego jak Fredro. „...niektórzy podobno ich nawet nie czytali. Poradzili mi tylko, żebym sobie poszukał kogoś, kto mógłby mnie polecić, bo inaczej nie widzą sensu czytania mojego tekstu. Wtedy pomyślałem o Panu. Dlatego moją nową sztukę wysyłam na razie tylko do Pana. Często Pan mówi, jak bardzo pomaga młodym twórcom, chcąc im dać szansę zaistnienia...”.

No i proszę, jaka go za to spotyka nagroda?! Przecież gdyby nie jego kontakty, ta sztuka nigdy nie trafiłaby na deski żadnego teatru! A tak jest grana z ogromnym powodzeniem w całym kraju. Gdyby ludzie wiedzieli, że napisał ją jakiś tam Fredro, to nikt by się nią nie zainteresował. A tak dzięki niemu, słynnemu Franciszkowi Karaśińskiemu-Wółkowyjskiemu, tysiące ludzi w całym kraju płakały ze śmiechu. Dlatego ten Fredro powinien zadowolić się świadomością, że jego mentor unieśmiertnił jego słowa. Powinien mu być wdzięczny, a nie oskarżać go przed światem o takie rzeczy!

A proszę, jak to teraz siedzi z tą swoją smutną ptasią miną po drugiej stronie stołu. Na dodatek patrzy na swojego mistrza bez żadnych wyrzutów sumienia. A nawet jakby się beczelnie uśmiechał... Nie, to chyba niemożliwe, przecież on nie potrafi się uśmiechać. Że też musi oglądać tę jego przeraźliwie smutną fizjonomię. Gdyby nie to, że adwokat namówił go na udział w tym spotkaniu, sławny dramatopisarz nigdy by się nie zdecydował na tak nieestetyczne doznanie.

– Czekamy jeszcze na kogoś? – mecenas Sawczuk-Keller spojrzał zniecierpliwiony na zegarek. – Wydawało mi się, że jesteśmy w komplecie – zatoczył dłonią krąg obejmujący siedzą-

cych po drugiej stronie stołu Błażeja, Jacka i Fredrę oraz siebie i swojego klienta

– Bardzo się cieszę, że panowie zgodzili się do nas przyjść

– Sakowicz junior musiał przez chwilę grać na zwłokę.

– Zawsze chętnie odwiedzę tak znaną i szacowną kancelarię jak Sakowicz i Sakowicz – uśmiechnął się ni to przymilnie, ni to kpiąco Sawczuk-Keller, ale już po chwili jego twarz ściągnęła się w nerwowym gęście. – Co ta pani tu...

– Przepraszam za spóźnienie – Magda Karasińska-Wołkowyjska zamknęła drzwi do salki konferencyjnej i z trudem łapała oddech. – Musiałam się jeszcze nauczyć obsługi tej kamery.

– Co ty tu robisz? – pan Franciszek spojrzał niechętnie na byłą żonę. – Myślałem, że cały czas siedzisz w tym wariatkowie? I po co ci ta kamera?

– Muszę nagrać twoją głupią minę, jak przegrywasz. Wreszcie!

– Ja naprawdę nie rozumiem, po co tu jest ta pani – zachnął się Sawczuk-Keller. – Ta pani włamała się do domu mojego klienta i podała jego paszport, za co powinna na dłużej trafić do aresztu!

– Proszę się uspokoić – uśmiechnął się Błażej. – Chcielibyśmy załatwić tę sprawę ugodowo, aby niepotrzebnie nie chodzić po sądach.

– No cóż, nie dziwi mnie to. Biorąc pod uwagę, że rozpowszechniali państwo oszczerstwa wobec mojego klienta, nie mając żadnych dowodów – Sawczuk-Keller starał się zachować spokój. Nie było to łatwe, bo jednocześnie musiał mitygować swojego klienta. Ten zaś intensywnie opędywał się od swojej byłej żony chcąc jak najbardziej zbliżyć obiektyw wypożyczonej kamery do jego twarzy.

– I tu się pan myli. Mamy dowody na to, że pan Karasiński-Wołkowyjski ukradł sztukę panu Fredrze.

– Skąd?

– Z telewizji. Ale szczegóły wyjaśni mój współpracownik, pan Przypadek – Jacek chwycił pilota i uruchomił odtwarzacz DVD.

– Rok temu udzielał pan wywiadu jednej ze stacji – Jacek nacisnął kolejny guzik na pilocie. – A oto zatrzymany kadr z telewizyjnej zajawki do pańskiego wywiadu sprzed roku. Niby nic. Widać stronę tytułową i napis: *Trzynaste krzesło*. Stronę, która w żaden sposób nie przypomina tej z egzemplarza zaik-sowego. Nie przypomina, bo została napisana na komputerze wielką czcionką, której nie da się osiągnąć w żadnej maszynie do pisania.

– To żaden dowód – uśmiechnął się zadowolony Sawczuk-Keller. Jeśli mają tylko tyle, to nie ma się czego obawiać, obali się to bez problemu w sądzie.

– Owszem, to żaden dowód. Ale tu u góry małą czcionką jest nazwisko.

– Nie do odczytania – stwierdził Sawczuk-Keller, gdy zbliżył wzrok do ekranu.

– To prawda. Ale widać, że to strasznie krótkie nazwisko. Takie jak na przykład Jan Fredro. Ale nie jak Franciszek Karasiński-Wołkowyjski. Jeśli ma pan jeszcze wątpliwości, mamy dziesięciokrotne powiększenie tego kadru zrobione przez kolegów pana Fredry z agencji.

– Zawsze wszystko ci się myliło, durniu – wykrzyknęła triumfalnie Magda Karasińska-Wołkowyjska. – Ale ty mówiłeś, że to niby artystyczne roztrzepanie. To teraz za to zapłacisz!

– Ale o co chodzi – pan Franciszek spojrzał ze zdziwieniem na obecnych. – Ja nic nie rozumiem...

– Chodzi o to, matole, że zgubiło cię to twoje wielkie nazwisko!

– Czy mogą nas panowie zostawić na kwadrans? – zapytał z czarującym uśmiechem Sawczuk-Keller, który o wiele szybciej od swojego klienta zrozumiał, w czym rzecz.

– Oczywiście – odpowiedział mu z równie czarującym uśmiechem mecenas Sakowicz. – Ale proszę nie zapominać, że ja specjalizuję się w sprawach o naruszenie praw autorskich.

– A ja się z panami już pożegnam na dobre – dodał Przypadek. – Mam dziś jeszcze do załatwienia ważną rzecz.

Pan Fryderyk z niepokojem patrzył na Marzenę. Aplikantka bowiem od kilku dni wciąż nie odzyskała humoru. Na jego pytania odpowiadała wyłącznie sucho, rzeczowo, fachowo, czasem wręcz półsłówkami. Nie, nie zaniedbywała swoich obowiązków. Nadal spełniała je sumiennie. Ale teraz robiła to jakby bez wiary, półautomatycznie, odruchowo.

I wszystko przez tego bałwana, jego syna! Skoro już ma te swoje durne poglądy, to trudno. Pan Fryderyk wciąż ich nie rozumiał, ale już się z nimi pogodził. Ale braku taktu nigdy by nie mógł wybaczyć! Albowiem ten fakt wykluczałby definitywnie jego syna z grona ludzi, którym można podać rękę. A takim właśnie brakiem taktu wykazał się kilka dni temu!

Owszem, każdemu może zdarzyć się pewne *faux pas*. Ale od tego jest się osobą dobrze wychowaną, że się potrafi je naprawić. Przecież wystarczyłoby kupić Marzenie jakiś wielki bukiet róż i ją przeprosić za tę niezręczność! A on co? Miał tylko tę dziwaczną prośbę, żeby ojciec dzisiaj po południu nie wysyłał nigdzie Marzeny poza kancelarię. Chociaż, jak sam oświadczył, nie miał zamiaru jej tu odwiedzać!

– Panie Fryderyku?

– Tak, Marzenko?

– Czy pan też słyszy tę muzykę?

– Jaką muzykę, drogie dziecko? – mecenas nadstawił ucha.

– A tak, to chyba *Nad pięknym modrym Dunajem*. Pewnie ktoś nastawił za głośno radio.

– Nie, to nie jest dźwięk z radia. Poza tym jakoś tak dziwnie się odbija... – Marzena podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Na trawniku przed kancelarią stała kameralna orkiestra, najwyżej dwadzieścia instrumentów. Wszyscy muzycy byli ubrani we fraki i pod batutą znakomitego dyrygenta wykonywali słynny utwór Straussa. Robili to z wielkim zaangażowaniem, choć w tej chwili mieli tylko jednego słuchacza siedzącego przed nimi na krześle w stylu Ludwika XIV. Obok zasłuchanego melomana stało drugie puste identyczne krzesło. Zobaczywszy wychylającą się Marzenę, samotny wielbiciel Straussa wstał i poprosił dyrygenta o przerwanie koncertu. Następnie skłonił się w stronę aplikantki i gestem ręki zaprosił ją na drugie puste krzesło.

– Mogłeś mnie uprzedzić, że idziemy dziś do filharmonii – pokiwała głową niezadowolona Marzena, gdy znalazła się na dole. – Ubrałabym się nieco stosowniej.

– Bardzo cię przepraszam, moja droga, ale dostałem bilety w ostatniej chwili. Sama wiesz, jakie to niełatwe – usprawiedliwiał się Przypadek, przystawiając Marzenie krzesło. – Udało mi się to zresztą wyłącznie dzięki pomocy pani Irminy.

– Ach, ta pani Irmina. Gdyby nie ona i jej kontakty twoja praca byłaby o wiele trudniejsza. Bezwarunkowo, mój drogi chłopcze.

– To prawda – zgodził się uprzejmie Przypadek, siadając na fotelu obok Marzeny. – Ale nie mówmy już o pracy. Zajmijmy się muzyką. Przed nami godzinny koncert – uśmiechnął się Jacek.

A zaraz potem w kawowo-mleczne fale Wisły znów wlały się zachwycające taktory *Nad pięknym modrym Dunajem*. I płynęły wraz z nimi jeszcze spory kawałek, by w końcu zniknąć pod jednym z mostów. Zanim to się jednak stało, ucieszyły wiele par uszu, choć inne z kolei zmartwiły...

Ale to już temat na kolejną historię, którą autor opowie następnym razem.

KONIEC

Spis treści

Rozdział I – Arszenik i stare obrazy	5
Rozdział II – Listonosz zawsze przychodzi dwa razy	71
Rozdział III – Mężczyzna, który się nie uśmiechał	137